



Harlequin®

Super Romance®

Wydawaloby się, że w życiu dziennikarki nie ma nic zwyczajniejszego niż wyjazd – na przykład do Teksasu, by zrobić wywiad ze znanym senatorem. Nie ma też nic niezwykłego w tym, że z nieprzewidzianych opresji ratuje ją nieznajomy. Niezwykłe jest tylko to, że ten człowiek, jak się później okazuje, ... nie istnieje!

Wydawaloby się, że w życiu rozwiedzonego mężczyzny, uważanego za geniusza w projektowaniu gier komputerowych, wizyta znanej dziennikarki jest sprawą zwyczajną. Niezwykłe jest tylko to, że owa kobieta posadza go o uratowanie jej życia, a on wie, że to nieprawda...



**Romansów jest wiele -
- miłość tylko jedna...
...książki Harlequin to ogrody miłości.**

Cena 5.90 (59 000) zł.



Harlequin®

Super Romance®

gwiazdki 20



**KUP KSIĄŻKĘ,
WYGRAJ
SAMOCHÓD!**

CZY ON NAPRAWDĘ ISTNIEJE?

CZY ON NAPRAWDĘ ISTNIEJE?

1

Zabłądziła. Zgubiła drogę. Bezsensownie i beznadziejnie zabłądziła. Na domiar złego, jakby tego było mało, nieoczekiwanie zapadł zmrok; światło dzienne ustąpiło miejsca ciemności i nagle w środku dnia nastąpiła noc. Niespodziewana ciemność przstraszyła ją najbardziej. Mroczna otchłań pochłaniająca cienie sprawiła, że Sydney poczuła się tak, jak gdyby była jedyną żywą istotą na świecie. Gdzieś w pobliżu uderzył piorun, rozległ się ogłuszający grzmot, runęło z hałasem drzewo. Sydney zatrzęsała się cała jak pod wpływem elektrycznego wstrząsu. Wiatr wył, łamiąc gałęzie. Do tego deszcz... Potworna ulewa, oberwanie chmury. Strugi wody waliły o szyby samochodu z siłą pneumatycznego młota, poddając w wątpliwość sens działania wycieraczek. Ich rozpaczliwe ruchy przypominały próby powstrzymania powodzi za pomocą łyżeczki do herbaty.

Sydney rozpaczliwie wczepiła palce w kierownicę, aż zbieleły kostki jej dłoni. Pochyliła się do przodu, próbując dostrzec drogę w nikłych światłach samochodu. Kompletnie straciła orientację. Ciemność wchłonęła białą linię i Sydney nie miała pojęcia, po której stronie szosy właściwie się znajduje; nie mogła wykluczyć, że jedzie środkiem... Próbowała się zatrzymać i przeczekać burzę, ale próba postoju zakończyła się niepowodzeniem: samochód natychmiast zaczął się zsuwać w stronę rowu pełnego rwącej wody. Droga chyba wcale nie miała zwirowanego pobocza.

Pomyślała, że sama jest sobie winna. Popełniła fatalny błąd. Sytuacja, w jakiej się znalazła, jest jedynie jego konsekwencją. Niepotrzebnie przystanęła na tej kretyńskiej stacji benzynowej, żeby pójść do toalety i napić się coli. Gdyby tego nie zrobiła, nie byłoby tego wszystkiego. Po co wdała się w rozmowę ze staruszkiem przy kasie i zapytała go od niechcienia, na swoje nieszczęście, czy przypadkiem nie zna jakiejś krótszej drogi do Wallace? Chciała ominąć autostradę! Zachciało jej się skrótów, to teraz ma. Gdyby go nie posłuchała, nie znalazłaby się w takich opałach. Gdyby nie pojechała tą cholerną drogą... Ale pojechała i stało się to, co się stało. Zabłądziła i nie wie, co robić dalej. Stanąć nie może, a dalsza jazda jest czystym samobójstwem.

Nie mogła pojąć, dlaczego właściwie zabłądziła. Miała wrodzony zmysł orientacji, świetnie odczytywała mapy i orientowała się w terenie. Natychmiast zapamiętywała każdy skręt, każdy znak, najmniejszy szczegół. Ponadto miała jeszcze to, co jej ojciec nazywał „wewnętrzną busolą” - szósty zmysł, który podpowiada wędrownym ptakom właściwy kierunek drogi. Nigdy w życiu jeszcze nie zabłądziła!

Jak to się stało, że nie zauważyła objawów nadciągającej burzy? Jak mogła tego nie spostrzec? Przecież coś musiało ją zapowiadać! Jak mogła zlekceważyć wszystkie znaki na niebie i ziemi! Nie była w stanie tego zrozumieć. A może huragan nadszedł bez ostrzeżenia? Była dopiero trzecia po południu, typowy letni dzień, skręciła właśnie w wiejską drogę, kiedy ostre słońce Teksasu nagle

zgasło. Zdążyła tylko zauważyć w lusterku nadciągającą złowrogą chmurę i zanim zdołała coś zrobić - a co ona takiego, na Boga, mogła właściwie zrobić? - czarna kurtyna błyskawicznie zapadła, odcinając ją od reszty świata. Wiatr z dziką furią szarpał drzewami, porywając złamane gałęzie w szaleńczy tan wokół samochodu. Teksas słynie z niespodziewanych zmian pogody, ale ta burza to po prostu koszmar. Najgorsze są grzmoty. Za każdym uderzeniem gromu Sydney kuliła się nad kierownicą, czując, jak drży ziemia pod samochodem. Była sama wśród piorunów i błyskawic, zdana na łaskę wiatru i deszczu na drodze prowadzącej nie wiadomo dokąd.

Na sekundę oderwała wzrok od zalanej wodą szosy i zerknęła na szybkościomierz. Posuwała się z prędkością dziesięciu kilometrów na godzinę! O przyspieszeniu nie mogło być mowy. Przez głowę przemknęła jej absurdalna myśl, że gdyby nie pojechała na skróty, nie byłoby burzy. To tak, jakby powiedzieć, że bez jej decyzji nie byłoby huraganu... Tak czy owak, może mieć żal tylko do siebie. Sama jest sobie winna. No, może niezupełnie. Jest jeszcze jeden winowajca. Jej szef ma w tym swój udział i zamierzała mu to powiedzieć. Oczywiście, jeśli będzie miała okazję. Jeśli uda jej się dotrzeć żywej do Wallace, zaraz do niego zadzwoni i powie mu bez ogródek, co sądzi o jego genialnych pomysłach. Jak to on powiedział?

- Pochodzisz z Teksasu, Sydney, znasz to środowisko, wiesz jak się zachować, bo masz to we krwi. Ciebie nie będą mogli potraktować jak pierwszego lepszego pismaka, jak jakiegoś dziennikarzynę z „Washington Post”. Senator James Darcy Fowler przyjmie cię z otwartymi ramionami.

Akurat prawda! Senator Fowler zgodziłby się na wywiad, nawet gdyby miała dwie smocze paszcze i syczała jak jadowity wąż. Znała polityków na wylot. Wcale jej się nie paliło do tego spotkania; prawdę mówiąc, wcale nie miała na nie ochoty. Przetarła ręką zmęczone oczy i znowu wlepiła je w szybę. Nie czas na medytacje. Teraz nie wolno jej myśleć o niczym innym. Musi się skupić nad tym, co robi. Nad tą cholerną, zalewaną strugami wody drogą. Łatwo powiedzieć...

Jej nieposłuszne myśli odrywały się od rzeczywistości i krążyły gdzieś daleko, wokół spraw nie mających nic wspólnego z obecnym niebezpieczeństwem. Tak jakby szalejący tuż obok huragan wcale jej nie dotyczył.

Po prostu za dużo pracuje. Ostatnio chyba przedobrzyła. Propozycja szefa, żeby przeprowadzić wywiad z Fowlerem, spadła na nią w momencie krańcowego wyczerpania. W chwili słabości wizja powrotu w rodzinne strony, „do korzeni”, wydała jej się bardzo pociągająca. Dom, rodzina, wspomnienia z dzieciństwa podsunięte przez usłużną pamięć, nabrały nagle charakteru prawdziwej pokusy.

Co ty sobie znowu wymyśliłaś, biedna dziewczyno? - pomyślała z westchnieniem. Przecież tak naprawdę nie miałaś chwili spokoju w tym domu, z którego uciekałaś przy najbliższej sposobności. Cała twoja praca była tylko pretekstem, żeby tam nie wracać. O mało nie pocałowałaś szefa w łusą głowę, kiedy się dowiedziałaś, że i tym razem możesz tam jechać tylko po to, żeby zrobić wywiad! A on oczywiście, stary szakał, jest szczęśliwy, że może to wykorzystać i znowu posłużyć się tobą jak... Jak zwykle.

Zdała sobie sprawę, że mówi do siebie, co ostatnio zdarzało jej się coraz częściej, i pokręciła głową. Najwyższa pora opuścić Waszyngton i poszukać sobie czegoś w Teksasie. Na przykład w

Dallas. Polityczna scena stolicy, dawniej tak fascynująca, przestała być dla niej atrakcją. Prawdę mówiąc, przyprawiała ją o mdłości. Jeszcze jedno spotkanie, na którym dorośli mężczyźni zachowują się jak dzieci w piaskownicy, jeszcze jedna dawka wystudiowanej hipokryzji i górnolotnych słów bez najmniejszego pokrycia i... zacnie rzygać.

Zdjęła rękę z kierownicy i rozprostowała palce, nie spuszczając drogi z oczu. Spróbowała się skoncentrować. Jeden nieostrożny ruch i znajdzie się w rowie pełnym rwącej wody. Zmrużyła oczy, próbując przeniknąć wzrokiem ciemność. Nagle zdała sobie sprawę, że bardzo się boi. Strach, który nagle dotarł do jej świadomości, wcale nie był związany z sytuacją, w której się znalazła. Nappełniło ją to dodatkowym niepokojem. Coś ją dręczyło, jakaś myśl albo uczucie; coś było nie tak. Poczula się nieswój o, tak jakby wszystkie dotychczasowe punkty odniesienia nieoczekiwanie przestały istnieć. Była zawieszona w próżni. Serce zaczęło walić jej jak młot, w ustach poczuła suchość. Miała dziwne wrażenie, że wstrząsają nią dreszcze, chociaż w rzeczywistości wcale nie drżała. Drżał świat wokół niej. To wszystko ten huragan, ta burza. Znowu przetarła oczy. Zmęczenie, ciemność, nagła zmiana pogody, wichura - wszystko to sprawia, że rozum zaczyna płać figle.

Nagle potężna błyskawica rozdarła niebo i jej światło rozjaśniło drogę przed samochodem. Sydney wzdrygnęła się i na ułamek sekundy zamknęła oczy. Kiedy je otworzyła, ujrzała mężczyznę. Stał na środku drogi, tuż przed maską samochodu. Gwałtownie wcisnęła hamulce, ale samochód nie zatrzymał się; powolnym ruchem zaczął sunąć w stronę rowu.

Kurczowo ścisnęła kierownicę, próbując umknąć poślizgu. Spięta, czekała na odgłos ciała uderzającego o maskę samochodu. Nic takiego nie nastąpiło; słyszała tylko swój ciężki oddech. Samochód błyskawicznie obrócił się, przez moment jechał bokiem, a potem zaczął zsuwać się z drogi. Poczula, że przód auta o coś uderza i wyrznęła głową w kierownicę. Po chwili pojazd znalazł się w rowie. Poczula dojmujący ból głowy, doszedł ją trzask gnącej się blachy. Matka zawsze mówiła, że Sydney ma „zakuty łeb”, tym razem jednak wszystko wskazywało, że szyba okazała się twardsza od jej głowy. Zrobiona z solidniejszego materiału. Trafiała kosa na kamień. Ujrzała nagły błysk kolorowych świateł, jakby fontannę sztucznych ogni, potem nadeszła nowa fala bólu... i wszystko pogrążyło się w czerni.

Kiedy odzyskała przytomność, nie bardzo wiedziała, co się stało. Usiłując nie poruszać obolałą głową i unikając gwałtownych ruchów, próbowała rozeznaczyć się w sytuacji. Wokół niej w dalszym ciągu panowała ciemność; omdlenie musiało nie trwać zbyt długo. Wzięła głęboki oddech, przymknęła oczy, a potem otworzyła je znowu. Kątem oka zobaczyła, że burza przechodzi. Deszcz prawie ustał, lecz wycieraczki jednostajnym ruchem pełniły swoją powinność. Ich stukot odbijał się bolesnym echem w jej głowie. Poczula metaliczny smak w ustach. Natychmiast zrozumiała: benzyna! Wnętrze było wypełnione oparami benzyny.

Samochód lada chwila może wybuchnąć! Ta myśl nappełniła ją przerażeniem i jednocześnie dodała sił. Trzeba coś zrobić! Musi stąd uciec! Przede wszystkim należy wyłączyć silnik. Zgasić światła... Zawahała się; lęk przed ciemnością jednak przeważył. Nie może pozostać w mroku. I wtedy poczuła, że lęk nagle niknie, a rodzi się spokój. Tak jakby nagła cisza wypełniła wszystko wokół, niosąc z sobą bezruch i ukojenie. Gdyby nie dotkliwy ból głowy i ramienia, gotowa była zasnąć.

Jak dobrze byłoby oprzeć głowę, zamknąć oczy i pogrążyć się we śnie, choćby na chwilę. Już miała to zrobić, kiedy poczuła, że coś zimnego dotyka jej stóp.

Lekko schyliła obolałą głowę i przez chwilę nie pojmowała, co się dzieje. Jej stopy tkwiły w wodzie. Rów, rwąca woda, no tak, przecież samochód ześliznął się z szosy. Wszystko stawało się jasne. Skoro samochód wpadł do rowu, to woda musi dostać się do środka. Wizja pojazdu unoszonego rwącym prądem zadziałała natychmiast. Panika dodała jej sił i Sydney przystąpiła do działania.

Odpięła pasy, przesunęła się na miejsce pasażera i chwyciła klamkę. Szarpnęła, lecz drzwi ani drgnęły. Coś, pewnie woda, blokowało je od zewnątrz. Nagle stały się ciężkie jak ołowiane drzwi sejfów. Usłyszała szum wody. Jak długo to potrwa? Ile czasu jej zostało? Kiedy woda całkowicie wypełni samochód i rwący potok porwie ją z sobą? Ponownie szarpnęła za uchwyt - z tym samym rezultatem. Szybko otworzyła okno i wysunęła głowę. Próbowiła krzyżeć, wzywać pomocy. Odpowiedziała jej cisza. Pustka. Dokoła nie było żywej duszy. Nie może liczyć na niczyją pomoc. Zdana jest wyłącznie na siebie. Poczwała, że ogarnia ją panika.

Uspokój się, Sydney! Zastanów się, pomyśl!

Świetna idea!

Ponownie wystawiła głowę z okna, żeby stwierdzić, że wołanie o pomoc nie ma wielkiego sensu. Pogłębia tylko poczucie pustki i osamotnienia. Wzmaga beznadzieję. Poczwała na twarzy chłodne krople deszczu i pomyślała, że jakoś tak musi wyglądać wolność. Owszem, ale nie dla niej. Na razie nie może nawet myśleć o wolności. Musi działać, wydostać się stąd. Może zdoła prześliznąć się przez okno? Przypomniała jej się torba. Torba, a właściwie przepastny wór, który wszędzie z sobą nosiła. Miała w niej notatki, taśmy, magnetofon; nigdy się z nią nie rozstawiała. Sięgnęła na oślep za siebie i wymacała znajomy kształt. Przyciągnęła wór ku sobie, potem chwyciła brzeg okna, wychyliła się i mocno podciągnęła na rękach...

Nie bardzo wiedziała, co było potem. Musiało minąć kilka minut. Chyba znowu zemdlalam, pomyślała. Kiedy ostrożnie spróbowała się wyprostować, ostry ból przeszył jej głowę. Oswoiła oczy z ciemnością i rozejrzała się. Siedziała na skraju drogi, a wrak samochodu leżał w dole i podrygiwał w strumieniu wody. Było jej potwornie zimno, głowa pękała od bólu, powróciło uczucie straszliwego osamotnienia. Poczwała, że za chwilę rozplące się z żalu nad sobą.

Tylko się nie rozczulaj, jak widać znowu wpakowałaś się w niezłą historię. Trudno, nie pierwszy raz i nie ostatni. Teraz pomyśl, co z tym fantem zrobić. Przecież musi być jakieś wyjście.

W mdłym blasku przebijającym się przez ciemne chmury dostrzegła na tle drzew jakieś cienie. Próbowiła nie patrzeć w tamtą stronę. Pewnie to złudzenie. Przecież na tym odludziu nie ma żywej duszy, to tylko wyobraźnia płata jej figle.

Swoją drogą nie powinna tak siedzieć na poboczu. Gotowa jeszcze spowodować następny wypadek i napytać sobie nowej biedy. Tylko co właściwie ma robić? Nie miała najmniejszego pojęcia. Deszcz z wolna ustał. Była przemoczona do suchej nitki, mokre włosy jak hełm oblepiały jej głowę. Przymknęła oczy i próbowała myśleć, ale zamiast tego pogrążyła się w odrętwieniu.

- Czy coś się pani stało?

- Co za głupie pytanie! - odparła automatycznie i urwała, bo rozumiała, że to halucynacja. Głos jej się nagle załamał. Bała się otworzyć oczy, żeby nie pochłonęła jej znowu ciemna, przerażająca pustka. Osłoniła oczy dłonią i powoli zaczęła unosić powieki.

- Proszę powtórzyć - wyszeptwała.

- Czy coś się pani stało?

Głos rzeczywiście istniał. Był poważny, ciepły, kojący. Nic jej się nie wydawało. To była rzeczywistość, a nie urojenie.

- Myślałam, że już zaczynam słyszeć głosy. W szarym świetle dostrzegła zarys męskiej sylwetki.

Emanował z niej spokój i pewność siebie. Coś jej się przypomniało.

- Czy to pan szedł wtedy środkiem drogi prosto na mój samochód?

- Bardzo mi przykro, chyba tak.

Chętnie przyjrzałaby mu się lepiej, ale latarnia, którą postawił na ziemi, dawała nikłe, żółtawe światło. W jego kręgu widziała niewyraźnie tylko wysoką, szczupłą sylwetkę młodego mężczyzny.

- Ma tu pan przypadkiem samochód?

- Nie. Mój samochód, podobnie jak pani, stoczył się do rowu.

Stał teraz tak, że widziała go znacznie lepiej. Jego widok, a może rosnący ból głowy sprawiał, że z trudnością wymawiała słowa.

- Tak... Mój samochód...

Nigdy nie widziała takich przejrzyste zielonych oczu i nigdy nikt tak na nią nie patrzył.

- Czy może pani wstać o własnych siłach?

- Jak to...

- Czy może pani się podnieść? Musi pani wstać, trzeba opatrzyć rany, trzeba panią czymś przykryć. Drży pani z zimna.

Powiedział to z troską, niemal tkliwie... Poczwała, że ją podnosi. Miał takie mocne, opiekuńcze ramiona. Po chwili znowu straciła przytomność i pochłonął ją mrok.

Pierwszym wrażeniem było ciepło, wygoda, błogostan. Zaraz potem powrócił ból. Potworne pulsowanie rozsadzające czaszkę. Bała się otworzyć oczy, żeby go nie spotęgować. Bała się nagłego wtargnięcia światła, bała się, że uderzenia bezlitosnego młota staną się jeszcze silniejsze. Ostrożnie otworzyła jedno oko, potem drugie. Nic się nie stało. Otaczała ją ciepła jasność, jak gdyby bijący od czegoś blask. Przez głowę przemknęła jej myśl, że może umarła i znajduje się gdzieś w zaświatach. Po chwili jednak doszedł ją lekki zapach dymu. Odblask ognia zatańczył na ścianie. Próbowwała dostrzec coś więcej, nie unosząc głowy. Jedno mogła stwierdzić z całą pewnością. To nie jest nowoczesny szpital. Gdzie ona się właściwie znajduje?

Nie poruszając głową, skierowała wzrok w stronę, skąd dochodziło światło. Dostrzegła kamienny kominek; grube polana płonęły jasnym ogniem. Dziwne, pomyślała. Leżała w łóżku, otulona ciepłą kołdrą.

Postanowiła dowiedzieć się czegoś więcej. Lekko uniosła głowę i przezwyciężając ból, zerknęła jeszcze raz. Nie czuła najmniejszego lęku. Przepęłniał ją spokój i poczucie bezpieczeństwa. Nie

była nawet zbyt ciekawa, gdzie się znajduje. Niemal automatycznie notowała przedmioty, po których powoli przesuwało się jej spojrzenie. Wędrowało po ścianach, zahaczało o sufit. Na drewnianym stole, stojącym obok drzwi, stała latarnia i lśniący jak lustro mosiężny rondel. Dostrzegła drugie kamienne palenisko i fotel na biegunach, a także zawieszony obok kominka stare strzelby. Odetchnęła z ulgą. Leży sobie w jakimś myśliwskim domku. Ale gdzie? Jak się tu znalazła? Jeszcze raz lekko uniosła głowę i spojrzała znowu. Leżała w starym, ogromnym drewnianym łożu z rzeźbioną ramą.

Wszystkie otaczające ją sprzęty były stare. Nawet atmosfera panująca w pomieszczeniu, w którym się znajdowała, miała w sobie coś kojarzącego się z czymś bardzo odległym, dawnym, zapomnianym. Zupełnie jakby została przeniesiona w czasie... Zmrużyła oczy, zamrugowała powiekami. Nie można wykluczyć, że to wszystko efekt urazu głowy i wstrząsu psychicznego spowodowanego wypadkiem.

W pokoju panowała niczym nie zmacona cisza. Nie naruszały jej nawet krople deszczu uderzające o dach. Właśnie miała otworzyć usta i kogoś zawołać, kiedy nagle coś przykuło jej uwagę. Nad kominkiem wisiał portret pięknej, młodej kobiety. Stary, olejny portret w bogato rzeźbionej ramie. Trudno było sobie wyobrazić, żeby należał do mieszkańca domku, w którym się znalazła. Nie pasował do tego schludnego, ale ubogiego wnętrza. Był zbyt kosztowny, zbyt „wytworny”.

Przyjrzała mu się dokładniej. Sposób, w jaki kobieta siedziała, krój jej sukni i rodzaj urody wskazywały na to, że była to czyjaś praprababka. Jasne, błyszczące włosy opadały jej na ramiona, koniuszkami dotykając widocznych w głębokim dekolcie piersi.

Dziwne miejsce na taki portret. Nadawał się raczej do salonu albo muzeum. Już miała odwrócić wzrok, kiedy coś ponownie przykuło jej uwagę do damy na portrecie. Mogłaby przysiąc, że wyraz jej nieruchomej dotąd twarzy nagle się odmienił. Tak jakby łagodny uśmiech zniknął, ustępując miejsca smutkowi. Delikatna twarz spoważniała, w zielonych oczach ukazały się łzy...

Sydney poczuła, że sztywnieje z przerażenia. Ból głowy przeszedł w nagłą panikę. Znowu była dzieckiem, które przebudziło się w środku nocy w pustym pokoju, a w otaczającym mroku kłębiły się zjawy. Koszmarne cienie - znikające, kiedy otworzy oczy, gotowe wychynąć natychmiast, gdy tylko zapadnie w płytki, niespokojny sen. Była dorosłą osobą i nie mogła zachowywać się jak dziecko. O tym wiedziała, ale mogłaby przysiąc, że widziała łzy w oczach damy na portrecie; wyraźnie widziała, jak wolno spływały po delikatnych, różowych policzkach. Naprawdę widziała... Odetchnęła z ulgą, kiedy wszystko wróciło do poprzedniego stanu.

- Nie bądź dzieckiem - powiedziała do siebie i chrząknęła, bo głos miała jakiś obcy i schrypnięty. - Jest tu ktoś?

Nikt nie odpowiedział. Trudno, trzeba będzie się podnieść i rozejrzeć. Uniosła się na łokciu i zaraz opadła z jękiem. Pokój zawirował jej przed oczami, ostry ból przeszył głowę. Kiedy nieco ustąpił, poczuła, że ogarnia ją rozpacz. Leży tu sama, przez wszystkich opuszczona i bezsilna. Nie może wstać, nie może zawołać, nie może nic zrobić. Nie lubiła się nad sobą rozczulać i nigdy tego nie robiła, ale obecna sytuacja wyjątkowo się do tego nadawała. Machinalnie dotknęła nakrycia i zdumiona cofnęła rękę. Dotknęła jeszcze raz i uniosła głowę, żeby dokładniej przyjrzeć się materii,

którą była przykryta. Matka Sydney miała antykwariat i jedną jedyną pasję, a raczej obsesję: stare, drogie tkaniny. Kolekcjonowała je i świetnie się na nich znała. Coś z tego przeszło i na córkę. Sydney nie miała najmniejszych wątpliwości: przykryta była czymś, co właściwie powinno znajdować się w muzeum. Drogocenna, złotą nicią haftowana tkanina, z roślinno-zwierzęcym ornamentem. Cudowna zieleń lasu, łąki, brzozy dębów, błękit widocznego ponad ich koronami nieba... Niezwykły wyrób, prawdziwe, bezcenne dzieło sztuki. Majstersztyk.

Była tak pochłonięta tym, co ujrzała, że nie spostrzegła, kiedy ktoś stanął przy niej.

Z zamyślenia wyrwał ją znajomy, męski głos.

- Potrzebuje pani doktora.

Podskoczyła i ból przeszył jej głowę. Odczekała, aż nieco zelżeje.

- Jak zwykle zjawia się pan nie wiadomo skąd. Zwróciła twarz w jego stronę. Tak, tym razem nie miała wątpliwości. Nie był wytworem jej wyobraźni. W świetle płonących polan widziała go dokładnie. Stał przy łóżku, wysoki, opalony, lekko pochylony. W jego oczach dostrzegła troskę, która ją wzruszyła. Chciała mu powiedzieć, żeby się nie martwił, że wszystko jest w porządku, ale nie mogła wymówić słowa. Uśmiechnął się nagle tak ciepło i serdecznie, że nie mogła się powstrzymać. Poczula, jak jej usta uśmiechają się do niego. Było w nim coś trudnego do określenia, coś co kojarzyło się jedynie z dobrocią. Musiał być po prostu bardzo dobrym człowiekiem.

- Co mi się stało? - zapytała.

- Potrzebny pani doktor.

- Chyba już pan to mówił, o ile pamiętam. Podobał jej się jego staroświecki sposób mówienia.

- Nazywam się Sydney Tanner. Nie wiem, czy powinnam panu podziękować za to, że mnie pan uratował, czy wściekać się, że spowodował pan wypadek.

Schylił się i ujął jej dłonie. W jego dotknięciu było coś, co spowodowało, że ból nieco ustąpił.

- To pan wyszedł mi wtedy na jezdnię prosto pod koła, tak? - Jego obecność sprawiała, że czuła się lepiej. - Kim pan jest?

- Nazywam się Andrew Joshua Wallace. Jest mi bardzo przykro z powodu tego, co zaszło na drodze. Upłynęło dużo czasu... Nie spodziewałem się nikogo w tym miejscu.

Nie spuszczała z niego wzroku. Ubrany był w cienkie płócienne spodnie, spłowiałą niebieską koszulę; miał ciepłe, szorstkie od pracy dłonie. I ten dziwny sposób mówienia. Nigdy dotąd nie słyszała, żeby ktoś tak mówił. Tak obco akcentując słowa. Nie miało to nic wspólnego z charakterystyczną teksańską wymową.

Padające od kominka światło otaczało go dziwną aureolą, jakby otulając swoim blaskiem. Sydney znowu przymknęła oczy, tym razem nie pod wpływem bólu, lecz jakiegoś trudnego do określenia uczucia, zbliżonego do niepokoju. Coś jest nie tak. Nie bardzo wiedziała co, ale coś tu nie pasowało. Może rzeczywiście potrzebuje lekarza? Może uraz, którego doznała, jest poważniejszy, niż to się na pozór wydaje. Otworzyła oczy i zobaczyła jego twarz tuż nad sobą. Blask ognia odbijał się w jego niezwykłych, szmaragdowych oczach. Blask ognia i zmieszane z czułością zaniepokojenie. Poczula na twarzy ciepły oddech i zapach lawendowego mydła. Odsunęła się

trochę. Była jak zahipnotyzowana.

- Co pani jest? Bardzo się pani źle czuje? - spytał z niepokojem i też lekko się odsunął.

- Nie, właściwie nie... - Próbowała zebrać myśli, ale nie mogła. Ból w głowie rozdzielił się teraz na bolesne, silne pulsowanie.

- Trzeba panią zaraz zawieźć do doktora. Uderzenie w głowę może się okazać bardzo niebezpieczne. Już dwa razy pani zemdlała. Wygląda pani na naprawdę chorą.

- Jak się tu znalazłam?

- Przyniosłem panią.

Kiedy się uśmiechał, w jego prawym policzku robił się dołeczek. Rozczuliło ją to.

- Nie zdążyłam panu podziękować. - Przesunęła językiem po spieczonych ustach. - Jak daleko stąd do miasta?

- Tyle co koń wyskoczy.

Od bardzo dawna nie słyszała tego wyrażenia. Skrzywiła się.

- A w innym przypadku? Samochodem... Ma pan jakiś samochód?

Andrew przecząco pokręcił głową.

- Wpadł do rowu i rozbił się.

Przypomniała sobie, jak to było. Jej mały, wynajęty samochód stoczył się do rowu. Andrew musiał mieć taki sam wypadek nieco wcześniej.

- Jak w takim razie dostaniemy się do miasta? Nie odpowiedział, lecz spojrział w okno. Na dworze pojaśniało, deszcz przestał padać. Pojedyncze krople spadały z gałęzi z krystalicznym dźwiękiem. Milczenie się przedłużało.

- Andrew?

Znowu zakręciło jej się w głowie. Pokój zawirował.

Dziwne światło wokół postaci stojącego obok niej mężczyzny jakby się rozszczepiło.

- Andrew - powtórzyła.

Nagłym ruchem sięgnął po jej torbę leżącą na stoliku przy łóżku.

- Proszę to wziąć.

Było w jego głosie coś stanowczego i rozkazującego, tak jakby teraz on nagle zaczął się bać. A może po prostu się spieszył?

- Pani sakwojaż.

- Chwileczkę... - zaczęła, ale nie pozwolił jej skończyć.

Wcisnął jej do ręki pasek od torby, otulił pledem i bez słowa podniósł z łóżka, jakby była małym dzieckiem.

- Pojedziemy konno. Nie ma innego wyjścia.

- Andrew, ja nie umiem jeździć konno...

Myślała, że umrze. Siedziała przed nim na koniu, otulona starą materią, czując obejmujące ją silne ramię. Myślała, że umrze. Każdy krok konia ostrym bólem odbijał się w jej głowie. Miała wrażenie, że potyka się o każdy kamień i każdy napotkany korzeń. O własne kopyta, pomyślała rozpaczliwie. Ból był tak silny, że nie była w stanie błagać jeźdźca, żeby się zatrzymał. Zaciskała zęby, żeby

głośno nie jęczeć. Wróciły zaburzenia wzroku. Wszystko dokoła stało się nagle dziwne, absurdalne, niesamowite. Starła się nie otwierać oczu, żeby nie zobaczyć czegoś straszego.

Wędrowali przez gęstą, szarą mgłę, ciężki opar, uniemożliwiający określenie miejsca i pory dnia. Wszystko było nierealne, jakby zastygłe w matowej poświacie. Gdzieś w górze, wysoko, blado jaśniało niebo, ale tunel z gałęzi sprawiał, że było równie nierealne jak cała równina, którą przemierzali. Kilka kropli spadło jej na twarz, czasem czuła dotknięcie mokrych liści. Droga zdawała się nie mieć końca. Ogarnęła ją potworna senność.

Obudził ją bezruch. Bezruch i cisza. Ból drażył jej czaszkę swoim własnym rytmem, nie bacząc na to, że kołysanie ustało. Znajdowali się na skraju drogi. Poznała to miejsce, tu właśnie miała wypadek. Kiedy to właściwie było? Ubiegłej nocy? Może kilka godzin temu? Może dni? Czas gdzieś się rozplątał, bardziej nieuchwytny niż kiedykolwiek. Rozpuścił się w nicości. Próbowwała spojrzeć na mężczyznę, ale brzeg materii zasłaniał jej widok. Czuła tylko silne, podtrzymujące ją ramiona.

- Dlaczego się zatrzymaliśmy?
- Muszę panią tu pozostawić.
- Co takiego?

Zanim zdążyła zaprotestować, poczuła, że wysuwa się z ciepłego kokona tkaniny i dotyka stopami ziemi. Zrobiło jej się słabo, w głowie zawirowało. Silne ramiona nadal ją podtrzymywały, jakby Andrew sprawdzał, czy zdoła sama utrzymać się na nogach. Kiedy kolana przestały się pod nią uginać, uścisk jego dłoni zelżał. Znowu usiłowała na niego spojrzeć, ale lekko przytrzymał ją za ramiona.

- Zaraz ktoś tu przyjedzie - powiedział cichym, łagodnym głosem. - Bardzo proszę, powiedz im, że znalazłem Mary.

Nie czuła już dotyku jego rąk. Zachwiała się, rozejrzała bezradnie. Równina była pusta.

- Andrew...

Odpowiedziała jej cisza. Wokół panowała pustka. Z daleka dobiegło ją gruchanie synogarlicy. Pomyślała, że zaraz wybuchnie płaczem. Czuła się rozpaczliwie osamotniona, chora i bezbronna. Porzucona. Dlaczego Andrew ją tu zostawił?

Z odrętwienia wyrwał ją pisk opon. Tuż przy niej gwałtownie zahamował jakiś samochód. Przysłoniła oczy ręką, próbując wytrzymać blask bladego, porannego słońca.

Z policyjnego wozu wyskoczył młody człowiek w pobrudzonym błotem mundurze. Kiedy ku niej biegł, zauważyła, że w butach ma pełno wody. Był zmęczony i wyglądał nieszczególnie, ale na jego twarzy jaśniał szeroki uśmiech.

- To pani! Dzięki Bogu. Szukaliśmy pani całą noc. Postawiliśmy na nogi całą okolicę. Wszystkie patrole są w akcji. Jak się pani czuje? Wszystko w porządku? Coś mi się zdaje, że nie za bardzo. Wygląda pani jakoś dziwnie.

Nawet gdyby chciała coś powiedzieć, nie mogła wykrztusić słowa. Pozwoliła zaprowadzić się do samochodu. Policjant sięgnął do środka przez otwarte okno, wyjął koc i zarzucił jej na ramiona. Otworzył tylne drzwiczki.

- Chyba będzie lepiej, jeśli natychmiast pojedziemy do szpitala. Jest pani bardzo blada. Jeszcze mi tu pani gotowa zemdleć.

- Chwileczkę - wykrztusiła przez zaciśnięte zęby, trzęsąc się jak osika. - Niech pan poczeka. Musi go pan zatrzymać.

Próbowała wyrwać się z jego ramion, ale siły ją opuściły i osunęła się bezwładnie. Chwycił ją w ostatniej chwili. Był młody i przerażony.

- Tylko niech mi pani tu nie mdleje, bardzo proszę.

- Musi go pan zatrzymać... znaleźć domek... i ogień na kominku... tam jest ten portret... musi tam być...

Z niemałym trudem umieścił ją na tylnym siedzeniu policyjnego samochodu.

- Boże, niech pani nie umiera...

Słyszał było, jak łączy się z innymi wozami patrolowymi, odwołując akcję. Potem z determinacją przyłożył dwa palce do jej tętnicy szyjnej i przez kilka sekund trwał w bezruchu, z napiętą twarzą, jakby czekał na wyrok. Potem jego rysy rozluźniły się i odetchnął z ulgą. Usłyszała dźwięk zapuszczanego silnika. Szczelnie otuliła się kocem i zaczęła dygotać. Dreszcze były tak silne, że ledwo do niej docierało, co się dzieje. Nie słyszała, jak młody policjant melduje, że właśnie ją znalazł, i jak łączy się ze szpitalem, mówiąc, że wiezie kobietę po wypadku, w stanie skrajnego wyczerpania i prawdopodobnie z silnym urazem głowy. Siedziała z zamkniętymi oczami, świadoma, że po policzkach płyną jej łzy. Czuła się strasznie samotna i opuszczona.

- Ile palców pani widzi? - zapytał lekarz.

Sydney zerknęła na niego z ukosa.

- Skąd mogę wiedzieć! Nic nie widzę. Tylko te błyski po latarce, którą mi pan świecił w oczy.

- Głowa pewnie bardzo boli, prawda? Mężczyzna w białym fartuchu przysunął rozczapierzone palce bliżej jej twarzy.

- No, ile? Proszę powiedzieć.

- Trzy - burknęła i spojrzała na plakietkę przypiętą do kitla lekarza. Już chciała się roześmiać, ale ból w czaszce przywołał ją do porządku. Doktor Doolittle był niedużym człowieczkiem o niemal całkowicie łysej głowie i sumiastych wąsach. Nigdy nie widziała podobnej... podobnej gęstwiny. W porównaniu z jego drobną postacią, wąsy o takiej rozpiętości przywodziły na myśl obraz zdumionego królika. Ciekawe, pomyślała, dlaczego łysi mężczyźni kompensują sobie brak włosów na głowie brodą albo wąsami... Interesujące. Na pewno psychoanalityk miałby na ten temat niejedno do powiedzenia. Gdyby pocziwy doktor był nieco większych rozmiarów, z takimi wąsami robiłby wrażenie dziarskiego zabijaki. Gdyby był wyższy i gdyby nie te okulary, pomyślała, patrząc na jego szkła w ogromnej rogowej oprawie. A tak przypominał raczej małego chłopca, który przebrał się za lekarza, wkładając biały fartuch i zawieszając sobie na szyi stetoskop. Przyjrzała mu się dokładniej, tym razem z aprobatą. Doktor Doolittle wyglądał całkiem sympatycznie.

- Naprawdę jestem tu, gdzie jestem? Czy wszystko mi się tylko wydaje?

- Zaraz sprawdzimy.

- Jak?

Doktor Doolittle nie miał zbyt wielkiego repertuaru.

- Ile palców pani teraz widzi?

- Dwa. No to gdzie ja jestem?

- Na izbie przyjęć szpitala w mieście Wallace. Pamięta pani, jak się pani tu znalazła?

Sydney zmarszczyła czoło.

- Musiałam nie zauważyć.

- Otóż to, droga panno Tanner, otóż to.

Nie był zbyt rozmowny. Zrozumiała, że trzeba będzie wyciągać z niego na siłę każde słowo. Na szczęście miała pod tym względem pewne doświadczenia.

- Niech się pan nie każe prosić, doktorze. Proszę mi szczerze powiedzieć, co z moją głową i skąd zna pan moje nazwisko.

- Cierpi pani na bóle głowy spowodowane uderzeniem. Ma pani kilka siniaków i zadrapań, to wszystko. Prześwietlenie nie wykazało żadnych złamań. Mamy prawdopodobnie do czynienia z lekkim wstrząśnieniem mózgu. Co do nazwiska... - popatrzył na stojącą obok pielęgniarkę - to tak się złożyło, że siostra Paulson ma znajomego w policji, dzięki czemu mogliśmy zajrzeć do pani torby.

Schował latarenkę w kształcie pióra do kieszeni na piersi.

- Na razie to wszystko. Wydaje się, że nie ma żadnych zaburzeń widzenia.

Sydney spojrzała na białe ściany izby przyjęć.

- Pachnie tu jak w kostnicy.

Doktor Doolittle nastroszył wąsy.

- Od razu widać, że nigdy nie była pani w kostnicy. Zapewniam panią, że pachnie tam zupełnie inaczej. Wyglądał teraz jak mysz, która zwęszyła kawał sera.

- Na pożegnanie proszę mi jeszcze raz powiedzieć, ile palców pani widzi?

- Sześć, a co do kostnicy, to bywałam tam nieraz, kiedy pisałam artykuły do kroniki wypadków. Dobrze wiem, czym tam pachnie. Tak mi się teraz przypomniało.

- Racja, jest pani dziennikarką. Emma mówiła mi, że Howard wspominał jej o tym wypadku i poszukiwaniach.

- Emma?

- To znaczy obecna tu siostra Paulson. Potworny ból głowy nie był w stanie stępić zawodowej ciekawości Sydney. Spojrzała na pielęgniarkę. Emma należała do tych pogodnych, młodych kobiet, które swoją nadwagę traktują z przymrużeniem oka, reagując na nią jedynie stopniowym poszerzaniem spódnic. Wystarczył jeden rzut oka na wesołe, brązowe oczy i uśmiechniętą buzię, by dojść do wniosku, że Emma lubi wiedzieć wszystko o wszystkich, co wcale nie znaczy, że żyje życiem innych. Po prostu obserwowanie życia bliźnich ją bawi; wzbogaca w ten sposób swoje własne życie i zyskuje do niego dystans. Miała jakieś dwadzieścia kilka lat i niewyparzony język. Zawodowa intuicja podpowiedziała Sydney, że ma przed sobą marzenie każdego dziennikarza, kopalnię informacji, niewyczerpaną studnię plotek i wiadomości o wszystkich mieszkańcach miasteczka.

- Kto to jest Howard?

- Miejscowy policjant.

Lekarz chrząknął, a Emma się roześmiała.

- Może powinnam dodać, że do tego jest synem szeryfa. Był dumny jak paw, że to on panią znalazł.

Zaczerwieniła się i fakt ten nie uszedł uwagi Sydney.

- Musicie być z Howardem bardzo zaprzyjaźnieni.

Emma rzuciła lekarzowi szybkie spojrzenie spod długich rzęs i pokręciła głową, odmawiając odpowiedzi. Sydney poczuła na sobie spojrzenie rozbawionych, brązowych oczu i mogłaby przysiąc, że Emma puściła do niej oko.

- Skoro panie mają ochotę, proszę sobie rozmawiać dalej. Ja wracam do swoich pacjentów.

Mały, wąsaty lekarz próbował wycofać się z godnością.

- Co pan piep... mówi - poprawiła się szybko Sydney. - Przecież oprócz nas nie ma w izbie przyjęć żywej duszy. A teraz proszę mi powiedzieć, co było z moimi oczami.

- Nic.

- Coś musiało się stać. Coś więcej, niż to bywa po zwykłym uderzeniu w głowę. Widziałam mnóstwo dziwnych rzeczy.

- Może określi to pani jakoś bliżej? W końcu jest pani dziennikarką z wielkiego miasta.

Może poda pani trochę faktów.

Sydney nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- Niezły z pana numer, doktorze. Skąd pan wie, że jestem dziennikarką?

- Emma jest dobrym detektywem.

- Rozumiem, znowu moja torba.

- Właśnie. A teraz przejdźmy do rzeczy. Ma pani jakieś problemy ze wzrokiem?

- Trochę trudno to wytłumaczyć. Może to nie była wina moich oczu, tylko światła padającego od kominka i tej latami. Wszystko miało jakby złocistą poświatę, taką aureolę. Takie rozszczepione, drżące światło na brzegach... Nie wiem, czy pan to rozumie.

Skupiła się, pragnąc jak najdokładniej opisać swoje doznania. Mówiła bardziej do samej siebie niż do niego.

- Teraz, kiedy sobie to przypominam... - Urwała, widząc ich zdumione twarze. - Wiem, że to brzmi może nieco dziwnie, ale kiedy wyszliśmy z tego domku, światło nagle zbladło, spłowiało, wszystko stało się szare i jakby zamglone. Takie... niesamowite. To jedyne słowo, jakie przychodzi mi na myśl. Coś mi się musiało stać z oczami.

Doktor Doolittle polecił siostrze zbadać pacjentce ciśnienie. Potem wyjął z kieszeni latarkę w kształcie pióra i powtórnie obejrzał jej źrenice.

- Panno Tanner...

- Proszę mówić do mnie Sydney.

- Dobrze. Wspomniałaś o jakimś świetle bijącym od kominka i o jakiejś latami, a przecież znaleziono cię na szosie. Jeszcze raz szeroko otwórz oczy. Chciałbym dokładnie obejrzeć spojówki.

Zrobiła, o co prosił, i zaraz cofnęła głowę.

- Od tego bardziej boli.

- Przepraszam. Opowiedz mi jeszcze raz o tamym świetle i tym... domku.

- Po wypadku znalazłam się w myśliwskim domku w lesie. Było tam ciepło, zresztą byłam przykryta narzutą. Dopiero rano znalazłam się na drodze i tam spotkałam tego policjanta.

Dlaczego oboje patrzą na nią tak, jakby uciekła z domu wariatów? Umilkła i odczekała, aż płomyczki przed jej oczami przestaną tańczyć.

- Po prostu niepotrzebnie pojechałam na skróty. Złapała mnie burza. Dokoła było ciemno choć oko wykol.

- To znaczy, że zaburzenia wzroku wystąpiły po raz pierwszy po wypadku?

Bolesne pulsowanie rozsadało jej głowę.

- Miałam wypadek. Samochód wpadł do rowu i wtedy nagle...

- Proszę już nic nie mówić - przerwał jej lekarz. - Emmo, zostawimy tu panią na obserwacji.

Dokładnie wszystkiemu się przyjrzymy.

Już chciał odejść, ale go zatrzymała.

- Jeszcze chwileczkę.

Głos pełnym bólu echem zadzwieczał jej w głowie. Jęknęła i opadła na poduszki.

- Chcesz, żebym zadzwonił do kogoś z twoich bliskich?

- Nie! Nie ma potrzeby. Po co niepokoić ludzi z powodu zwykłego uderzenia w głowę?

Ledwo skończyła mówić, lekarz wykonał w tył zwrot i zniknął z pola widzenia. Również ciche stąpnięcia siostry Emmy zaczęły się oddalać.

- Poczekaj. Dlaczego tak na mnie dziwnie patrzyliście, kiedy mówiłam o tym domku i ogniu na kominku?

Pocziwy doktor Doolittle wydawał się zdumiony.

Emma roześmiała się.

- Od razu widać, że jego nazwisko z czymś ci się kojarzy. Trudno, żeby nie... My też nieraz trochę się z tego podśmiewamy za jego plecami. - Spowaźniała nagle. - Ale to naprawdę dobry lekarz. Ma tylko dość rozbudowane ego. Zaraz tu wrócę i przeniosę cię do twojego pokoju. Tam ci będzie wygodniej.

- Nie odpowiedziałas na moje pytanie, siostro.

- Nie, nie odpowiedziałam.

- No to słucham.

- Howard powiedział, że znalazł cię na Piney Creek Road. To kompletne pustkowicie. W promieniu kilku kilometrów nie ma nic oprócz lasów.

- Nie ma żadnych domów?

- Nic a nic.

- Głupie gadanie - zaczęła Sydney i umilkła, zorientowawszy się, że pielęgniarka odeszła.

Zamknęła oczy.

W takim razie Howard się pomylił. To musiała być inna droga. Już ja sama najlepiej wiem, co się stało i co widziałam.

Obudził ją cichy śmiech i ściszone głosy. Nie musiała podnosić głowy, żeby się zorientować, do kogo należy jeden z nich. Stał zwrócony do niej bokiem, opierając się o stolik, przy którym siedziała starsza pielęgniarka, chichocząca jak nastolatka.

Nie miała żadnych wątpliwości: to był Andrew. Tak samo wysoki, szczupły, o szerokich ramionach. Ten sam ostro zarysowany profil, ciemne, lśniące włosy. Co prawda miał teraz na sobie niebieskie dzinsy i białą koszulę z podwiniętymi rękawami, ale był to ten sam mężczyzna. Nie mogła go nie poznać. Tyle dla niej zrobił. Przypomniała sobie troskę w jego oczach, opiekuńcze dotknięcie. Poczucie bezpieczeństwa, jakiego zaznała w jego obecności, coś zupełnie niezwykłego i „specjalnego”, co przy nim czuła. Jednego tylko nie mogła zrozumieć: dlaczego po tym wszystkim zostawił ją nagle samą na środku drogi? Nadszedł czas, żeby i to sobie wyjaśnić.

- Andrew... - chciała zawołać, ale z jej ust wydobył się tylko słaby szept.

Chrząknęła i spróbowała jeszcze raz.

- Andrew.

Rozejrzał się ze zdziwieniem i spojrzał na nią obojętnym wzrokiem.

- Cześć - powiedział uprzejmie.

Oślupiała. Chyba zwariował. Sydney nie była przyzwyczajona do takiego traktowania. Zwykle to ona miała ostatnie słowo. W końcu rozmowy z ludźmi to jej specjalność.

- Witam - powiedziała z przekąsem. - Chciałam po prostu bardzo podziękować za wszystko, co dla mnie zrobiłeś i przy okazji zapytać, dlaczego potem zostawiłeś mnie samą na skraju drogi.

- Co takiego? Nie bardzo rozumiem.

Zachowywał się co najmniej dziwnie. Jego jeszcze przed chwilą roześmiane, zielone oczy patrzyły na nią z osłupieniem. Wyglądał, jakby zamierzał poszukać kaftana bezpieczeństwa. Zmieszana, postanowiła wycofać się z honorem.

- Skoro tak... w takim razie niech będzie. Nie chcę ci psuć zabawy.

Andrew uważniej przyjrzał się jej zagniewanej twarzy, spojrzawszy w błękitne, pełne żalu oczy, i uśmiechnął się. Ładna była z tymi kasztanowatymi, prawie rudymi włosami. Ciekawe, jak można osiągnąć taki kolor? To by mu się nawet przydało w jego eksperymentach... Miał dziwne wrażenie, że gdzieś już ją widział. Tak, na pewno. Nie mógł tylko przypomnieć sobie, gdzie i kiedy. Próbował dopasować imię do tej twarzy, rozświetlonej błękitnym, rozczarowanym spojrzeniem. Nie mogła to być żadna z jego dziewczyn ani przejściowych narzeczonych. Nigdy by jej nie zapomniał. Należała do kobiet, które mężczyźni pamiętają.

Błagalnie spojrzawszy na pielęgniarkę, oczekując pomocy. Anne English odpowiedziała mu wzruszeniem ramion. Znikąd ratunku. Zmarszczył brwi. Ta dziewczyna na łóżku wspomniała coś o zabawie.

- Żeby nie psuć sobie zabawy, może najpierw się przedstawmy. Jestem Andrew Wallace.

- Doskonale wiem, kim jesteś. Ostatnią noc spędziliśmy razem.

Zatkało go.

- Nie - wykrztusił.

- Owszem.

Nerwowo poprawił dłonią włosy.

- Nie. Jestem pewien. Gdyby tak było, to proszę mi wierzyć...

- Jestem Sydney Tanner - powiedziała ostrym tonem. - Nie udawaj, że mnie nie znasz.

- Nie jestem jeszcze tak stary, żeby nie pamiętać takich rzeczy. Nie mam sklerozy, nie cierpię na amnezję. Gdybym tę noc spędził z tobą, na pewno bym nie zapomniał.

Po raz pierwszy w życiu musiała się poddać. Nie była w stanie ciągnąć tej rozmowy - nie z powodu braku argumentów, lecz potwornego bólu, który na nowo rozszalał się w jej głowie. Dlaczego on się wypiera? Dlaczego udaje? Dlaczego chce ukryć to, co się wydarzyło? Może jest żonaty? Tak, to wiele wyjaśnia. Po prostu znalazł się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze. No tak, trzeba było od razu na to wpaść. Była na siebie wściekła. Trudno, przemyśli to sobie później, kiedy ten cholerny ból trochę zelżeje.

Z ulgą powitała nadejście Emmy. Andrew też wyraźnie odetchnął na jej widok.

- Cześć, Drew.

Emma położyła szpitalny szlafrok na łóżku i przeniosła wzrok z Andrew na Sydney. Coś wyczuła. Atmosfera w pokoju była tak gęsta, że można ją było kroić nożem.

- Wygląda na to, że się znacie.

- Tak - powiedziała Sydney.

- Nie - zawtórował jej Andrew.

Emma popatrzyła na nich ze zdumieniem.

- Panna Tanner cudem wyszła z tego wypadku, prawda? - zwróciła się do Andrew, żeby coś powiedzieć i przerwać dręczącą ciszę.

- Nie wiedziałem, że miała wypadek. Sydney mruknęła coś pod nosem, ale Emma nie dopuściła jej do głosu.

- Racja, skąd możesz wiedzieć. Jej samochód wpadł do rowu niedaleko Piney Creek Road. Te tereny należą do twojej rodziny, prawda?

W spojrzeniu, jakim obrzuciła go Sydney, mógł wyczytać: co ty na to? Też nic?

- Howard znalazł ją rano przy drodze. Całe miasto nie mówi o niczym innym.

- Całą noc byłem tutaj - powiedział, nie patrząc Sydney w oczy.

- Tutaj? - Emma spojrzała na niego ze zdziwieniem, ale szybko się opanowała. - Ach, tak, Clay wczoraj się przewrócił. Jak on się teraz czuje?

Sydney, początkowo urażona, że przestali się nią zajmować, zaczęła słuchać uważnie. Interesowało ją wszystko, co dotyczyło tego mężczyzny.

- Starszy pan jak zwykle jest w bojowym nastroju i zapewne jeszcze niejedno wymyśli.

Mówiąc to, Andrew nie spuszczał wzroku z Sydney, tak jakby chciał znać jej reakcję na każdy szczegół rozmowy. Zrozumiawszy, że nie jest zadowolona ze zmiany tematu i przestaje się nim interesować, postanowił skorzystać z okazji i skierował się w stronę drzwi. Słowa Emmy sprawiły, że zastygł w pół kroku.

- Pani Tanner jest dziennikarką. Pracuje dla „Washington Post”, w stolicy.

- Wiem, gdzie jest redakcja „Washington Post”, Emmo.

W jednej chwili zmienił się nie do poznania. Jego uprzejmy dotąd uśmiech zniknął bez śladu. Zupełnie jakby to, co usłyszał, sparaliżowało go. Sydney to nie zaskoczyło. Była już przyzwyczajona. Ludzie bardzo różnie reagowali na wiadomość, że pracuje dla prasy. Na ogół negatywnie, ale w większości przypadków starali się to ukryć pod pozorem chłodnej uprzejmości. Po jego minie poznała, że nie zamierza być uprzejmy.

- Wygląda na to, że na sam dźwięk słowa „dziennikarz” wzdrygasz się z obrzydzenia - powiedziała sarkastycznym tonem.

Otworzył drzwi i spojrzał na nią przez ramię.

- Dziwisz się? Niesłusznie. Jak się pracuje w chlewie, nie można pachnieć jak róża. Tak to jest.

Słyszała już gorsze rzeczy. Gotowa była przełknąć i to. Na jedno tylko nie mogła mu pozwolić: żeby stąd wyszedł, zanim tamta sprawa nie zostanie wyjaśniona.

- Andrew! Poczekaj, musimy porozmawiać.

- Nie fatyguj się. Możesz sobie zaszkodzić. Z trudem uniosła się na łokciu. Jej oczy rozbłysły. Jeszcze zobaczymy, pomyślała, jeszcze zobaczymy. Opadając na poduszki, ujrzała nad sobą zaciekawioną twarz Emmy.

- Znaie się, prawda?

Pomogła Sydney przenieść się na wózek. Okryła ją szlafrokiem i powiozła w stronę korytarza.

- Drew to wspaniały facet. Clay wyłożył się wczoraj jak długi...

- Kto to jest Clay?

- Jego dziadek.

- Czy on jest żonaty?

- Kto? Clay czy Drew?

- Andrew. - Mówiąc to, Sydney poczuła w ustach dziwną suchość, tak jakby jej życie zależało od odpowiedzi na to pytanie.

- Nie. Już nie. Rozwiódł się kilka lat temu. Ale coś mi się zdaje, że wy się znacie.

- To nieładnie, Emmo. Wykorzystujesz mój stan i starasz się naciągnąć mnie na zwierzenia. Pielęgniarka roześmiała się.

- Jasne. Musisz wybaczyć wścibstwo biednej dziewczynie. W naszym miasteczku nic się nigdy nie dzieje. To znaczy nic naprawdę ciekawego. A tu, wyobraź sobie, taka gratka. Nagle zrywa się huragan, szaleje burza, ktoś znajduje w rowie rozbity samochód, kierowcy nie ma, policja dowiaduje się, że ten samochód wynajęła niejaka Sydney Tanner, patrol przez całą noc przeczesują lasy i wreszcie nad ranem policjant znajduje cię na skraju szosy, jak sobie siedzisz i coś majaczysz o jakimś ogniu na kominku. - Emma przerwała dla nabrania tchu. - Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że ty i Andrew próbujecie ukryć fakt, że się znacie. Przynajmniej tak mi się wydaje. Ciekawe tylko dlaczego? W tym cała tajemnica. Bo coś tajemniczego w tym jest.

Trafiłaś w sedno, pomyślała Sydney. Kręciło jej się w głowie. Emma, w ferworze domysłów, gnała wózkiem przez szpitalny korytarz z szybkością rajdowego samochodu.

- Błagam cię, zwolnij. Jest mi niedobrze i wiruje mi w głowie. To nie wyścig.

- Przepraszam, ale wciągnęła mnie ta historia. Pasjami uwielbiam tajemnice.

Gdy tylko Sydney znalazła się w łóżku, ból znów się nasilił. Spod zmrużonych powiek obserwowała krzątanicę Emmy. Pielęgniarka otuliła ją kocem i postawiła na stoliku szklanę z wodą. Była teraz dokładna i opanowana; w niczym nie przypominała rozgadanej dziewczynki, pędzącej z wózkiem po korytarzu.

- Jak długo mam tu zostać? Doktor coś ci mówił?

- Doktor Doolittle nieraz mówi zagadkami. Kiedy uznaje, że coś potrwa dwadzieścia cztery godziny, to znaczy, że ma na myśli dwa razy tyle. Taki już jest. Trochę się o ciebie martwi.

- Dlaczego? Przecież sam powiedział, że to tylko uderzenie w głowę i lekkie wstrząśnienie.

Próbowała spojrzeć Emmie w oczy, ale niewinne, błękitne spojrzenie umykało przed jej wzrokiem.

- Zdradź mi, co on ci naprawdę powiedział?

- Nie jestem upoważniona do powtarzania lekarskiej diagnozy, zwłaszcza pacjentowi, którego ona dotyczy.

- Rozumiem. - Sydney przymknęła oczy. - Doktor ci się zwierzył i nie możesz zdradzić. A już ci miałam powiedzieć, jak to było z Andrew, ale skoro...

- Jak widzę, próbujesz mnie przekupić. To nie jest czysta gra.

Stwierdziwszy to, Emma przysunęła sobie krzesło i rozsiadła się przy łóżku.

Sydney poczuła się niewyraźnie. Początkowe rozbawienie na myśl, jak łatwo jest manipulować tą dziewczyną, nagle ustąpiło miejsca wstydomi. Dobrze wiedziała dlaczego. Po pierwsze zdążyła już

polubić gadatliwą pielęgniarkę, po drugie... i to było znacznie bardziej skomplikowane. Każdy dobry dziennikarz ma swoje sposoby wyciągania informacji. Wie, jak skłonić ludzi do mówienia. Stanowi to część wiedzy, bez której nie można sobie wyobrazić wykonywania tego zawodu. Sama postępuje tak już od dawna i nieraz robi to zupełnie nieświadomie. „Podpuszczanie” stało się jej drugą naturą.

Podobne myśli bolały bardziej niż stłuczona głowa. Przecież przed laty przysięgała sobie, że nigdy nie posłuży się podobnymi metodami. Nie chce być taka jak ojciec. Nie po to niemal z nim zerwała, żeby teraz zachowywać się dokładnie według jego wskazówek. Uśmiechnęła się do Emmy znacząco.

- Dużo masz teraz pacjentów?

- Nie bardzo. Zresztą doktor sam mnie prosił, żebym zwróciła na ciebie uwagę.

- Dlaczego?

- Obawia się, że uraz może być trochę poważniejszy, niż z początku myślał. Chodzi mu o te twoje halucynacje.

- Nie miałam żadnych halucynacji - najeżyła się Sydney.

- Może ci dobrze zrobi, jak mi wszystko opowiesz. Uwolnisz się od tego. Potraktuj to jako terapię.

Emma nie była wcale tak naiwna ani tak prostoduszna, jak się na pozór wydawało. Widać było, że potrafi konsekwentnie dążyć do celu. I dobrać właściwe argumenty.

Sydney wyciągnęła się na łóżku i przymknęła oczy.

- Chyba minęłaś się z powołaniem. Byłabyś doskonałą dziennikarką.

- Trafiła kosa na kamień - powiedziała Emma i obie wybuchnęły śmiechem.

Emma była na pewno całkiem niezłym detektywem i miała w tym kierunku ogromne zdolności, ale Sydney górowała nad nią wieloletnim doświadczeniem. To był jej główny atut i zamierzała go wykorzystać.

- Chcę się stąd wydostać. Muszę się spotkać z Andrew i porozmawiać z nim.

- Pewnie już odjechał. Czekaj tylko, aż dziadka wypiszą ze szpitala. Ale zmieniłaś temat.

Trudno, trzeba zacząć z innej beczki. Odwołać się do tak zwanych ludzkich uczuć. Wzbudzić współczucie.

- Potwornie boli mnie głowa...

- O, Boże, przepraszam. Doktor powiedział, że powinnaś się przespać. - Emma podskoczyła na krześle, spojrzała na zegarek i zerwała się na równe nogi. - Mam cię budzić co godzina. Zupełnie zapomniałam. Do zobaczenia.

Sydney powoli i ostrożnie pokręciła głową, jakby chciała sprawdzić, jak zachowa się ból. No, całkiem nieźle.

- Gdzie moja torba?

- Spoczywa bezpiecznie w szpitalnym sejfie.

- Przyniesiesz mi ją, kiedy będziesz do mnie szła?

- Pod warunkiem, że się stąd nie wymkniesz, zanim mi wszystkiego nie opowiesz.

Sydney ruchem powiek wyraziła zgodę. Po odejściu pielęgniarki zerknęła na stolik w poszukiwaniu telefonu; oczywiście, nie było go. Skrzywiła usta w grymasie niezadowolenia: zanim nie odzyska torby, nie może się stąd ruszyć. Myśl o torbie przypomniała jej słowa Andrew. Prawie go widziała, wystarczyło zamknąć oczy... Podał jej torbę i powiedział: „Proszę, oto pani sakwojaż”. Dziwne, tak właśnie ją nazwał. Dręczące myśli powróciły, z podświadomości wypłynęły odczucia i obrazy, nieuchwytnie i niepokojące. Dlaczego nie chciał się przyznać, że udzielił jej pomocy? Coś ukrywa. Dlaczego udaje, że nie był tam, w lesie? Nie tylko Emma lubiła tajemnice. Sydney też. Zwykle jednak nie mogła się doczekać i zanim zaczęła czytać kryminał, zaglądała na ostatnią stronę, żeby poznać rozwiązanie zagadki. Wszystko wskazywało na to, że tym razem będzie musiała prześledzić akcję cierpliwie, od początku do końca...

Mogłaby przysiąc, że ledwo zamknęła oczy, a Emma już szarpała ją za ramię.

- Ile palców widzisz?

Sydney z jękiem dotknęła swojej obolałej skroni.

- Nie, błagam. Ty też?

- Pytałam: ile?

- Trzy.

- W porządku. Możesz spać dalej.

Podobna zabawa powtórzyła się jeszcze kilka razy. Za szóstym razem Emma zastała Sydney siedzącą na łóżku.

- Czuję się świetnie i chcę stąd wyjść.

Emma ujęła się pod boki i zamknęła drzwi nogą.

- Lepiej zostań, gdzie jesteś, bo w przeciwnym razie złapie cię Sally.

Sydney westchnęła. Jakie to typowe. Dlaczego w małych miasteczkach, gdzie wszyscy się znają, ludzie myślą, że przyjezdny musi od razu wiedzieć, o kim mowa, jak tylko usłyszy imię?

- Kto to jest Sally?

- Przyjechałaś tu, żeby przeprowadzić wywiad z senatorem Fowlerem, prawda?

Tak jakby znały się całe życie i nic, co dotyczy jednej, nie może dla drugiej stanowić tajemnicy...

- Kim jest Sally?

- Sally Pearson jest dziennikarką miejscowej gazety. To znaczy... tak naprawdę prowadzi tylko taką kronikę w „Wallace Morning Sun”, ale uważa się za prawdziwą dziennikarkę.

Wyraz twarzy Emmy dobitniej niż słowa mówił, co pielęgniarka właściwie sądzi o talencie Sally. Zorientowawszy się, że Sydney czeka na bliższe wyjaśnienia i nie zadowolony się tylko minami, mówiła dalej:

- Sally dowiedziała się o twoim wypadku i całej tej aferze. Wyciągnęła twoje nazwisko i inne dane od Henry'ego. On jest z policji, a jej córka, Joyce, chodzi z nim. Potem podsłuchiwała, jak Buddy - Buddy Hilton to właściciel gazety - rozmawia z twoim szefem. Nie pamiętam, jak on się nazywa.

- Samuel Dougherty - powiedziała Sydney. Ostrożnie podwinęła nogi i oparła brodę o kolana.

- Twój szef zadzwonił...

- Na policję? Po co Sam dzwonił na policję? - Sydney nic z tego nie rozumiała.

- Nie dzwonił na policję. Policjantem jest Henry, a Buddy jest właścicielem tej naszej gazety. Sally powiedziała, że to była po prostu taka grzecznościowa rozmowa między dwoma facetami z prasy.

Sydney westchnęła. Emma niecierpliwie klasnęła w dłonie: że też musi jej wyjaśniać takie proste sprawy. Przecież to wie każde dziecko! i

Przez chwilę obie milczały. Wreszcie pielęgniarka wróciła do swojej roli.

- Ile palców widzisz?

Tym razem Sydney nie wytrzymała i wybuchnęła niepohamowanym śmiechem. Emma poszła w jej ślady.

- Polubiłam cię - powiedziała, nagle poważniejąc. - Bardzo dziwne, ale czuję się tak, jakbym cię znała od bardzo dawna.

Przez chwilę panowała cisza. W milczeniu przypatrywały się sobie uważnie.

Emma w niczym nie przypominała przyjaciółek Sydney. Prawdę powiedziawszy, Sydney w ogóle nie miała przyjaciółek.

Bardzo dziwne, ale czuła to samo co Emma. Coś jakby przeznaczenie. Emma trochę przypominała jej młodszą siostrę, Carlę. Nie taką, jaką była obecnie; taką, jaką była przed laty, zanim matka zdołała zatruć ją myślą o karierze, powodzeniu i pieniądzu. Dawna Carla miała to samo niewinne, szczere spojrzenie i takie same iskierki rozbawienia w oczach. Obecnie Carla była równie „silną osobowością” jak jej matka.

- O czym to ja mówiłam... - podjęła rozmowę Emma. - Racja, o Sally. Węszy wszędzie, koniecznie chce cię znaleźć.

- Nie chcę z nikim rozmawiać. Jeszcze nie teraz. Sydney przesunęła się na brzeg łóżka, odchyliła kódrę i spróbowała spuścić nogi. Stwierdziła, że oprócz bólu głowy, do którego zdążyła już się przyzwyczaić, właściwie nic jej nie jest. Czuje się trochę niepewnie, ale nie dolega jej nic, co by wymagało dalszego pobytu w szpitalu.

- Jak mogę stąd wyjść?

- Bez zezwolenia doktora Doolittle to niemożliwe. A zresztą dokąd byś poszła?

- Mam przecież zarezerwowany pokój w hotelu. Tu w Wallace.

Emma skrzywiła się i chrząknęła z dezaprobatą.

- Rozumiem, że masz na ten temat coś do powiedzenia?

- Owszem. Patrycja jest najgorszą kucharką w całym mieście. Ten jej hotel to brudna dziura.

W żadnym wypadku nie możesz tam mieszkać. Będzie podsłuchiwała każdą rozmowę telefoniczną, a kiedy wyjdiesz, będzie szperała w twoich rzeczach. Zresztą, kiedy opuścisz szpital, i tak nie możesz być sama. Jeszcze całkiem nie wydobrzałaś. Takie urazy sprawiają nieraz niespodzianki. Nie możesz wyjść ze szpitala.

- Emmo...

- Nie. Nie przyłożę ręki do czegoś takiego.

- Proszę cię tylko, żebyś wstawiła się za mną u doktora Doolittle. Porozmawiaj z nim, przecież tak się lubicie. Emma rozejrzała się, jakby w obawie, że ktoś może je usłyszeć.

- Po prostu pracujemy razem. Zresztą, on się nie zgodzi. Chyba że...

- Co?

- Chyba że... Od śmierci mamy mieszkam sama w dużym domu. Jest tam dość miejsca. Właściwie mogłabyś zamieszkać u mnie, oczywiście, jeśli naprawdę postanowiłaś opuścić szpital.

- Nie chciałabym sprawiać ci kłopotu - powiedziała Sydney niezbyt szczerze. - Będę musiała tu zostać kilka dni, może nawet tydzień. Wszystko zależy od tego, na ile oporny okaże się pan senator.

- Trudno, jakoś wytrzymam.

Mrugnęły do siebie znacząco i wybuchnęły śmiechem, jak dwie dziewczynki, które spletały komuś figla.

Andrew Wallace otworzył drzwi wielkiego cadillaca i wyciągnął rękę, żeby pomóc wstać starszemu panu ze szpitalnego wózka i wsiąść do samochodu. Clay odtrącił podaną dłoń jak gryzącego insekta.

- Daj spokój, Clay. Nie bądź uparty.

Clayton Wallace groźnie spojrział na wnuka spod krzaczastych, nastroszonych brwi. Jego nie ogolone policzki i rozczochrane, siwe włosy nieodparcie kojarzyły się z nocnym pijaństwem i ciężkim życiem samotnego starca. Skojarzenie to w tym przypadku było całkowicie błędne. Nic bardziej niestosownego. Clayton Wallace był niezwykle godnym starszym panem, miejscowym notablem, podporą i twórcą największych zakładów przemysłu drzewnego w Wallace. Mimo ukończonych dziewięćdziesięciu trzech lat był w pełni sił: wiek nie stępił jego inteligencji ani skłonności do pomysłów godnych Machiavellego. Jego krótki pobyt w szpitalu był ubocznym produktem pewnego bardzo skomplikowanego planu, który trochę się nie udał. Można powiedzieć, że starszy pan przechytrzył samego siebie.

Od kilku lat Clayton Wallace robił wszystko, żeby zwabić wnuka z powrotem do miasteczka i osadzić na należnym mu miejscu w zarządzie firmy. Zaczęło się od telefonów. Uroczą, starszą pani Clayton raz po raz dzwoniła do Andrew, prosząc go, żeby pomógł dziadkowi, któremu podeszły wiek i nadwątlone siły nie pozwalają kierować firmą. A ponieważ było wiadomo, że stosunki państwa Wallace z synem nie układają się dobrze, Andrew musiał brać wykręty dziadka za dobrą monetę. Zresztą, mimo że starszy pan od bardzo dawna kierował zakładami i bynajmniej nie zamierzał wypuścić cugli z rąk, był już nieco zmęczony i naprawdę potrzebował pomocy. Dlatego wszystko dokładnie sobie umyślił.

Jednakże wpadł we własne sidła, ugrzązł jak mucha w smole. Niby wszystko szło zgodnie z planem. Los mu właściwie sprzyjał. Udało mu się sprawić wrażenie niedołęznego starca, mogącego wzruszyć serce najbardziej obojętnego wnuka. No i pamięć przestała mu nagle dopisywać, i zmiany starcze postępowały w przewidzianym tempie... Zawiodła go tylko laska, którą tak wszystkimi dyrygował. Wczoraj, kiedy próbował umknąć przed burzą, ta cholerna laska utkwiała w szczelinie między płytami chodnika i złamała się.

Teraz był zapakowany w gips od kostki do kolana, bynajmniej nie z powodu złamania kości - do tego dzięki Bogu nie doszło! - ale żeby odciążyć nadwreżone mięśnie i ścięgna. Był to nieco uciążliwy i chyba zbyt wymyślny sposób, żeby osiągnąć wyznaczony cel i ostatecznie powstrzymać marnotrawnego wnuka przed wyjazdem. Cena wydawała się wygórowana, ale czegoż się nie robi, żeby uszczęśliwić kogoś z własnej krwi i kości, nawet wbrew jego woli.

Nieźle się trzeba namęczyć, myślał teraz, żeby tego hultaja przy sobie zatrzymać, ale nie ma rady. Może i warto pocierpieć. Tylko jeden Bóg i Rosa wiedzą, jak bardzo jest samotny, jak mu to ciąży i jak trudno mu wszystkiemu podołać.

Nie to, żeby firma wymagała wielkich starań, nie. Wszystko było już na takim etapie, że właściwie kręciło się samo. Człowiek jednak nie po to buduje imperium, żeby w pewnym momencie usiąść z założonymi rękami i patrzeć. W grę wchodzi ludzie i ich losy; ktoś musi czuwać nad ogromną, skomplikowaną maszyną, doglądać jej i baczyć, żeby nie zaczęła się psuć.

Trudno. Skoro raz zaczął grać komedię, musi brnąć dalej. Teraz nie wolno mu niczego zepsuć. Schował dumę do kieszeni i przyjął podaną dłoń. Bez gderania pozwolił przetransportować się z wózka do samochodu.

- To wszystko ta cholerna burza. Jak żyję, nigdy czegoś podobnego nie widziałem. Koszmar. Drew, uważaj łaskawie na moją nogę. Następnym razem na pewno ją złamię.

- Jesteś naprawdę marudny, Clay.

Drew doskonale wiedział, co jest grane. Zdawał sobie sprawę, że jest pionkiem w przemysłnej grze, którą dziadek prowadzi z losem i własnym przeznaczeniem. Udawał, że niczego nie dostrzega, ponieważ jego niezłomne dotąd przekonanie, że nigdy nie zostanie w Wallace na stałe, stopniowo ulegało zmianie. Stare rany goiły się, błędy wspomnienia, niegdyś wypowiedziane słowa traciły moc. Po rozwodzie widział wiele spraw w innym świetle, a prośba ojca, by mu pomógł w walce wyborczej o miejsce w senacie, znacznie złagodziła dawne nieporozumienia. Wallace przestało mu się wydawać miejscem, w którym nie można żyć.

Usiadł za kierownicą dziadkowego krążownika i zapuścił motor. Samochód powoli zaczął się toczyć po szpitalnym parkingu. Stale myślał o tej dziennikarce. Ciekawe, jaką ona grę prowadzi. Trzeba bardzo uważać.

- Wszyscy w szpitalu mówili tylko o jakiejś młodej kobiecie znalezionej na szosie obok Piney Creek.

Andrew skupił się nad kierownicą, udając, że temat go nie interesuje. Starszy pan nie dał jednak za wygraną.

- Słyszałeś o niej coś?

Miał podejrzenie, że dziadek już wszystko wie o wypadku i o jego bohaterce. Takie niewinne pytania były bardzo w jego stylu.

- Widziałem ją przez chwilę w izbie przyjęć, kiedy na ciebie czekałem.

Ostre światło słońca oślepiło Andrew. Wyjął okulary z kieszeni, włożył je i odetchnął z ulgą. Był niewyspany i przepity; bolała go głowa.

- Jaka ona jest?

Wszystko wskazywało na to, że dziadek łatwo nie ustąpi.

- Niezła.

- Niezła! A cóż to za określenie! Słyszałem, że jest na co popatrzeć. Może przypadkiem wiesz, jak ona się nazywa?

Andrew westchnął i wzruszył ramionami. Na szczęście nie mógł się odwrócić.

- Sydney Tanner. Jest dziennikarką.

Clay zamilkł, ale nie na długo.

- A jak wygląda?

- Zlituj się, Clay. Nie mam pojęcia. Nie zwróciłem na nią specjalnej uwagi. Jest ładna, ma brązowe włosy, takie rudawe...

- Kasztanowe. Lubię takie. Andrew nie spuszczał oczu z drogi.

- Domyślam się.

Miała delikatne, jedwabiste włosy. Muszą być bardzo miłe w dotyku... Można ukryć w nich twarz... Podobała mu się jej fryzura, włosy przycięte do ramion i oczy: duże, błękitne.

- I co jeszcze? Jakiego koloru? Dawniej...

- Niebieskie, Clay, niebieskie. Ciemniejące pod wpływem emocji. Nieraz szmaragdowe...

- Ma oczy pełne wyrazu. Delikatną cerę, gładką, jedwabistą skórę.

Pewnie bardzo miłą w dotyku. Małe pieprzyki w kąciку ust. Doskonały do całowania.

- Musi mieć temperament. Z takimi rudawymi włosami...

Za późno uświadomił sobie, że ostatnie słowa wypowiedział na głos.

- Kasztanowymi - poprawił go dziadek.

- Właśnie.

- Nieźle jej się przyjrzałeś, mimo wszystko. Andrew zerknął na dziadka i zobaczył łobuzerski uśmiech na jego ustach.

- Słyszałem, że się znacie - rzucił Clay obojętnym tonem. - Zwracała się do ciebie po imieniu.

- Skoro wszystko wiesz, to dlaczego mnie wypytyujesz?

- Gdzie byłeś wczoraj w nocy, kiedy szalała ta burza?

Na to pytanie Andrew nie był przygotowany. Jeszcze nie.

Sydney była zawiedziona. Tak marzyła o opuszczeniu szpitala, a kiedy jej wreszcie na to pozwolono, wszystko okazało się mniej przyjemne, niż się spodziewała. Usiadła obok Emmy w samochodzie, zatrzasnęła drzwiczki i natychmiast sięgnęła do torby w poszukiwaniu ciemnych okularów.

- Chyba nikt nas nie ściga.

Ledwo zdążyła włożyć okulary, kiedy samochodzik nagle poderwał się i zatrząsł niczym pies, który wyszedł z wody. Silnik zawarczał i nagle ucichł. Potem nastąpiła jeszcze jedna próba, jeszcze kilka prychnięć i wstrząsów, i wehikuł łaskawie ruszył. Emma wcisnęła pedał gazu i niespodziewanie pomknęły przed siebie z szybkością rakiety.

- Paul nawet chętnie się zgodził. Sydney spojrzała na siedzącą obok Emmę; nie od razu zrozumiała, o co jej chodzi. Miała w głowie pustkę.

Nie była w stanie zapamiętać całej tej lawiny imion i nazwisk.

- Jaki Paul?

- Doktor Doolittle.

- Teraz rozumiem.

Spojrzała na swój strój i ze zdziwieniem stwierdziła, że dzinsy i koszulka są uprane i wyprasowane. Najbardziej zdumiewająco prezentowały się jednak buty. Jeszcze do niedawna białe tenisówki przybrały teraz osobliwą, różowawą barwę. Kolorystyczne połączenie zwiędłej malwy z... zupą pomidorową.

- Kiedy mu powiedziałam, że nie możesz zamieszkać sama w hotelu i że postanowiłam zabrać cię do siebie, uznał to za dobry pomysł. Zadzwoił do twojego szefa i załatwił wszystko, ubezpieczenie i tak dalej. Powiedział, żebyś wpadła jutro albo któregoś dnia przed wyjazdem, aby podpisać jakieś papiery. Ale masz jeszcze trochę czasu. Nie pali się. Przedtem musisz dojść do siebie.

- Bardzo ci dziękuję. W dalszym ciągu uważasz, że to dobry pomysł? Jesteś pewna, że nie zmieniłaś zdania?

- Szczerze powiedziawszy, nie lubię być sama. Zresztą chcę się w końcu dowiedzieć, skąd się znacie, ty i Andrew. Kiedy u mnie zamieszkas, będę cię miała pod ręką i łatwiej wszystko od ciebie wyciągnę.

Po jej minie widać było, że na razie hamuje się tylko ze względu na kiepski stan zdrowia „pacjentki”. Sydney z przerażeniem zauważyła, że Emma wyjeżdża z parkingu, nie zwalniając i nie patrząc w lusterko.. Już miała zwrócić jej uwagę, kiedy nagle zrozumiała. Podobne zabiegi nie miały sensu. W Wallace prawie nie było ulicznego ruchu. Kilka stojących przed szpitalem samochodów, i to wszystko; miasteczko wydawało się puste i senne.

Wallace niczym nie różniło się od podobnych siedlisk ludzkich, rozrzuconych na tysiącach kilometrów. Było dokładnie takie samo, jak wszystkie amerykańskie miasteczka. Była na to przygotowana. Właśnie czegoś takiego się spodziewała. Duże domy i małe domki, jedne zasobne inne biedniutki. Za niskim płotem pies czekający na młodego właściciela, obowiązkowy rower albo deska czy wrotki leżące wprost na wjeździe do garażu - żeby pan domu miał co przeklinać,

kiedy wróci z pracy. Doskonale знаła takie życie; kobiety całe dnie spędzające w domu, mężczyźni późno wracający z pracy.

Wzdrygnęła się, gdy nagle ogarnęły ją wspomnienia.

Nie były zbyt przyjemne.

Wiedziała też o istnieniu innej części miasta. Drugiej stronie tak zwanego normalnego życia. Okrutnej i bezlitosnej. Królestwie beznadziei i występku na skalę niewielkiego ludzkiego skupiska.

Istnieje też oczywiście elita: pięć, dziesięć rodzin, które wszystkim rządzą i od których wszystko zależy. Ci mieszkają w dużych, białych domach, ocienionych starymi dębami. Mają wielkie, zielone trawniki i ogrody, w których kwitną kwiaty. Można tam usiąść, schronić się przed upałem, sączyć mrożoną herbatę, zjeść obiad, porozmawiać, pobawić się z dobrze ułożonymi dziećmi, nacieszyć towarzystwem jeszcze lepiej ułożonych przyjaciół. Zanudzić się na śmierć.

Sydney skrzywiła się i pokręciła głową. Nieważne, gdzie się jest. Wszędzie - w Kalifornii, Wirginii czy Teksasie - małe miasta wyglądają identycznie. Ależ ona ich nie znosi! Nie cierpi wprost tego, w jaki sposób traktuje się w nich „obcych”... Co prawda, w dużych miastach wcale nie jest inaczej. Po prostu w małych miasteczkach podziały są lepiej widoczne, a życie bardziej gnuśne i męczące.

Spojrzała na przemykające za oknem ulice Wallace. Wszędzie widniały ślady niedawnej burzy. Ucierpiała nawet główna ulica, Main Street, przy której na sporym placu stała w otoczeniu dębów imponująca siedziba władz miejskich. Już miała odwrócić wzrok, znudzona schematycznością tego miejsca, kiedy jej uwagę zwróciła pewna nietypowość. Coś nareszcie było inaczej. Jedno ze stuletnich drzew odróżniało się od reszty pochyleniem górnej części pnia i jakby niesfornym przechyleniem korony. Tak jakby kiedyś, przed laty, przycięto je i zmuszono gałęzie do wytyczenia nowej drogi na okaleczonym pniu. Przypominało teraz długie ramię, trzymające parasolkę.

Przejażdżka przez Wallace uświadomiła Sydney, że mimochodem weszła już z powrotem w swoją rolę. Obserwowała, robiąc notatki w myślach. W trakcie tej czynności musiała przyznać, że miasto wygląda lepiej niż większość mu podobnych. Jak na swą wielkość i wiek robiło całkiem niezłe wrażenie. Recesja i inne ekonomiczne kataklizmy musiały oszczędzić Wallace. Duże, dobrze utrzymane domy świadczyły o zasobności mieszkańców i kwitnących interesach. Pomyślała, że jest to niezwykle odpowiednie miejsce dla kogoś takiego jak senator James Darcy Fowler. Przynajmniej jako punkt, z którego się startuje, a senator Fowler mierzył wysoko.

Przystojny, wysportowany, stosunkowo młody, a do tego bogaty, był typowym przedstawicielem nowej klasy polityków. Cieszył się poparciem sporej grupy uczciwych ludzi i jeszcze nie skorumpowanych polityków. Podczas pierwszych dwóch lat sprawowania władzy zdołał rozbić w Waszyngtonie spore gniazdo szerszeni.

Sydney słyszała pogłoski o naciskach ze strony wyborców: ludzie żądali, aby ich przedstawiciele zerwali ze starymi metodami rządzenia. Najwyższy czas, aby pojawił się ktoś nowy, nieskazitelny, albo przynajmniej mogący za takiego uchodzić. Rycerz bez skazy, pogromca smoka. Pewien niezwykle wpływowy polityk widział w tej roli Jamesa Fowlera. Coraz częściej wymieniano

nazwisko senatora. Kiedy szept w kulisach ucichły, Sydney i jej szef postanowili zainteresować się sprawą. Było oczywiste, że wokół Fowlera coś się dzieje i że jego wyniesienie na szczyty władzy jest jedynie kwestią czasu. Samuel postanowił wysłać do Wallace kogoś doświadczonego. Była zadowolona, że jego wybór padł właśnie na nią, a nie na jakiegoś nieopierzonego, goniącego za sensacją młodego reportera.

Jechała do Wallace bardzo podekscytowana swoją misją. Postać senatora interesowała ją naprawdę i nie mogła się doczekać, kiedy się do niego dobrać. Ciekawe, jaki on naprawdę jest, ten Fowler... Teraz, sunąc przez senne ulice miasteczka i czując na twarzy lekki podmuch chłodnego wiatru, zastanawiała się, co właściwie stało się z tamtymi emocjami. Cały entuzjazm gdzieś się ulotnił. Myślami krążyła nie wokół senatora Fowlera, tylko dokoła Andrew Wallace'a. Jej nos mówił, że w całej tej sprawie jest jakieś drugie dno, znacznie ciekawsze niż to, co widać na powierzchni zdarzeń.

- Co ci jest? - dobiegł ją głos Emmy. - Źle się czujesz?

- Nie. Po prostu myślę.

- O Andrew.

Sydney roześmiała się.

- Skąd wiesz?

- Poznałam po minie.

Wjeżdżały już na podjazd przed domem. Pośród drzew i kwitnących krzewów stał biały dom w stylu wiktoriańskim, z jasnoczerwonym dachem.

- Jakie to piękne. Masz uroczy dom, Emmo.

- Nie próbuj zmieniać tematu. Teraz, kiedy weszłaś w moje progi, i tak wszystko z ciebie wyciągnę. Już ci mówiłam.

W godzinę później Sydney leżała w sypialni matki Emmy, w wielkim łóżu z różowym baldachimem. Ciekawe, jaka to była kobieta, pomyślała, rozglądając się po pokoju. Odpowiedź nasuwała się sama. Był nią nastrój tego domu. Matka Emmy musiała być troskliwa, kochająca i ciepła; taka, o jakiej marzy każde dziecko. Matka, którą wspomina się z miłością. Emma musiała mieć bardzo szczęśliwe dzieciństwo, musiała być bardzo kochanym dzieckiem. Sydney poczuła ukłucie zazdrości. Jej nie było dane zasmakować czegoś podobnego. Rodzice rozwiedli się, kiedy miała dziewięć lat i nie był to jeden z tych chłodnych, uprzejmych rozwodów, którym towarzyszą lodowate uśmiechy obu zainteresowanych stron. Towarzyszyły mu sceny zazdrości i emocje, powodujące, że napięcie między rodzicami wciąż jeszcze trwało. Nie mogła sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek doszło między nimi do spotkania, które nie zakończyłoby się awanturą. Najlepiej o tym nie myśleć.

- Napijesz się lemoniady? Dać ci aspirynę?

Emma weszła do pokoju z dzbankiem i szklankami na tacy.

- Niezły pomysł.

Pielęgniarka przebrała się w dzinsy i podkoszulek, rozpuściła włosy. Wyglądała teraz, jakby miała piętnaście lat.

- Nie musisz mnie doglądać, nie jestem kaleką. Głowa boli mnie mocniej tylko wtedy, kiedy

za dużo się ruszam.

- Jestem przyzwyczajona do takich rzeczy.

- Ale nie jesteś w szpitalu. Jesteś we własnym domu. - Widząc niezadowoloną minę Emmy, szybko się poprawiła: - Dobrze, już nic nie mówię.

Pociągnęła spory łyk zimnej lemoniady z prawdziwych, świeżych cytryn.

- Doskonała. Ile ty właściwie masz lat?

Emma roześmiała się.

- Więcej niż myślisz. Trzydzieści. Niemożliwe, żeby była starsza od niej!

- Nie wierzę.

- To u nas rodzinne. Przekleństwo Paulsonów, jak mówiła moja mama. Nigdy nie wyglądałam na swój wiek. Ale ona też nie. Kiedy miała osiemdziesiąt lat, wyglądała na czterdzieści. Też niedobrze. Ale skoro już wiesz, że jestem pełnoletnia, to może mi wreszcie coś powiesz.

Sydney wzięła aspirynę i zapatrzyła się przed siebie.

- Nie mam wiele do opowiadania. Zrobiłam głupstwo i pojechałam na skróty. Zabłądziłam.

Rozpętała się burza i wpadłam do rowu. Nie, to niezupełnie prawda. Było trochę inaczej.

Emma siedziała przy łóżku z podwiniętymi nogami i wyrazem bezmiernego zaciekawienia na twarzy. Wyglądała jak dziecko zasłuchane w bajkę.

- Strasznie lało, widoczność była okropna i nagle tuż przed moim samochodem pojawił się jakiś człowiek.

- Drew? Co on tam robił w czasie burzy?

- Nie wiem. Powiedział, że wcale go tam nie było.

- Dobrze, a co było potem?

- Mam ci opowiadać wszystko, minuta po minucie?

Emma uśmiechnęła się.

- Nie. Sekunda po sekundzie.

Sydney zamknęła oczy, starając się przypomnieć sobie każdy szczegół. Tak jakby przewijała stary film.

- Przestraszyłam się, kiedy go tak nagle zobaczyłam. Zaczęłam hamować, wpadłam w poślizg i wylądowałam w rowie.

- I Andrew pomógł ci wydostać się z samochodu?

Sydney przygryzła wargi. Właściwie nie, ale dlaczego? Dlaczego nie pomógł jej wydostać się z samochodu?

- Nie. Sama jakoś wyszłam przez okno. Potem chyba znowu zemdlałam, a kiedy się ocknęłam, znowu go zobaczyłam. Stał przy mnie.

- Dziwne. Dlaczego od razu ci nie pomógł... A co było potem?

- Nic takiego. Pomógł mi wstać, znowu zemdlałam i obudziłam się w jakimś domku. Było tam ciepło i przytulnie, na kominku palił się ogień.

- W domku? W jakim domku?

- Nie mam pojęcia.

Sama nie знаła odpowiedzi na te pytania. Emma mnożyła jedynie znaki zapytania. Opowiadanie o tym, co jej się przytrafiło ubiegłej nocy, nie przyniosło najmniejszej ulgi. Przeciwnie, tylko dodatkowo ją zdenerwowało. Miała wrażenie, że opowiada jakiś koszmarny sen, którego poszczególne części w ogóle do siebie nie pasują. Upiorna układanka. A do tego niesmak. Czowała się oszukana, wyprowadzona w pole. Tak jakby ktoś sobie z niej zakpił. Wykorzystał. Nie spodziewała się czegoś takiego po kimś takim jak Andrew Joshua Wallace.

- Poczekaj, Sydney, przecież coś musiał ci powiedzieć! O czymś chyba rozmawialiście!

Sydney roześmiała się histerycznie. W tej historii nie było nic normalnego. Nic, co przypominałoby jakikolwiek znany jej przebieg zdarzeń.

- Nie, właściwie nie.

- Wcale? Ani słowa? Spędziliście ze sobą kilka godzin, nie odzywając się do siebie?

- Emmo, wiem, że to wszystko brzmi okropnie dziwnie. Mnie to też się wydaje dość nienormalne, ale nie potrafię ci nic wytłumaczyć. Powiedział mi tylko, jak się nazywa i że trzeba mnie zawieźć do lekarza. Pamiętam jeszcze, jak jechaliśmy konno przez las i strasznie trzęsło.

Emma znowu napełniła szklanki lemoniadą.

- Konno? O jakim koniu ty mówisz?

- Prawdę powiedziawszy, tego też nie wiem.

- Posłuchaj. - Emma machinalnie podała jej szklanekę. - Howard powiedział mi, że znalazł cię przy drodze, samą na kompletnym pustkowiu. Nic nie mówił o żadnym koniu. Dlaczego Drew miałby cię zostawiać przy drodze, nie mając pewności, że ktoś cię stamtąd zabierze?

- Nie mam pojęcia. Sama chciałabym wiedzieć. Zsadził mnie z tego cholernego konia i odjechał. Po prostu zniknął.

- Bez słowa pożegnania? Żadnego pa, pa, ani całusa, nic?

Sydney milczała. Ostatnie słowa, jakie od niego usłyszała, nie mogły jej przejść przez gardło.

- Nic.

Jeszcze nie może tego powiedzieć, mimo że widzi niedowierzające spojrzenie Emmy. Jeszcze nie nadszedł czas.

- Nic? Absolutnie nic? Coś musiał powiedzieć. Daj spokój, przecież widzę.

Sydney odstawiła szklanekę po lemoniadzie na nocny stolik i mocniej objęła dłońmi kolana. Próbowwała odsunąć od siebie absurdalną myśl, że zdradzi Andrew, powtarzając jego ostatnie słowa. Zaczerpnęła powietrza i w końcu wyznała:

- Zsadził mnie z konia i zanim odjechał, rzekł: „Powiedz im, że znalazłem Mary”.

- Co? To wszystko? Ale co to ma znaczyć?

Sydney odetchnęła z ulgą. Nie bardzo wiedząc dlaczego, bała się, że Emma wyjaśni jej, co znaczy to zdanie.

Zamknęła oczy.

- Czy znasz kogoś o tym imieniu? Kogoś, kto mógłby go interesować? - zapytała. Emma milczała.

- Wallace to bardzo mała miejscina - powiedziała wreszcie w zamyśleniu. - Wszyscy się tu znają i gdyby Andrew spotykał się z dziewczyną o tym imieniu, wiedziałabym o tym. Nie ma nikogo takiego. Tylko dlaczego on w takim razie... Słuchaj, Sydney, powinnaś po prostu iść do niego i zwyczajnie go o wszystko zapytać. Musi ci to wytłumaczyć.

- Też tak myślałam. Próbowałam porozmawiać z nim w szpitalu, ale zachowywał się tak, jakby widział mnie po raz pierwszy w życiu.

- Ciekawe dlaczego? To naprawdę zaczyna być interesujące.

Sydney spojrzała na nią.

- Od jak dawna go znasz?

Emma niespiesznie piła lemoniadę.

- Od jak dawna? - powtórzyła wreszcie. - Sama nie wiem. Chyba od zawsze. Nigdy się specjalnie nie przyjaźniliśmy i dlatego niewiele o nim wiem. Znam dobrze jego dziadka i babkę. Zastanawiam się, dlaczego tak dziwnie zachował się w szpitalu. Na początku może tak tylko sobie żartował, ale potem, kiedy się dowiedział, że jesteś dziennikarką... To może być powód. On nienawidzi dziennikarzy.

- Dlaczego?

- Dlaczego?

- Dobrze słyszałaś. Ciekawa jestem dlaczego.

- Może myśli, że chodzi ci o Williama. Jeszcze chwila i ją udusi. Emma miała prawdziwy talent wyprowadzania Sydney z równowagi.

- Kto to jest William i dlaczego mam go znać?

- William zginął w wypadku samochodowym dwa lata temu. Przypuszczałam, że wiesz, kim był, bo William Wallace, ojciec Andrew, startował w tamtych wyborach razem z Fowlerem. Szli łeb w łeb. William miał duże szanse, ale coś tam nie wyszło. Podobno Andrew miał jakieś podejrzenia, że nie wszystko było z tymi wyborami uczciwie, dokładnie nie wiem. Andrew z ojcem nie był w idealnych stosunkach, ale znał go dobrze i wiedział, że to nie jest człowiek, który łatwo przegrywa. - Emma westchnęła. - Kiedy wkrótce po wyborach ojciec zginął, Drew i Buddy pokłócili się na oczach całego miasteczka. Drew powiedział mu rzeczy, o których wszyscy wiedzą, ale nikt nie odważył się o nich mówić głośno. Buddy Hilton w rewanżu opublikował w swojej gazecie bardzo niepochlebne wspomnienie o Williamie. Na dodatek zrobił w tym celu specjalne wydanie „Morning Sun”. Pozbył się skrupułów i przyłożył całej rodzinie. Wynikało z tego, że każdy Wallace to bandyta, a Andrew ma nie po kolei w głowie. Taka wredna pisanina. Dlatego Andrew nie chciał z tobą rozmawiać, kiedy się dowiedział, że jesteś z prasy.

Emma odetchnęła, tak jakby wyjaśnienie było wystarczające.

- Teraz powinnaś się przespać. Nie wyglądasz zbyt dobrze.

Czuła się okropnie, ale nie z powodu choroby. Nagle zdała sobie sprawę z tego, że Emma byłaby lepszą dziennikarką od niej. Miała wrażenie, że przed przyjazdem do Wallace dobrze się przygotowała. Tymczasem w całym swoim poszukiwaniu nie natrafiła na informację, że były jakieś wątpliwości co do sposobu, w jaki wybrano senatora Fowlera. Koniecznie należy to sprawdzić. Co nie znaczy, że sprawę Andrew uważa za wyjaśnioną. Może powinna go zostawić i

skupić się na Powierzę... Coś jednak nie pozwalało jej tak postąpić. Musi się dowiedzieć, dlaczego uratował jej życie, a potem zostawił ją na pastwę losu. Musi się tego dowiedzieć i z pewnością zrobi to. Już jutro.

Ranek nie przyniósł nic nowego. Sydney z westchnieniem wsiadła do narowistego samochodziku przyjaciółki i skierowała się na podjazd. Na szczęście udało jej się wydobyć od Emmy potrzebne adresy i zmusić, żeby pozwoliła jej jechać samej. Obudziła się z poczuciem, że musi coś zrobić. Nie może czekać ani chwili dłużej. Na myśl o całej tej historii ogarniało ją podniecenie, serce zaczynało walić, w ustach robiło się sucho. Wszystko wskazywało na to, że zaczyna mieć do czynienia z obsesją. Dlatego im wcześniej wszystko wyjaśni, tym lepiej.

Potem będzie się mogła spokojnie zająć tym, po co przyjechała. To nie do pomyślenia, żeby tak zaniedbywać zawodowe obowiązki. Przyjechała zrobić wywiad i powinna zająć się tylko tym; resztę sobie darować. Co ją właściwie obchodzi, że jakiś facet pomógł jej w potrzebie, a potem wyparł się dobrego uczynku? Przecież to bez znaczenia. Grunt, że wyszła z tego cała i zdrowa. Daj temu spokój, Sydney, zostaw to, mówiła sobie, mając pełną świadomość, że i tak nie posłucha.

Ostrożnie dotknęła głowy. Skrzywiła się lekko, a potem uśmiechnęła. Wedle źródeł informacji Emmy wynajęty samochód wydobyto z rowu i odstawiono do garażu, a znajdujące się w nim wszystkie jej rzeczy były w takim stanie, że nie nadawały się do użytku. Posiadała jedynie to, co miała na sobie w czasie burzy, i przedmioty osobistego użytku znajdujące się w torbie. Teraz była ubrana w sukienkę po matce Emmy. Romantyczną, zwiewną szatę wykończoną koronkowym kołnierzykiem, tak do niej pasującą jak smoking do kowboja. Wyglądała jak ilustracja z powieści dla pensjonarek. Zwykle nosiła sportowe kostiumy i proste, przylegające do ciała sukienki. Jedynym naprawdę kobiecym akcentem były w jej stroju pantofle na wysokich obcasach. Teraz miała na nogach... Sydney spojrzała na swoje stopy i westchnęła z rezygnacją na widok różowych tenisówek. Emma dokładnie wyjaśniła jej przyczyny tej nieoczekiwanej zmiany barwy. Błoto teksańskie ma kolor czerwony, a w zetknięciu z białym, mimo wielokrotnego mycia, daje właśnie taki niezbyt fortunny efekt.

Teraz, w takim to osobliwym stroju, jechała sobie przez Wallace z mocnym postanowieniem znalezienia odpowiedzi na pytania, które dręczyły ją przez całą noc. Siłą wyciągnęła od Emmy adres „Wallace Industries”. Dowiedziała się też, że Andrew urzęduje w zakładach dziadka przez kilka godzin dziennie i doszła do wniosku, że będzie najlepiej, jeśli tam się z nim spotka.

Wyjechawszy z miasta nieco zwolniła, żeby nie przeoczyć bocznej drogi. Potem skręciła w prawo. Po około dwudziestu minutach jazdy ogarnęło ją nieprzyjemne uczucie, że znów zablądziła. Jej dawny instynkt, „wewnętrzna busola”, najwyraźniej zaczynał ją zawodzić od tamtej chwili, kiedy niebacznie zatrzymała się na stacji benzynowej i zapytała o ten nieszczęsny skrót. Droga, którą teraz jechała, do złudzenia przypominała tamtą. Niezbyt szeroka, z obu stron porośnięta drzewami, rowy pełne wody po niedawnej burzy... Potem drzewa skończyły się i wyjechała na otwartą równinę.

Postanowiła, że przejedzie jeszcze tylko kilometr lub dwa i zawróci. Z dwóch zrobiły się cztery, i jeszcze jeden. Mogłaby jechać bez końca, byleby tylko go odnaleźć. Nie było drogi zbyt długiej,

żeby dotrzeć do tego człowieka. Na widok tablicy głoszącej, że oto w tym miejscu zaczyna się teren zakładów „Wallace”, zwolniła i wreszcie się rozejrzała. Do tej pory myślała jedynie o tym, żeby nie zablądzić i była zbyt spięta, aby cokolwiek widzieć.

Zaparkowała przed bramą i weszła do środka. Rozejrzała się zdumiona i zafascynowana. Dopiero w tym momencie dotarła do niej informacja, że zakłady „Wallace” w rzeczywistości są tartakiem. Ogromną przetwórną drewna. Emma musiała jej o tym mówić, ale w obecnym stanie umysłu wszelkie informacje docierały do Sydney z opóźnieniem i wyrwykowo. Powiodła dokoła zdumionym wzrokiem: jak okiem sięgnąć, w stosach leżało drewno, a w powietrzu unosił się zapach świeżych trocin i żywicy. Wirujące wokół drobiny drzewnego pyłu lśniły jak mikroskopijne tęcze. Specjalne urządzenia nieustannie polewały drewniane kloce wodą.

Z oddali dobiegał warkot ciężarówek i maszyn tnących sosnowe bale. To muszą być piły elektryczne, pomyślała i skierowała się w stronę zabudowania, gdzie mieściły się biura.

Na chwilę przystanęła pod drzwiami, zaczerpnęła głęboko powietrza i weszła do środka. Znalazła się w chłodnym, sporym pomieszczeniu. Nie rozglądając się na boki, zdecydowanym krokiem podeszła do siedzącej przy biurku kobiety. Była osobą doświadczoną. Sztukę onieśmiania bliźnich miała doprowadzoną do perfekcji; pod jej stanowczym spojrzeniem najbardziej wytrawni politycy jękali się i plątali w zeznaniach jak dzieci.

Zanim jednak zdążyła otworzyć usta, sekretarka obrzuciła ją matczynym spojrzeniem i uśmiechnęła się.

- Dzień dobry, kochanie - powiedziała serdecznie. - Co cię do nas sprowadza w ten śliczny poranek?

Sydney spojrzała na nią, ujrzała w jej oczach odbicie dziewczynki w wiktoriańskiej sukience z koronkowym kołnierzykiem i stropiła się. Odchrząknęła.

- Chciałabym się widzieć z panem Wallace.

Sekretarka obrzuciła ją uważnym spojrzeniem.

- Z którym panem Wallace?

- Andrew Wallace - wymówiła Sydney z trudem. Co się ze mną dzieje, pomyślała. Muszę wziąć się w garść. Zwykle forsowanie okopów sekretarki zajmowało jej kilka minut.

- Chciałabym... - zaczęła ponownie.

- Drugie drzwi na lewo, przy końcu korytarza - wyrecytowała sekretarka i wróciła do pisania na maszynie, tak jakby natrętna nastolatka nie była w stanie na długo przykuć jej uwagi.

Sydney wahała się przez chwilę, po czym ruszyła we wskazanym kierunku. Wszystkiemu winien ten jej nieszczęsny strój. Sekretarka potraktowała ją niepoważnie, bo jest ubrana jak idiotka. I tak też się czuje. Czuje się nieswojo i nie panuje nad sytuacją. Dlatego została spławiona i nie zdążyła się przygotować. Wszystko poszło trochę za szybko. Nie zdążyła opracować sobie „wejścia”, a teraz było już za późno. Stała pod drugimi drzwiami na lewo, przy końcu korytarza. Pukać czy nie pukać? Skąd to wahanie, skoro zwykle wpadała wszędzie jak burza? Gdyby miała okazję, wtargnęłaby bez zastanowienia do gabinetu prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Zamknęła oczy i zdesperowana nacisnęła klamkę. Drzwi ustąpiły i zderzyła się ze stojącym w progu mężczyzną. Poczula ciepło jego ciała. Chwytając równowagę, dostrzegła spojrzenie niezbyt

przyjaznych, zielonych oczu. Wspomnienia powróciły ze zdwojoną siłą i przez ułamek sekundy czuła na twarzy zapach deszczu i ciepło bijące od kominka. Coś jednak było nie tak. Mężczyzna, którego miała przed sobą, ubrany był w dżinsy i emanował od niego zapach dobrego płynu po goleniu. Usłyszała, że coś mówi, ale nie zrozumiała słów. W jego głosie było coś nieprzyjemnego.

Patrzyła na niego, gorączkowo notując różnice. Miał w twarzy coś, czego przedtem nie zauważyła. Jakąś stanowczość i siłę. Krótsze włosy, bledszą twarz, zdecydowany wzrok, ostrzejsze rysy.

- Po co tu przyszedłeś?

Nie mógł uwierzyć, że to ona. Wyglądała zupełnie inaczej niż w szpitalu. Zupełnie inna osoba. To znaczy, zanim otworzyła usta.

- Musimy porozmawiać, Andrew. Chyba nie sądzisz, że tak to zostawię.

Andrew zdjął z wieszaka słomkowy kapelusz, ostentacyjnie włożył go na głowę, minął ją w progu i wyszedł na korytarz.

- Nie mam pojęcia, o co ci chodzi - wycedził przez zęby

Ruszył przed siebie długimi krokami, szybko zwiększając dystans między sobą a drepczącą za nim Sydney. Dogoniła go i uniosła ku niemu głowę.

- Czy jest tu jakieś ciche miejsce, gdzie moglibyśmy porozmawiać?

- Nie mamy o czym mówić.

- Nieprawda.

Gwałtownie otworzył drzwi wiodące na podwórze; uderzył w nich upał gorącego przedpołudnia.

- Podobno przyjechałaś tu, żeby zrobić wywiad z senatorem Fowlerem - rzucił jej przez ramię. - No to rób ten wywiad, a mnie i moją rodzinę zostaw w spokoju.

- Co?

Parsknął śmiechem.

- Do szanownej pani nie bardzo pasuje udawanie głupiej.

W słowach „szanownej pani” zawierały się niechęć i pogarda.

- Na imię mam Sydney. Doskonale wiesz, jak się nazywam. Jestem Sydney Tanner. W tej chwili nic mnie nie obchodzi senator Fowler ani twoja rodzina. Chcę się dowiedzieć...

- Nie możesz chodzić po słońcu bez kapelusza. Jeszcze ci zaszkodzi.

Stała na palcach, jednym ruchem zerwała słomkowy kapelusz z jego głowy i umieściła go na swojej.

- Tak lepiej. A teraz powiedz mi, dlaczego nie chcesz ze mną rozmawiać? Nie masz się czego wstydzić. Uratowałeś mi życie, przecież gdybyś...

- Sydney, gdybym uratował ci życie, wiedziałbym coś o tym, prawda?

Miał głowę zajęętą sprawami firmy i sens jej słów niezupełnie do niego docierał. Mijali właśnie zaparkowaną na podwórzu ciężarówkę.

- Bob, daj mi swoją czapkę - rzucił Andrew w stronę otwartej szoferki.

Przejął w locie pomarańczową czapkę, włożył ją na głowę i przyspieszył kroku, zostawiając rudowłosą ślicznotkę.

Jeśli rzeczywiście nie obchodzą jej nasze stosunki z Fowlerami, to musi być stuknięta, a szkoda, pomyślał. Bardzo mu się podobała. Podobał mu się sposób, w jaki na niego patrzyła, jej niebieskie oczy, delikatna, nieskazitelnie gładka skóra, rudawe włosy...

Zobaczył, że dogoniła go i znów drepcze obok.

- Posłuchaj, nie wiem, kim jesteś, nie widziałem cię nigdy w życiu, ale nie znoszę dziennikarzy - oznajmił, nie zwalniając kroku. - Dlatego, bez względu na to, co tam sobie knujesz, nie zamierzam z tobą rozmawiać i jestem zmuszony prosić cię, żebyś stąd poszła. Jeśli tego nie zrobisz, zadzwonię po policję i każę cię przymknąć.

To dobry znak, kiedy rozmówca zaczyna się denerwować. Nerwy mu puszczają i zaczyna mówić rzeczy, których w normalnych warunkach nigdy by nie powiedział.

- Sprawa jest prosta. Nie zajmę ci dużo czasu - rzuciła, zrównując się z nim. - Powiedz mi tylko, dlaczego zadałeś sobie tyle trudu i uratowałeś mi życie, ogrzałeś i udzieliłeś schronienia, a teraz się tego wypierasz. Po prostu chcę to zrozumieć.

Drew przystanął gwałtownie i spojrzał na nią z góry.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz - oświadczył dobitnie. - Nigdy cię nie widziałem. Nie uratowałem ci życia! Rozumiesz?!

Byli już obok tartaku. Zanim weszli, Andrew otworzył szafkę, wyjął słuchawki, zdjął czapkę i umieścił słuchawki na uszach, po czym włożył czapkę z powrotem i ze złośliwym uśmiechem pchnął drzwi.

Sydney postąpiła za nim, ale zatrzymała się w progu.

Z wnętrza hali buchał hałas o takim natężeniu, że nie było mowy o żadnej rozmowie. Nie słyszała nawet własnych myśli. Ogromne piły cięły drewno na kawałki różnych rozmiarów. Jakies inne maszyny sortowały je i odrzucały na bok wióry. W powietrzu wirowały trociny. Andrew pewnie myśli, że ją przechytrzył. Nie wie, że miała do czynienia z najbardziej przebiegłymi lisami w całym Waszyngtonie. Sydney Tanner łatwo nie rezygnuje. Trzeba po prostu poczekać, wymyślić coś; w tym piekle tutaj i tak nic więcej nie da się zrobić. Należy się wycofać, a potem zaatakować znowu. Więcej dyplomacji, mniej natarczywości. Miasteczko jest małe, zwierzyna daleko nie ucieknie.

Popatrzyła za odchodzącym mężczyzną. Emma dała jej jego prywatny adres. Zawsze może odwiedzić go w domu... A zresztą, ma inne sprawy do załatwienia. Powinna jak najszybciej skontaktować się z senatorem. W takim małym mieście, gdzie wszyscy wszystko o sobie wiedzą, musiał już słyszeć o jej wypadku i pewnie się dziwi, że nie zadzwoniła do niego zaraz po wyjściu ze szpitala. Chodzi o to, że po prostu nie ma teraz głowy do senatora i jego politycznej kariery.

Z ulgą oddaliła się od tartaku. Ból głowy odezwał się znowu. Sekretarka w biurze na jej widok uniosła głowę.

- Znalazłaś go, kochanie?

Sydney uśmiechnęła się z wysiłkiem.

- Tak, bardzo dziękuję. - Już miała wyjść, kiedy nagle odwróciła się i zapytała: - Po co właściwie skrapia się wodą to drewno?

- Jest strasznie gorąco. W ten sposób schładza się żywicę. W przeciwnym razie drewno mogłoby się zapalić. Przecież to jasne jak słońce.

- Teraz rozumiem.

Idąc w stronę samochodu, cały czas powtarzała sobie w myślach słowa kobiety. Słońce i ból sprawiły, że czuła, jak głowa odmawia jej posłuszeństwa. Przebiegł ją nagły dreszcz. Mogłaby przysiąc, że przyjechała do tartaku starym fordem mustangiem. Nie poznała rozklekotanego samochodziku Emmy. Chyba rzeczywiście traci rozum. Wallace w stanie Teksas, pomyślała, to naprawdę upiorne miasteczko.

Dzień doskonale nadawał się na przejażdżkę. Sydney, wypytawszy Emrnę, jak dojechać do posiadłości senatora, zgodnie z jej wskazówkami ruszyła w drogę. Nie przewidziała, że wypadnie jej jechać przez Piney Creek Road, miejsce niedawnego wypadku.

Fakt ten podziałał na nią natychmiast. Poczula drżenie rąk, przyływ gorąca, a potem chłodu, chwytający za gardło strach, przyspieszone bicie serca. Zatrzymała samochód i przez chwilę patrzyła na drogę. Niemożliwe, by Emma skierowała ją tutaj bez uprzedzenia. Musiałaby wymówić tę nazwę. To ona sama, Sydney, nie wiadomo dlaczego, jakby wiedziona jakimś tajemniczym nakazem, znowu tutaj zabrnęła. Przecież to jakiś koszmar, szepnęła i przetarła oczy.

W tej samej chwili go ujrzała. Mężczyzna na koniu z zawiniątkiem w rękę. Zamrugła oczami i obraz zniknął. Widok oddalającego się po pustej równinie jeźdźca był jednak tak wyraźny i rzeczywisty, że na chwilę zamarła w bezruchu. Znowu poczuła zapach deszczu, chłodne krople na rozpalonej twarzy... Musi za nim jechać, dogonić go, znaleźć tamten domek w lesie... Już miała nacisnąć pedał gazu, kiedy resztki zdrowego rozsądku i strach przywołały ją do porządku. Jazda po pustkowiu w poszukiwaniu zjawy nie może skończyć się dobrze. Trzeba się wycofać, i to jak najszybciej. W przenośni i dosłownie.

To drugie uczyniła natychmiast. Zawróciła i szybko odnalazła główną drogę. Czowała się dziwnie; serce biło jej tak, jakby się obudziła z koszmarne snu. Drżenie rąk nie ustępowało, a przyczajony ból w głowie odezwał się znowu. Z trudem przypomniała sobie słowa Emmy:

- Jedź prosto drogą prowadzącą z miasteczka.

Jest jasny dzień, ona jest osobą trzeźwą i rozsądną. Nie wierzy w duchy ani zjawy, nie wierzy w istnienie niczego, czego nie można wytłumaczyć.

Próbowała otrząsnąć się z natrętnych myśli i skupić na prawdziwym powodzie swojej wizyty w Wallace. Przetarła dłonią czoło i przypomniała sobie, że czeka ją ciężki dzień. Ma przeprowadzić wywiad z ważnym politykiem.

Zatrzymała się na chwilę na stacji benzynowej, żeby zadzwonić do rezydencji senatora i uprzedzić o swoim przyjeździe. Żona senatora chłodnym, uprzejmym tonem poinformowała ją, że jest oczekiwana. Dodała, że słyszeli o jej wypadku i krótkim pobycie w szpitalu, i bardzo się niepokoiili.

Powiedziawszy wszystkie uprzejme słowa, jakie wypada przytoczyć w podobnych okolicznościach, i wysłuchawszy w zamian porcji równie miłych banałów, Sydney odwiesiła słuchawkę z poczuciem, że nareszcie zaczyna wypełniać swe obowiązki. Zamyślona, wsiadła z powrotem do samochodu. Dzień naprawdę zapowiadał się nielekki. Laureen Fowler, żona senatora, nie była łatwym kąskiem. Spotkały się kilka razy na przyjęciach w Waszyngtonie. Spotkały - to znaczy widziały. Seryjny uścisk dłoni i zdawkowy, powitalny uśmiech. Do tego stopnia nic nie wiedziała o żonie senatora, że przed wyjazdem zmusiła się do zasięgnięcia o niej informacji.

Laureen Fowler była kobietą piękną. „Królowa śniegu”, pisano o niej w ilustrowanych pismach, co miało być aluzją do jej zimnej urody i powściągliwego, władczego sposobu bycia. Platynowe włosy, jasnobłękitne oczy, smukła, bardzo szczupła sylwetka. Laureen była idealną żoną dla polityka: wytworna, zręczna, doskonale dająca sobie radę z tak zwanymi środkami masowego

przekazu. Prowadziła również własne interesy: była właścicielką wielkiego salonu piękności w Dallas i głównym reprezentantem słynnych europejskich firm kosmetycznych. Sama stanowiła najlepszą reklamę swoich produktów. Wyglądała jak modelka. Do tego była milionerką.

Senator Fowler słyszał z tego, że potrafił zebrać dokoła siebie sztab niezwykle inteligentnych, młodych ludzi. Na jego czele stał John Laker, doradca i prawa ręka senatora. Sztab senatora słyszał z lojalności wobec szefa i niezwyklej skuteczności działania. To pierwsze w Waszyngtonie graniczyło z cudem, to drugie - było na wagę złota. Wiadomo, że każdy ma jakieś tajemnice, a sekrety polityka mają na domiar swoją cenę; nawet prezydent nie lubi, gdy się zbyt dokładnie szpera w szufladach jego pracowników.

Rozmyślając tak, Sydney nie spuszczała wzroku z drogi. Tym razem wskazówki Emmy okazały się niezawodne. Jej oczom ukazało się Rosehill, posiadłość i duma senatora Fowlera. Biały, olbrzymi dom w kolonialnym stylu przypominał francuskie domy z Luizjany. Wysokie kolumny, łuki, duże okna, róże pnące się po ścianach - całość przywodziła na myśl przywiązanie do tradycji i wielką zamożność starego rodu. Sydney prześledziła historię, jaką pieniądze Fowlerów przebyły od tysiąc dziewięćsetnego roku, kiedy w Teksasie ropa trysnęła z ziemi. Patrząc na ten dom, zastanawiała się przez chwilę nad jego przeszłością: było oczywiste, że był starszy niż fortuna jego mieszkańców.

Dziwnie poczuła się w małym, starym samochodziku Emmy w otoczeniu takiej potęgi i piękna. Wyobraziła sobie spojrzenie Laureen i otrząsnęła się jak z kolejnego koszmaru. Chwyliła torbę, wyskoczyła z samochodu i wbiegła na szerokie schody prowadzące na werandę, po czym kilkakrotnie uderzyła w drzwi ciężką, mosiężną kołatką. Jeszcze raz spojrzała na samochód, którym przyjechała. To coryair, a nie mustang. Tak, nareszcie ustaliła, co to za pojazd. Kolor chyba niebieski. Zastanawiała się właśnie, jak określić tę dziwną barwę, kiedy drzwi się otworzyły i stanęła oko w oko z senatorem.

James Darcy Fowler miał trzydzieści osiem lat, jasne włosy i brązowe oczy. Jego pragnieniem było uchodzić za intelektualistę, ale nie bardzo mu się to udawało. Wyglądał raczej na typowego Amerykanina, który odniósł sukces. Miał jednak jakiś wdzięk i coś, co można nazwać charyzmą; to sprawiało, że nawet przeciwnicy z czasem ulegali jego sposobowi myślenia.

- Witam panią. Bardzo proszę. Do tego był bardzo pociągającym mężczyzną.

- Z wielką przyjemnością dowiedziałem się, że wypadek nie był groźny. Laureen dzwoniła wczoraj do szpitala, myśląc, że jeszcze panią zastanie. Chciała zaproponować, żeby zatrzymała się pani u nas, w Rosehill, ale doktor Doolittle powiedział nam, że znalazła już pani inne mieszkanie.

Sydney wzdrygnęła się. Ta słodka jak miód, fałszywa, południowa gościnność. Próbowwała zachować spokój.

- Zatrzymałam się w domu Emmy Paulson. Jest pielęgniarką. Lekarz powiedział, że tak będzie najlepiej. Miałam lekkie wstrząśnienie mózgu.

Dom pełen był antycznych mebli i kosztownych bibelotów.

- U Emmy Paulson. - Spojrzał z uśmiechem na twarz dziennikarki. Podziw, jaki wyczytał, sprawił mu wyraźną przyjemność. Senator Fowler nigdy nie ukrywał, że jest bardzo bogatym człowiekiem i nie zamierzał tego robić i teraz. - Emma jest córką Alice, prawda? Wiem, że matka,

niestety, nie żyje. To była naprawdę wspiana kobieta.

Sydney kiwnęła głową, lekko zaskoczona, że senator znał matkę Emmy.

Zaprosił ją do gabinetu. Oboje z Laureen pilnowali swojego domu jak twierdzy i nigdy dotąd żaden dziennikarz nie przekroczył progu Rosehill. Wszystko, co dotyczyło prywatnego życia senatora, było pilnie strzeżone przez sztab jego ludzi. Nie był pewien, czy dobrze zrobił, że pod wpływem Laureen i Johna złamał tę niepisaną umowę. Z uznaniem spojrzał na Sydney. Sposób, w jaki obrzuciła wzrokiem osiemnastowieczny mebel, świadczył o znajomości przedmiotu. Nie każdy potrafi właściwie docenić obecność stolika chippendale w wiejskiej posiadłości. Nie każdy ma świadomość, że na świecie istnieje zaledwie pięć takich egzemplarzy. Sydney najwyraźniej wiedziała o tym. Senator odetchnął z ulgą; jego obawy zniknęły. Przypomniawszy sobie, kim jest gość i z jakiego środowiska pochodzi. Nie powinno być najmniejszych trudności.

Pierwsze wrażenie jest bardzo ważne. Zasada Sydney brzmiała: słuchać tego, co mówi instynkt. A instynkt - na widok wchodzących do gabinetu Laureen i Johna - odpowiedział jej, że coś jest nie tak. Wyczuła jakieś napięcie i podnieciło ją to. Potem, kiedy wymieniono już słowa powitania i dodatkowe uprzejmości, kiedy wyjaśniono okoliczności jej wypadku i wszyscy zasiedli w fotelach ze szklankami w rękach, atmosfera się poprawiła. Napięcie zelżało i można było przystąpić do pracy.

Sydney wyjęła z przepastnej torby mały magnetofon i włączyła go. W ciszy, jaka zapadła, poczuła na sobie wzgardliwe spojrzenie Laureen. Jej strój musiał nieco dziwić nieskazitelną ubraną panią domu. Rzeczywiście, prezentowała się nieszczególnie. Siedziała wśród tego bogactwa ubrana jak cyrkówka: w długiej sukience z falbankami i różowych tenisówkach.

Wiedziała, że obecność magnetofonu zbija ludzi z tropu i czasami z całą świadomością wykorzystywała ten fakt. Z pewną ostentacją postawiła sprzęt na stoliku.

- Chciałabym bardzo panu podziękować, panie senatorze, że zechciał pan z nami porozmawiać mimo trwających właśnie wakacji. Muszę przyznać, że jestem zdziwiona pańską zgodą na ten wywiad w sytuacji, jaka aktualnie panuje w partii. Wywołał pan niedawno burzę, oskarżając niektórych jej polityków o czerpanie korzyści finansowych z rąk lobbystów. Dziwi mnie zatem, że zgodził się pan na rozmowę z dziennikarzem w czasie, kiedy pańska partia rozpaczliwie próbuje stworzyć wspólny front po rozdarciu, jakie nastąpiło.

- Panno Tanner - przerwał jej John Laker. - Sądziłem, że powód naszego spotkania jest zupełnie inny. Pani szef zapewniał mnie, że chodzi o ukazanie czytelnikom prywatnego życia pana senatora, jego domu, rodziny, tego wszystkiego, co tak bardzo ludzi interesuje. Nie mieliśmy rozmawiać o polityce.

- Wątpię, żeby Samuel Dougherty cokolwiek obiecywał, zwłaszcza jeśli w grę wchodzi moja osoba.

Sydney miała już okazję kontaktować się z Johnem Lakerem. Spotkali się kilka razy w Waszyngtonie. Nie odniosła dobrego wrażenia i nie sądziła, że wraz ze zmianą miejsca spotkania zmieni zdanie o szefie doradców senatora.

- Znasz mnie i wiesz, jak pracuję, John. Nie prowadzę kroniki towarzyskiej. Nie przyjechałam tutaj, żeby opisywać czytelnikom uroki różanego ogrodu.

Zachowała się okropnie. Złamała pierwszą podstawową regułę południowej hipokryzji. Najpierw trzeba przecież wyrzucić z siebie lawinę uprzejmości i słodkich słówek, a dopiero potem przystąpić do ataku. Zachowała się jak przysłowiowy słoń w składzie porcelany. Towarzystwo jednak wystarczająco długo przebywało już w Waszyngtonie, żeby zapomnieć o południowych ozdobnikach. Ale ona przecież sama pochodzi z Teksasu...

Senator uśmiechnął się szeroko.

- Politycy, o których pani wspomniała, zachowali się niemoralnie. Wyborcy mają prawo wiedzieć, co robią wybrani przez nich reprezentanci i jak głosują w ważnych dla kraju sprawach. Przede wszystkim zaś, dlaczego głosują tak, a nie inaczej. To nie tylko sprawa dobrych obyczajów; to sprawa etyki. Zna mnie pani trochę, więc musi pani wiedzieć, że kto jak kto, ale ja nigdy nie będę tolerował korupcji.

Odwrócił się i ku zaskoczeniu obecnych wyłączył magnetofon.

- Zostawmy to na chwilę, dobrze? John nie chciał pani urazić, Sydney. Wie, jak pani pracuje i co pisze. Wszyscy to wiemy i dlatego zaprosiliśmy tutaj właśnie panią.

Zauważyła, jak Laureen i John wymieniają szybkie spojrzenia. Bardzo szybkie i bardzo znaczące spojrzenia konspiratorów. Odwróciła wzrok, by nie zauważyli, że ich obserwuje.

Senator mówił dalej:

- Przyjechała pani tutaj, żeby napisać artykuł o mnie i o mojej rodzinie. I chociaż nie interesują panią róże, chciałbym panią na chwilę zaprosić do ogrodu, ponieważ te róże, ogród i cały ten dom więcej pani o mnie powiedzą niż kilka godzin rozmowy.

Podał jej rękę, a kiedy wstawała, dorzucił:

- Musi nas pani lepiej poznać jako rodzinę, a nie jako osoby publiczne. Prywatność jest bardzo ważna.

Zawstydził ją. Wrażenie, że popełniła faux pas, jeszcze się spotęgowało. Zachowała się arogancko i nietaktownie, nawet jak na przebojową dziennikarkę z „Washington Post”. Coś się z nią niedobrego stało. Może dlatego, że cały czas myśli ma zajęte tamtą historią z Andrew? Musi przestać się tym zadreć i wrócić na ziemię. Do tych uroczych, gościnnych ludzi. Musi być serdeczna i otwarta tak jak oni, dokładnie tak jak oni, to znaczy: ani na chwilę nie tracąc czujności. Oczywiście, jeśli chce się dowiedzieć, co naprawdę kryje się za tymi pięknymi pozorami, bo zbyt dobrze zna polityków, by sądzić, że za różaną fasadą Rosehill nie kryje się nic.

Uśmiechnęła się.

- Z przyjemnością dowiem się czegoś o pańskiej rodzinie i przy okazji obejrzę dom. Muszę przyznać, że przygotowując się do naszego spotkania nie zabrnęłam dalej niż do roku tysiąc dziewięćsetnego, do epoki naftowych szybów w Beaumont.

Senator roześmiał się.

- Popełniła pani błąd, interesując się tylko pieniędzmi Fowlerów. Moi przodkowie byli dzielnymi farmerami, tu w Wallace, na długo zanim mój pradziadek, Darcy Fowler, do czegoś doszedł. Był zwykłym prawnikiem, rozpoczął karierę na początku tysiąc dziewięćsetnego roku. Wziął się do interesów. Mój ojciec poszedł tą samą drogą; brał udział we wszystkich wydarzeniach, które dla Teksasu coś znaczyły.

Mimo woli poczuła, że zaczyna ją to interesować.

- Pański dziadek był senatorem, prawda?
- Tak. Senator Henry James Fowler był moim dziadkiem.
- James Henry, czy tak?

Próbowała połączyć się w gąszczu imion.

- Nie - roześmiał się senator. - James Henry był moim ojcem. W każdej rodzinnej historii powtarzają się te same imiona, zarówno u mężczyzn, jak i u kobiet.

Skinęła głową.

- A pańska matka?

- Matka umarła, kiedy byłem dzieckiem.

- A kogo to znano pod przydomkiem Wieszającego Fowlera?

- Czy nie sądzicie - wtrąciła się Lauren - że pora dać spokój? Te wszystkie głupie przydomki niczemu nie służą. Chyba nie warto się nimi zajmować.

- Masz rację, kochanie. - Senator mimo to kontynuował. - To przydomko nadano mojemu pradziadkowi, sędziemu Jacobowi Fowlerowi. Ten zacny dżentelmen, którego przydomek tak denerwuje moją żonę, musiał sobie dość energicznie poczynić, ale nie wiem o nim nic więcej. Musi pani pamiętać, że Teksas w tamtych czasach, około tysiąc osiemset siedemdziesiątego roku, bo wtedy Jacob pełnił obowiązki sędziego, był krainą przemocy i bezprawia.

Gdy wyszli z gabinetu, głos zabrała Lauren.

- Jacob Fowler - rozpoczęła tonem zawodowego przewodnika - przyjechał z rodziną do Wallace około tysiąc osiemset pięćdziesiątego roku. Pochodzili ze starej francuskiej rodziny osiadłej w Luizjanie. Zostawili swoje plantacje z powodu marnych zbiorów i ogólnej bessy. I mimo że byli wychowani w starej francuskiej kulturze i przyzwyczajeni do luksusu, szybko przystosowali się do surowych warunków panujących w tym stanie. Bronili Teksasu wraz z jego mieszkańcami w wojnie domowej.

Sydney wiedziała, jak bardzo Teksasczycy są dumni z tego, że ich przodkowie ginęli za ten surowy, niewdzięczny kawałek ziemi. I jak bardzo lubią o tym mówić, rozwodząc się nad rodzinnymi zasługami i świetlaną przeszłością. Spodziewała się, że zaraz wysłucha przydługiego panu na cześć Fowlerów, ale Lauren, nieoczekiwanie zakończywszy lekcję historii, przekazała pałeczkę mężowi. Senator ujął Sydney pod ramię i rozpoczęło się zwiedzanie posiadłości.

Rosehill było miejscem naprawdę nadzwyczajnym, zwłaszcza jak na posiadłość potomków „zwykłych farmerów”. Rozległe tereny, duże przestronne stajnie, doskonale urządzone zabudowania gospodarcze. Korty tenisowe, baseny, a nade wszystko chluba pana domu: ogród różany. Panował potworny upał i Sydney z nadzieją pomyślała o szklance mrożonej herbaty, czekającej na nią w chłodnym pomieszczeniu. Skierowali się w stronę domu.

- To znaczy, że Rosehill znalazło się w rękach pańskiej rodziny w czasach, kiedy Wieszający... chciałam powiedzieć Jacob Fowler - poprawiła się szybko Sydney - przeprowadził się tutaj z Luizjany.

Senator skrzywił się lekko.

- Nie. Fowlerowie odziedziczyli Rosehill znacznie później, kiedy spokrewnili się z rodziną Darcy-Clayton.

Wszyscy nagle przystanęli na środku patio, tak jakby bez wyjaśnienia tej kwestii nie można było wejść do domu. Sydney myślała tylko o tym, żeby jak najszybciej usiąść gdzieś w cieniu. Nie zamierzała słuchać niczego więcej. Mimo woli zapytała jednak:

- Co to była za rodzina, ci Darcy-Clayton?

- James - westchnęła Laureen - wejdźmy lepiej do domu. Jest potwornie gorąco.

Ale senator i Sydney patrzyli sobie w oczy w napięciu, którego żadne z nich nie było w stanie pojąć.

- Darcy i Clayton to były dwie rodziny, które również przybyły tu z Luizjany. Jean-Luc Darcy zbudował, a raczej przebudował Rosehill. Każdy kamień, każdy fragment, każdą cegłę sprowadził ze swoich rodzinnych stron, z plantacji w Luizjanie. Kiedy jego córka, Sara Elizabeth Darcy, poślubiła Samuela Claytona, dał im ten dom w prezencie ślubnym. Ziemie Claytonów graniczyły z ziemiemi rodziny Darcy i razem tworzyły ogromną posiadłość.

Sydney zmarszczyła czoło, starając się zrozumieć skomplikowane koligacje.

- A kiedy nastali Fowlerowie?

- James - powtórzyła Laureen - Sydney dusi się na tym upale. Możemy tę rozmowę dokończyć w domu.

- Jeszcze chwila. - Nie rozumiał, dlaczego to dla niej takie ważne. - Samuel Clayton stracił żonę i syna podczas ataku Indian. Zostały mu dwie córki. Starsza została wydziedziczona, a młodsza przedwcześnie umarła na gripę. Dlatego Samuel zostawił Rosehill swojej szwagierce, która wyszła za mojego prapradziadka Jacoba Fowlera.

Nie byłaby rasową dziennikarką, gdyby nie poczuła pisma nosem.

- Dlaczego starsza córka została wydziedziczona?

- James, Sydney, dość tego.

Laureen lekko popchnęła ich w stronę drzwi. Chłodne wnętrze domu wchłonęło ludzi i dalszy ciąg rozmowy.

Sydney przez chwilę rozkoszowała się cieniem. Potem powróciło napięcie, które ogarnęło ją w ostatnich chwilach rozmowy. Musi być strasznie zmęczona upałem. A może jest po prostu głodna i chce pić? Nie mogła dociec przyczyny swego nagłego zainteresowania rodzinną historią Fowlerów. Przecież ktoś kiedyś powiedział, że nie znając przeszłości, nigdy dobrze nie zrozumie się terażniejszości. Chciała poznać tę przeszłość, ale nie było jej dane: John odwołał senatora do telefonu.

- Laureen - powiedział James odchodząc - pokaż Sydney resztę domu, a ja zaraz do was dołączę.

Laureen w okamgnieniu przemieniła się w przewodniczkę i z niezrównanym wdziękiem poprowadziła „wycieczkę” korytarzem.

Zwiedziły piętro i schodziły właśnie szerokimi schodami w dół.

- Chyba nie interesują cię meble i inne takie starocie - powiedziała Laureen w pewnej chwili.

Niewiele wiesz, pomyślała Sydney. Od dzieciństwa żyła wśród antyków. Wiedzę o stylach i sprawy związane z historią sztuki wyssała z mlekiem matki. Doskonale potrafiła odróżnić ludwiki od innych mebli, a porcelana z Sevres nie miała dla niej wielkich tajemnic. Od biedy poradziłaby sobie nawet z wazą z epoki Ming.

- Wróćmy do Jamesa, chyba już skończył. Sydney jak mogła opóźniała energiczny marsz Laureen przez pokoje, żeby nacieszyć oczy zgromadzonymi w nich przedmiotami. Kiedy przemierzały salon, idąc w kierunku gabinetu senatora, zatrzymała się nagle, jakby ściągnięta niewidzialnymi cuglami. Laureen spojrzała na nią z niepokojem. Sydney jak zahipnotyzowana przeszła przez pokój i ruszyła wprost w stronę kominka. Tam podniosła oczy i spojrzała na wiszący nad nim portret.

Nagle wszystko zniknęło, umilkły dźwięki; znalazła się w kompletnej próżni. Twarzą w twarz z kobietą na portrecie. Jasne pukle włosów okalały zaróżowione policzki. Cudowne zielone oczy spoglądały z melancholią i smutkiem. To była ta sama kobieta. J ten sam portret, który widziała w domku w lesie. Gdzieś z bardzo daleka dobiegł ją głos Laureen:

- Moim zdaniem, twarz tej kobiety powinno się wykorzystać do reklamy kosmetyków, ale James nie chce nawet o tym słyszeć. A szkoda. Ma cudowną skórę i te oczy, zupełnie niezwykle oczy.

Laureen dostrzegąca tylko urodę i płynące z niej korzyści. Sydney odczytywała z twarzy na portrecie przedziwną mieszaninę miłości i smutku. Poczowała dławienie w gardle. Ta kobieta musiała bardzo kochać i być bardzo kochaną.

- Kto to jest?

- Mary Clayton, córka Samuela Claytona.

Serce Sydney nagle przestało bić.

- Mary Clayton - powtórzyła ze wzrokiem wbitym w obraz. - Już gdzieś widziałam ten portret.

- To niemożliwe. Oryginał jest tutaj.

- Może są jakieś kopie.

- Nie. Istnieje tylko ten jeden egzemplarz. Chciała jej powiedzieć, że się myli i że istnieje drugi taki sam portret Mary Clayton. Chciała jej powiedzieć, że wisi w domku myśliwskim w środku lasu, ale w porę ugryzła się w język. Powtórzyła tylko, jakby ważyła ciężar każdego słowa:

- Mary Clayton.

- Niezupełnie. - W drzwiach stanął senator Fowler. Obie kobiety odwróciły się na dźwięk jego głosu. - Nazywała się Mary Clayton-Wallace.

Sydney znowu spojrzała na portret; słuchała senatora, wpatrzona w zielone, pełne smutku spojrzenie.

- Mary była starszą córką Samuela Claytona i Sary Elizabeth Darcy-Clayton. Ojciec wydziedziczył ją za to, że poślubiła Wallace'a.

Napięte do ostateczności nerwy Sydney w każdej chwili groziły wybuchem. Poczowała gęsią skórę na ciele i drgnęła.

- Źle się pani czuje?

Dlaczego tak reaguje na wiszący na ścianie portret? Widziała go już w domku Andrew, teraz widzi go tutaj. Poza tym wie także, że kobieta nazywała się Mary Clayton-Wallace... Nie mogła uporządkować myśli. Rozbiegały się na wszystkie strony; nie mogła nad nimi zapanować.

Stała bez ruchu tak długo, aż Laureen dotknęła jej ramienia. Ocknęła się, wróciła do rzeczywistości. Jediną myślą, jaką mogła sformułować, było przekonanie, że Andrew ją oszukał. Z jakiegoś powodu kłamał i udawał. Próbował sobie z niej zakpić i postanowiła za wszelką cenę dowiedzieć się dlaczego.

Teraz najważniejsze to wydostać się z tego domu. Oderwać oczy od portretu, w miarę normalnie pożegnać się i uciec gdzieś, gdzie można spokojnie pomyśleć. Jak we śnie wymamrotała coś, co można by uznać za podanie powodu nagłego pośpiechu, pożegnała senatora i jego żonę i pędem zbiegła po schodach. Już w samochodzie dostrzegła kątem oka emblemat mustanga na kierownicy, gwałtownie przekreśliła kluczyk, mężnie wytrzymała przeraźliwy zgrzyt, po czym wcisnęła gaz i ruszyła.

Z najbliższej stacji benzynowej zadzwoniła w dwa miejsca. Najpierw do biura zakładów „Wallace”, gdzie jej powiedziano, że Andrew już wyszedł i pewnie jest w domu, potem - do szpitala, gdzie zostawiła wiadomość dla Emmy, że wróci później, niż myślała. W chwilę potem mknęła już drogą w kierunku domu Andrew.

Nerwy miała napięte do ostateczności. Zawsze była osobą rozsądną, kierującą się zdrowym rozsądkiem i rozumem. Teraz było inaczej. Najgorsze było to, że w tej sprawie rozsądek i rozum okazywały się bezsilne. Nie wiedziała, jak można to, co ją dręczy, poddać obiektywnej analizie. Przemyśleć, zracjonalizować. Kiedy Andrew po raz pierwszy stanął przy niej na drodze, poczuła coś, a to coś wykluczało chłodny namysł i zrozumienie.

Posłuchaj, Sydney, powiedziała sobie, zawsze byłaś niegłupia. Wysłil teraz swój mózdzek i znajdź jakieś rozwiązanie. Cudów nie ma. Nawet jeśli poczułaś coś nadzwyczajnego, to można chyba to jakoś nazwać. Na przykład: pożądanie. Nieoczekiwane, absurdalne uczucie wobec kogoś, kogo widzi się po raz pierwszy w życiu. Dziwne, ale trudno, zdarza się. Potem zobaczyłaś go znowu w szpitalu i poczułaś to samo. Zrobiło ci się wstyd i próbowałaś to ukryć. Dlatego tak wszystko pokręciłaś, bo wstydzisz się przyznać przed samą sobą, że chodzi ci o seks. Dlatego się wściekasz i miotasz.

Pokręciła z dezaprobatą głową. Od pewnego czasu mówiła sama do siebie. Rozejrzała się, zwolniła i zjechała z głównej szosy. Droga wiodąca do domu Andrew była potwornie wyboista i grząska, ale nie zawróciła. Brnęła dalej z uporem, wciskając pedał gazu, zaciskając zęby i zmuszając mały samochodek do wysiłku przekraczającego jego możliwości. Powinna właściwie wybrać się tutaj samochodem terenowym. Wyobraziła sobie Andrew za kierownicą land rovera: w rozpiętej koszuli, kapeluszu, strzelbą rzuconą na tylne siedzenie. Na pewno lubi muzykę country, pija piwo z puszki, siedzi z nogami na stole i jest całkiem nieciekawym facetem.

Takimi i podobnymi myślami próbowała rozładować napięcie. Trochę jej się udało. Kiedy za zakrętem ukazał się wreszcie duży, zaniedbany dom, była w znacznie lepszej formie. Gonitwa myśli ustała, w głowie zapanował względny ład i porządek. Nie zostawiając sobie czasu na namysł, mogący opóźnić działanie, wyskoczyła z samochodu i poszła w stronę domu. Zrobiło się późne

popołudnie, słońce było nisko, dom rzucał ogromny cień. Weszła w jego krąg z niedobrym przeczuciem. Ogarnął ją lęk. To nie jest słoneczne, bezpieczne Rosehill.

Ostrożnie weszła na zniszczone schody; zbutwiały stopień zdrzął pod jej stopą i zachwiała się. Szybko przebyła resztę schodów, starając się nie zwracać uwagi na podejrzane trzeszczenie drewna, po którym stapała. Dom niewątpliwie wymaga remontu. Drzwi były uchylone, więc lekko je popchnęła.

- Jest tu ktoś? Andrew?

Odpowiedziała jej nieprzyjemna cisza. Pchnęła mocniej drzwi i wśliznęła się do środka. Nie zamknęła ich, na wypadek gdyby musiała szybko się wycofać.

Właściwie postępuje niezbyt ostrożnie. Nie wchodzi się w ten sposób do cudzego domu. W każdej chwili można ją oskarżyć o naruszenie prywatnej własności. Gdyby ktoś chciał zastawić na nią pułapkę, miałby sprawę dość prostą. Już miała otworzyć usta i zawołać raz jeszcze, kiedy do jej uszu doszły jakieś dźwięki. Dziwne głosy. Czy to znaczy, że ma halucynacje? W dobiegających ją hałasach było coś niesamowitego, jakby pochodziły z innego świata. Zrobiła krok do przodu. W domu panowały ciemność i pustka. Nie było żywej duszy, nie było mebli. Tylko kurz wirował w smugach przesączającego się światła.

Znowu usłyszała te dźwięki. Przypominały ludzki głos. Przystanęła nasłuchując. Poczula gęsią skórkę. Chyba lepiej, jak sobie stąd pójdzie i wróci kiedyś rano, kiedy będzie widniej. W słonecznym świetle wszystko wygląda inaczej niż w zapadającym zmroku.

Poczula kilka szybkich uderzeń serca i zrobiła krok naprzód w kierunku, skąd dochodził głos. W głębi korytarza zobaczyła małe światelko - smugę wydobywającą się spod nie domkniętych drzwi. Głos musiał dochodzić właśnie stamtąd. Dziwny, upiorny głos, skrzekliwy i głuchy, zmieniający napięcie i barwę, jakby wydobywał się z kilku ust naraz. Kuliła się, kiedy przybierał przeraźliwie wysokie tony, i posuwała krok dalej, kiedy nagle opadał, przypominając coś, co od biedy można by nazwać ludzkim głosem.

Nogi ugiwały się pod nią, raz po raz opierała się o ścianę, czuła na czole krople potu, ręce miała lodowate. Przecież to czyste szaleństwo! Dokąd ona idzie, za tymi drzwiami czyha niebezpieczeństwo, którego nawet nie potrafi sobie wyobrazić. Ktoś może ją zamordować. Jeszcze jest czas, żeby się wycofać... Zatrzymała się i wtedy głos doszedł ją zupełnie wyraźnie. Mogła nawet rozróżnić poszczególne słowa. Zesztywniała.

- Jeśli wierzysz, że ta dziennikarka przyjechała tu po to, żeby porozmawiać z poczciwym Grubaskiem Flowerem, to musisz być wariatem. Większym niż ja, a to naprawdę nie lada sztuka. Ona bierze forszę za to, że wyciąga od ludzi informacje. Taki ma zawód. Będzie węszyć tak długo, aż wszystko z niego wyciągnie.

Próbowała się poruszyć, ale nie mogła zrobić kroku. Zupełnie jak w koszmarnym śnie. Wreszcie z trudem oderwała stopy od podłogi i podeszła bliżej uchylonych drzwi. Trudno było ustalić, czy mówi mężczyzna, czy kobieta. W miarę jak zbliżała się do źródła głosu, robiło się coraz zimniej.

- Wiem, że masz do niej słabość - powiedział głos zrzędlawie. - Podoba ci się, a to niedobrze. Pamiętaj, czym to pachnie. Może nie mam prawa prawić ci kazań po mojej ostatniej wpadce, ale trudno. Morgana to też był niezły numer.

Lodowaty dreszcz przebiegł jej po plecach. Miała upiorne wrażenie, że ten ktoś tam w pokoju... rozmawia z sobą.

- Musisz zrobić wszystko, żeby się jej pozbyć, i to jak najszybciej.

Uciekaj! - zadzwoniło jej w głowie. Uciekaj, Sydney! Jak najszybciej i jak najdalej uciekaj stąd! Wiedziała, że powinna to zrobić, ale wiedziała również, że rasowy dziennikarz nigdy nie ucieka, nie podwija ogona jak spłoszony kundel, chcący ratować własną skórę. To byłoby poniżej jej godności. Musi zobaczyć, kto tak bardzo chce się jej pozbyć. Powietrze robiło się coraz chłodniejsze. Teraz miała wrażenie, że stoi przy otwartych drzwiach lodówki. Drżącą ręką musnęła drzwi. Uchyliły się lekko i zobaczyła część pokoju. Powietrze stało się lodowate. Pchnęła drzwi mocniej i pole widzenia powiększyło się; nie dostrzegła nikogo. Głos nie przestawał mówić, trwał nie kończący się monolog, od czasu do czasu przechodzący w śpiew. Zastygła w bezruchu, w każdej chwili gotowa rzucić się do ucieczki. Nagle nogi się pod nią ugięły i aby nie upaść, schwyciła się drzwi. Gwałtownie poruszone, otworzyły się niemal bezszelestnie na całą szerokość.

Ogarnęło ją potworne przerażenie. Krzyk zamarł w gardle. Chłodny lęk sparaliżował mięśnie, kości, nerwy, oddech, myśli. Miała przed sobą pogrążony w mroku pokój; w rogu, gdzie mrok był najgęstszy, poruszała się powoli jakaś straszliwa maskara. Zielone niski, zakończone szponami łapy, długi ruchliwy ogon. Smok? W głowie Sydney zapanował chaos. Do tego potwór mówił. Słowa, które słyszała, wydobywały się właśnie z jego zębatej paszczy... Odwrócił się powoli, uderzył ogonem w podłogę i spojrzał prosto na nią. Zamrugła oczami, potwór zrobił to samo. Czerwone powieki na chwilę przykryły złote, gadzie oczy. Potem stwór zamrugnął długimi rzęsami i odwrócił się, jakby wcale jej nie dostrzegł.

Gadzie mrugnięcie sprawiło, że nagle ocknęła się z letargu i powiodła wzrokiem dokoła. Jej umysł zaczął szybko rejestrować znajdujące się w polu widzenia przedmioty. Po drugiej stronie pokoju dostrzegła konsolę jakiegoś elektronicznego urządzenia. Ekrany, przyciski, migoczące światełka. Przy klawiaturze komputera stał Andrew. Na uszach miał słuchawki; dlatego nie słyszał, jak weszła.

Spojrzała na smoka, potem znów przeniosła wzrok na Andrew. Dopiero po pewnym czasie wpadła na to, że głos wydobywający się z paszczy potwora jest elektronicznie przetworzonym głosem Andrew. Wszystko powoli stawało się jasne. Dokładnie przyjrzała się stworowi; wyglądał jak żywy. Złudzenie było doskonałe. Nie miała pojęcia, jak Andrew to zrobił, ale iluzja była tak głęboka, że kiedy smok zaczął zionąć ogniem, nieomal poczuła w powietrzu zapach palonego drewna.

Była tak zafascynowana, że nie zauważyła, iż stwór z wolna zaczyna znikać. Jakby stopniowo rozpląwał się na jej oczach. Spojrzała w stronę konsoli. Andrew dostrzegł ją. Na jego twarzy odmalowało się zdumienie, a potem gniew.

Obrzucił Sydney wściekłym wzrokiem, zerwał słuchawki z uszu i cisnął je o ścianę. Pokój wypełniła muzyka i ciepły, pieszczotliwy głos Marvin'a Gaye'a.

Nie mogła się opanować. To było silniejsze od niej. Nerwy puściły i podczas gdy Andrew podchodził ku niej - przy dźwiękach starego przeboju z lat sześćdziesiątych, z takim wyrazem twarzy, jakby ją chciał udusić - Sydney wybuchnęła śmiechem.

Śmiała się i śmiała, i nie mogła się uspokoić.

Im bardziej Andrew się zbliżał, tym głośniej się śmiała. Raptem śmiech się załamał i po twarzy Sydney zaczęły płynąć łzy.

- Skończyłaś już?

- Tak... Przepraszam.

Andrew zacisnął usta.

- Może mi łaskawie powiesz, jakim cudem znalazłaś się nie proszona w moim domu.

Z trudem się opanowała.

- Drzwi były otwarte.

- I po prostu tak sobie weszłaś.

- Tak... to znaczy... - Odchrząknęła. Była kompletnie rozbita, z trudem zbierała myśli. Widok smoka i cała reszta to było nieco za dużo nawet dla niej, zwłaszcza po wydarzeniach ostatnich dni.

- Nie wiem, co powiedzieć - szepnęła bezradnie.

- Zawsze możesz spróbować powiedzieć prawdę.

- Stukałam.

- Zapewne.

- Potem usłyszałam głosy, poszłam za nimi i dotarłam tutaj.

Zaczęła nerwowo chichotać. Spojrzała na jego niezadowoloną twarz i znowu wybuchnęła histerycznym śmiechem.

- Przepraszam - wykrztusiła. - Bardzo mi przykro, ale nie mogę się opanować.

Rzucił jakieś przekleństwo, wziął ją za rękę i podprowadził do długiego stołu, na którym stała elektroniczna aparatura. Tam posadził Sydney na krześle, nalał do szklanki ginu ze stojącej na stole butelki i wcisnął jej szklankę do ręki.

- Wypij.

Posłuchała i upiła duży łyk. Zbyt późno zrozumiała, że to nie woda. Ognista kula wybuchła jej w gardle. Z oczu popłynęły łzy. Gdyby Andrew nie poklepał jej po plecach, chybaby się udusiła. Zaczęła kasłać. Chciała mu powiedzieć mnóstwo rzeczy, przede wszystkim chciała go zwymyślać, ale rozumiała, że nie ma prawa tego robić. Nie teraz. W obecnej sytuacji był górą. Wtargnęła do jego domu i miał powody, żeby się złościć. Należało zmienić taktykę.

- Skąd się wziął ten smok? - zapytała.

Popatrzyła na niego. Po raz pierwszy, odkąd znalazła się w tym pokoju, widziała go z bliska. Zbyt bliska. Poczuła, jak ześlizguje się w ciemny tunel; to, co w myślach nazwała przedtem pożądaniem, pojawiło się znowu. Odsunęła się. Muzyka umilkła, a po chwili rozległa się znowu. Gladys Knight śpiewała: „Gdybym należała do ciebie”.

Drew uśmiechnął się.

- Też to czujesz, prawda?

- Co? - zdziwiła się fałszywie. - Co masz na myśli?

Pochylił się nad nią, przymknął oczy, jakby odurzył go zapach jej perfum.

- Nie udawaj - powiedział po chwili. - Dobrze wiesz, o czym mówię. Coś nas do siebie ciągnie. Jakiś fluid. Tak było od samego początku, kiedy się zobaczyliśmy. Dziwne, ale nigdy dotąd nie czułem tego tak mocno.

- Owszem, dziwne - przyznała i odsunęła się, jakby chciała zniszczyć coś, co zaczynało się rodzić. - Czy mógłbyś wyłączyć muzykę?

Kiedy odwrócił się, żeby spełnić jej prośbę, powzięła decyzję. Trudno, trzeba go będzie podejść w sposób, który najlepiej jej wychodzi.

- Powiedziałaś, że tak było od samego początku. - Uśmiechnęła się uwodzicielsko. - To znaczy od momentu, kiedy podszedłeś do mnie na drodze, czy tak?

Spojrzał na nią uważnie.

- Nie. Powiedziałem, że poczuliliśmy oboje pożądanie już na samym początku naszej znajomości, nie powiedziałem, gdzie i kiedy to było.

Poczuła, że się czerwieni. Miała ochotę uderzyć samą siebie. Wyglupia się jak mała dziewczynka. Rzeczywiście, strasznie chytrą zastawiła na niego pułapkę... Byłby chyba półgłówkiem, gdyby dał się nabrać. Na domiar złego, na sam dźwięk słowa „pożądanie” oblała się rumieńcem...

- Daj spokój. Przecież jesteśmy sami. Nie musisz udawać. Możesz mi powiedzieć, dlaczego kryjesz się z tym, że wtedy mi pomogłeś, Andrew.

Oparł się o blat stołu i skrzyżował na piersi ramiona.

- Drew - poprawił ją. - Wszyscy mówią do mnie

Drew, odkąd skończyłem pierwszą klasę, a i wtedy poprawiłem nauczyciela, który nazwał mnie Andrew.

- Doskonale to sobie mogę wyobrazić - mruknęła pod nosem. I dodała: - Ale przecież to ty znalazłeś mnie na drodze i zabrałeś do domku w lesie.

Pokręcił przecząco głową. Zrozumiała, że nic z niego nie wyciągnie.

- A jak ci idzie z Grubaskiem? - zapytał.

- Z kim? Roześmiał się.

- Szanowny pan senator znany był w szkole pod przydomkiem Fowler Grubasek... Były po temu konkretne powody. Dopiero w liceum tak się wyciągnął.

Zawtórowała mu. Widok senatora Fowlera w przyciasnym, marynarskim ubranku musiał naprawdę być komiczny.

- Chyba nie bardzo chciałby ujrzeć tę informację w druku...

- Jemu byłoby prawdopodobnie wszystko jedno, ale Lauren i John dostaliby pewnie ataku serca. Kolejno, jedno po drugim,

- A ty? Miałeś jakieś przydomko w szkole?

- Oczywiście. Zajączek.

- Nie wierzę.

- Słowo daję. Byłem drobny, strasznie płochliwy, wszystkiego się bałem, głównie dziewczyn.

Zwłaszcza to ostatnie wydało jej się dość mało prawdopodobne. Chociaż, kto wie... Andrew chyba nie zawsze był tak stanowczy i opanowany jak obecnie. Też się musiał zmienić. Pewnie nie

zawsze był królem balu.

- A potem? Co było potem?

- Poszedłem na uczelnię, jak wszyscy.

Nie spuszczał z niej wzroku. Łowił każdy jej ruch, śledził każde spojrzenie, jakby nie chciał, żeby zorientowała się, do czego służy zgromadzony w pokoju sprzęt.

Miała ochotę wstać z krzesła i wszystko dokładnie obejrzeć, ale wiedziała, że Drew na to nie pozwoli. Przesuwał się zgodnie z jej spojrzeniem, jakby chciał własnym ciałem zasłonić ekrany, światelka, przyciski.

Kiedy dotarli w ten sposób do końca stołu, uśmiechnęła się.

- Wiesz przecież, że istnieje doskonały sposób, żeby się mnie pozbyć. Powiedz, dlaczego nie chcesz się przyznać, że mi wtedy pomogłeś, i zniknę. Nikomu nic nie powiem, skoro tak ci na tym zależy. Przysięgam. To zostanie między nami. Na zawsze. Co ty na to?

Odsunął się od stołu, podszedł i stanął naprzeciwko Sydney. Był teraz bardzo blisko.

- Zaraz ci powiem...

Wyprostowała się i odsunęła.

- Co?

- Najpierw ty mi powiedz, dlaczego tak się do mnie przyczepiłaś, skoro podobno przyjechałaś zrobić wywiad z Fowlerem Grubaskiem, a potem ja opowiem ci historię mojego życia.

- Poczekaj. - Nie mogła odsunąć się bardziej, nie wstając z krzesła. - Bądź łaskaw nie zbliżać się za bardzo. Muszę się skupić.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem i się odsunął.

- Po pierwsze wcale nie mówię, że znam cię od dawna i wcale nie chcę poznawać historii twojego życia. Przyjechałam po to, żeby napisać artykuł o Powierzę, jak mówisz, Grubasku. Po drugie interesujesz mnie, ponieważ nie mogę zrozumieć, dlaczego cały czas wypierasz się tego, że uratowałeś mi życie. Jest to powód jedyny. Myślę, że na moim miejscu też byłbyś ciekaw.

- Rozumiem. Kiedy się wyparłem, że udzieliłem ci pomocy, pomyślałaś, że muszę coś ukrywać. A ponieważ jesteś dziennikarką, zainteresowałaś się tym i dlatego zaczęłaś nachodzić mnie w pracy i w domu.

- Tak, to znaczy... nie.

Chciała powiedzieć coś jeszcze, ale odwrócił się, wruszając ramionami.

- Pozwól, że jeszcze coś powiem. Posłuchaj, Andrew Joshua...

- Jak mnie nazwałaś? - zwrócił się ku niej gwałtownie.

- Przecież słyszałaś. Nie kryję, że właściwie mam ochotę nazwać cię zupełnie inaczej.

- Dobrze, rozumiem, ale powtórz to, co powiedziałaś. Chcę to usłyszeć jeszcze raz.

Bardzo proszę, nie ma żadnych przeszkód. Jak zabawa, to zabawa. Dziwne tylko, że tak bardzo zmienił się na twarzy. Przedtem był wściekły i miał po temu powody: wtargnęła do jego domu, przeszkodziła mu w pracy. Teraz patrzył na nią poważny i skupiony. Wstała z krzesła.

- Andrew Joshua Wallace - powtórzyła dobitnie.

- Mówisz, że był do mnie podobny.

- Jak dwie krople wody.

- Nie nazywam się Andrew Joshua.

- Co za różnica. Andrew czy Drew, na jedno wychodzi.

Jego dziwne spojrzenie przestraszyło ją.

- Chyba już pójde - powiedziała niepewnym głosem. - Gdybyś przypadkiem zmienił zdanie...

Andrew nieoczekiwanie roześmiał się. Stała bez ruchu, zdumiona nagłą zmianą w jego zachowaniu.

- Co cię tak rozbawiło?

- Albo zapomniałaś wziąć lekarstwa na głowę, albo ten facet, co cię wyciągnął z opresji, był moim pradziadkiem. Tylko on jeden w rodzinie nosił imiona Andrew Joshua. Ja nazywam się Andrew Travis Wallace.

Słowo „Travis” mocno zaakcentował.

- Twój pradziadek musi być bardzo stary.

- O, tak.

Popatrzyła na niego uważnie.

- Może masz rację. Byłam po urazie głowy, miałam zaburzenia wzroku. A on może jakoś wyjątkowo dobrze się trzyma.

Andrew skrzywił się.

- Ty naprawdę musisz być stuknięta. Andrew Joshua Wallace urodził się w tysiąc osiemset siedemdziesiątym szóstym roku.

Podświadomie zaczęła liczyć, ale cyfry jakoś nie układały się jej w głowie. Bezradnie westchnęła.

- Musi być bardzo stary.

- Raczej tak, ale jest coś jeszcze, o czym chyba nie wiesz.

- Co to? - Nagle ogarnął ją strach. Wolą, żeby nie odpowiadał na jej pytanie.

- Pradziadek Andrew umarł w tysiąc dziewięćsetnym roku.

Poczuła, że ma sucho w gardle i przelknęła ślinę.

- Dziewięćdziesiąt trzy lata temu?

- Właśnie... Za dwa dni przypada rocznica.

Chwyciła się krzesła, żeby nie upaść.

- Czy chcesz powiedzieć, że... to był...

- Duch - podpowiedział uprzejmie.

Zachnęła się.

- Posłuchaj, ja nie wierzę w takie rzeczy. Nie wierzę w obietnice polityków, czeki podrzucane do skrzynek pocztowych, w to, że wszystkie dzieci są śliczne, w miłość od pierwszego wejrzenia, w duchy, skrzaty, krasnoludki i inne zjawy wędrujące po nocy.

Była bardzo blada. Mówiła szybko, z trudem łapiąc powietrze. Drew ujął ją pod rękę i z powrotem posadził na krześle. Nie zauważyła tego.

- A zresztą - ciągnęła - duch nie mógłby przejechać w czasie burzy kilku kilometrów, zanieść mnie do domku w lesie, rozpaść ognia na kominku, osiodłać konia i zawieźć tam, gdzie udzielono mi pomocy.

- Masz niezłe doświadczenie. Spotkałaś już kiedyś ducha?

- Nie! - krzyknęła. - Przestań się ze mnie naśmiewać. Ja wiem najlepiej, jak to było. Wiem, co widziałam.

- Opowiedz mi wszystko, co się wydarzyło tego dnia, kiedy wpakowałaś się samochodem do rowu.

Zamierzała go poprawić, powiedzieć, że nigdzie się nie „wpakowała” i że do wypadku doszło nie z jej winy, ale dała sobie spokój. Podobna drażliwość wydała jej się nieco zbyt infantylna. Zaczepnęła powietrza i zaczęła opowiadać. Z początku niepewnie i z wahaniem, po każdym słowie oczekując złośliwego uśmiešku i takiego samego komentarza, potem - kiedy spostrzegła, że Andrew słucha jej bardzo uważnie - mówiła swobodnie i ze swadą. Kiedy skończyła, zapanowała cisza. Andrew w milczeniu patrzył na nią dziwnym wzrokiem.

- Jeszcze jedno - powiedziała. - Zapomniałam dodać, że taki sam portret wisi również w posiadłości senatora Fowlera. Co powiesz na to wszystko?

Oczekiwała wybuchu śmiechu. Wyglubiła się, to pewne. Jak ktoś mógłby uwierzyć w podobną historię? Sama niezbyt w nią wierzyła, zwłaszcza po tym, jak się dowiedziała, że Andrew i Drew to dwie różne osoby.

A może nie? Przecież istnieje coś takiego, jak rzeczywistość wirtualna. Sama grała kiedyś w taką grę, a z tego, co przedtem widziała w tym pokoju, można było wnioskować, że Drew dość niebanalnie poczyta sobie z elektroniką i komputerami... Interesujące.

- Możesz mi powiedzieć, skąd się wziął ten smok?

Jak to zrobiłeś?

- Jaki smok? - Drew ocknął się z głębokiego zamyślenia. - Co to ma wspólnego z tamtą historią?

- Nie domyślasz się? Istnieje pewien związek. Jak widziałam, potrafisz komputerowo projektować różne rzeczy, ożywiać je, stwarzać bardzo realistyczne pozory życia. Czy mógłbyś na przykład zrobić w ten sposób własnego sobowtóra?

Zająknęła się pod wpływem hipnotyzującego spojrzenia jego zielonych oczu. Nagle pociemniały; zobaczyła w nich szmaragdową głębię.

- Dam ci jeszcze jedną szansę, Sydney - jego głos był teraz łagodny, aksamitny, nieomal czuły - ale najpierw muszę ci coś powiedzieć. Jeśli się okaże, że jesteś szpiegiem nasłanym przez konkurencję naszych zakładów albo co gorsza przez moją byłą żonę, to znajdę cię na końcu świata. Nigdzie się przede mną nie ukryjesz. Odnajdę cię nawet w mysiej dziurze. Zbyt dużo w życiu straciłem i nikomu nie pozwolę na nic więcej. Powtarzam, zastanów się dobrze, zanim otworzysz usta, żeby powiedzieć coś dowcipnego albo jakieś nowe kłamstwo.

Facet wyraźnie ma jakąś obsesję. Ale co to ma wspólnego z jej przygodą?

- Rozumiem, ja też chciałabym ci coś powiedzieć. - Jej głos był równie cichy, ale znacznie mniej opanowany. - Jeśli się dowiem, że to wszystko jest podstępem, że chciałeś sobie ze mnie zakpić, nabrać mnie, wyprowadzić w pole za pomocą tego żelastwa tutaj czy czegoś innego, to dopadnę cię i opiszę tak, że się nie pozbierasz do końca życia. Ogłoszę to wszem i wobec. - Po chwili wymownego milczenia dodała: - Chyba się zrozumieliśmy?

- Całkowicie.

Drew skrzywił się w wymuszonym uśmiechu.

Sydney zrobiła to samo.

- W takim razie proszę, żebyś przysiągł, że wtedy w lesie to nie byłeś ty ani nic, co ma związek z tymi twoimi komputerowymi eksperymentami.

- To nie byłem ja ani żaden z moich tworów.

- Przysięgnij.

- Przysięgam.

- Kto to był w takim razie?

- Mój zmarły przed wielu laty pradziadek, Andrew Joshua Wallace. Nie ma innego wyjścia.

- Drew przygryzł wargi, żeby się nie roześmiać.

- To wcale nie jest śmieszne. Do tego zupełnie niemożliwe.

- Dlaczego?

- Bo... przecież...

- Sydney, życie jest pełne niespodzianek, niesamowitych niespodzianek, i tak naprawdę nic nie jest w stanie mnie zadziwić. Tutaj w okolicy są różne zakamarki, bagna, pieczary indiańskie, lasy tak gęste, że można zablądzić dwa kroki od szosy. To wszystko kiedyś należało do Indian. Te ziemie kryją jeszcze niejeden sekret. Przeszłość tego kraju jest równie tajemnicza jak najbardziej mroczna baśń.

- I ty w to wierzysz? W te wszystkie bajki? Ty? Dorosły człowiek?

Odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się.

- Jestem strasznym, niepoprawnym romantykiem.

- Chcesz przez to powiedzieć, że to twój pradziadek uratował mi życie? Naprawdę w to wierzysz?

- Powiedzmy, że tego nie wykluczam.

- Czy kiedykolwiek widziałeś Andrew Joshuę?

- Nie, co nie znaczy, że nie chciałbym go poznać.

- Zwariowałeś.

Kpi sobie z niej, to widać. Ale ona nigdy, przenigdy nie da sobie wmówić, że to był duch i że w obecności ducha czuła się bezpieczna i szczęśliwa.

- Dobrze, przypuśćmy, że tak było - oświadczyła. - Ale powiedz mi, dlaczego w takim razie twój krewny ukazał się właśnie mnie?

- Tego nie wiem, ale chyba Clay i Rosa będą to mogli jakoś wyjaśnić.

- Kto? - zmieszła się Sydney. Perspektywa wtajemniczenia osób trzecich wydała jej się mało pociągająca.

- Rosa jest moją babcią. Clayton Darcy Wallace to mój dziadek, Andrew Joshua był jego ojcem.

- To śmieszne. Mówisz o tym takim tonem, jakbyś mówił o sąsiedzie.

Drew wzruszył ramionami.

- Chyba niewiele wiesz o małych miasteczkach. O zmarłych mówi się tutaj tak, jakby stale jeszcze żyli. Stanowią integralną część tutejszego życia. Człowiek znaczy tutaj tyle, ile znaczy jego rodzina. Nieważne jaki jesteś, ważne skąd pochodzisz. Wszystko skupia się wokół największej restauracji w mieście, sklepu z lodami, redakcji jedynej miejscowej gazety. Ci, co się liczą, siedzą tam i opowiadają sobie stare historie, które słyszeli od swoich ojców, a ci od swoich. A wszystko w czasie teraźniejszym. Bohaterowie tych opowieści są równie żywi jak ci, którzy o nich mówią. Tutaj przeszłość stale jest żywa. Jesteśmy tym, kim byli oni. Do pewnego stopnia jesteśmy nimi. Nigdy o tym nie słyszałaś? Trochę za wiele jak na jeden dzień. Sydney wstała i obciągnęła sukienkę w kwiaty.

- Nie wierzę, żebyś mówił poważnie. Musi być jakieś inne wyjaśnienie.

- Może.

Szła już do drzwi, kiedy nagle ją zatrzymał.

- Nie zdążyłem ci powiedzieć, w jakich okolicznościach umarł dziewięćdziesiąt lat temu Andrew Joshua. Powiesili go.

Lodowaty dreszcz przebiegł jej ciało.

- Po... wiesili?

Nie chciała wiedzieć dlaczego. Była potwornie przerażona.

- Dlaczego? - zapytała mimo to drżącym głosem.

- Zamordował swoją żonę, Mary Clayton-Wallace.

Nie chciała słyszeć nic więcej. Wybiegła z domu i dopadła samochodu Emmy.

Zaskoczyło ją, że na dworze jest jeszcze całkiem widno. Miała wrażenie, że spędziła w tym domu wiele godzin. W rzeczywistości upłynęły dwa kwadransy. Spróbowała się opanować, zebrać myśli, wszystko jakoś uporządkować. Musi istnieć jakieś wyjaśnienie. Ucieczka to nie jest wyjście. Musi istnieć jakieś wyjaśnienie i trzeba będzie je znaleźć. Trzeba starannie opracować następny krok.

Zachodzące za horyzont słońce barwiło lekką czerwienią chmury. Jego odbicie zalśniło na masce samochodu. Sydney zmrużyła oczy. Dobrze sobie! Duchy! Bzdury. W świetle dziennym wszystko wygląda inaczej. Musi być jakieś logiczne wyjaśnienie; nie ma rzeczy, których nie można wyjaśnić. Potrzebna jest tylko wiedza o przyczynach i skutkach. Liczą się tylko fakty.

Wsiadła do samochodu i włączyła silnik. Pojazd podskoczył, zadrzał i wolno ruszył. Otworzyła okno i wystawiła twarz na podmuchy wiatru. Chłodził rozpalone czoło, owiewał policzki. Odjechała, nie obejrzawszy się na wielki, ponury dom. Bała się, że zobaczy Drew stojącego w progu.

Czuła się wystrychnięta na dudka. Zakpił sobie z niej. Stary kawał pod tytułem: jak przestraszyć panienkę z miasta opowiadaniem o duchach grasujących po wrzosowisku. Duchy, gadające smoki, i tak dalej. Jedynym wyjściem jest natychmiastowe zerwanie z tym wszystkim. Nie dać się zwariować. Jak najszybciej zapomnieć o tym, co jej opowiedział.

Kiedy dojechała do miasta i oczom jej ukazał się jasno oświetlony, bezpieczny dom Emmy, odetchnęła z ulgą. Tak właśnie należy postąpić: zostawić daleko za sobą to całe gadanie o mrocznej, pełnej tajemnic przeszłości.

Uśmiech na jej twarzy powoli gasł, a serce zaczynało bić coraz szybciej. Nagle usłyszała i zobaczyła coś, co sprawiło, że znajomy chłód sparaliżował jej ruchy i myśli. Z garażu dochodził jakiś przedziwny dźwięk, pobłyskiwało niebieskawe światło...

Przecież to niemożliwe, takie rzeczy się nie zdarzają, pomyślała w popłochu. Opanuj się, bądź rozsądna. Dźwięk nieoczekiwanie ucichł, niebieska poświata zniknęła. Przerazenie z wolna ustępowało. Usłyszała głos Emmy, otworzyła drzwiczki samochodu i próbowała się uspokoić. Emma zawołała znowu. Jej głos dochodził z miejsca, gdzie przedtem widziała tamten blask. - Sydney, chodź!

Już prawie zupełnie opanowana ruszyła w stronę garażu. W progu zachwiała się, a jej nogi miały ochotę wprost rzucić się do ucieczki. Miała przed sobą wielkiego, pokrytego blachą stwora. Dziecinny strach zniknął na dźwięk głosu, który wydobył się spod maski. To była Emma. W metalowym fartuchu i ochronnej masce spawacza przypominała przybysza z obcej planety.

Sydney rozejrzała się wokół i westchnęła. W tym miasteczku nikt, ale to nikt, nie był tym, na kogo wyglądał. Zdażyła się do tego przyzwyczać; to znaczy, do pewnego stopnia.

- Jesteś rzeźbiarką. To twoja pracownia - stwierdziła raczej niż spytała.

Emma, zmieszana tym, że ktoś ogląda jej prace, zdjęła z głowy maskę i niepewnym ruchem przeczesła włosy. Wyglądało to tak komicznie, że Sydney roześmiała się, po czym natychmiast opanowała. Nie chciała robić przyjaciółce przykrości. Wiedziała, że każdy artysta jest bardzo czuły na punkcie swoich prac. Emma mogła ją źle zrozumieć. Zresztą jej rzeźby były naprawdę bardzo dobre. Objęła metalowego stwora ramieniem.

- Jestem zachwycona, naprawdę. Robisz bardzo ciekawe rzeczy. Śmiałam się, bo przypomniałam sobie twój samochód. Dopiero teraz zrozumiałam, że jest składanką różnych elementów. Długo nie mogłam się zorientować, jaka marka przeważa. Czym on był na początku?

- Mustang, rocznik 1966 - odpowiedziała z uśmiechem Emma. - Wszyscy tu znają mój samochód, wiedzą, że to moje dzieło, może dlatego jestem trochę zdemoralizowana. Nie pomyślałam, że możesz na to nie wpaść. Właściwie trzeba było cię uprzedzić. - Emma z powrotem włożyła maskę. - Wiedziałam, że prędzej czy później zauważysz.

- Zajęło mi to trochę czasu. Ostatnio jestem nieco roztargniona. Ale nie do tego stopnia, żeby nie widzieć, że robisz tu bardzo ciekawe rzeczy.

Rozejrzała się. Stojące w garażu rzeźby naprawdę jej się podobały.

- Od jak dawna masz ten samochód? Od ilu lat zajmujesz się rzeźbą?

Ruchem ręki wskazała szereg metalowych olbrzymów.

- Zaczęłam, jak miałam jedenaście lat, ale z metalem pracuję dopiero od sześciu lat. Samochód skończyłam jakieś pięć lat temu. Rozwaliłam mojego mustanga i okazało się, że naprawa jest strasznie droga, postanowiłam więc sama dać sobie radę. Pościagałam części różnych samochodów i zrobiłam coś takiego. W ten sposób zaczęłam robić rzeźby z żelaza.

Emma, w miarę jak oprowadzała przyjaciółkę po „galerii”, rozkręcała się i coraz chętniej opowiadała o swojej pasji.

Zatrzymały się właśnie przed gigantycznych rozmiarów postacią. Była to naga kobieta, właściwie metalowy szkielet, o czystych, prostych, niezwykle precyzyjnych liniach. Symbol nowoczesnej

kobiety: silnej, górującej nad przeciwnościami losu, a jednocześnie delikatnej i kobiecej.

- Uważam, że to wspaniałe - powiedziała Sydney z podziwem. - Czy już kiedyś wystawiałaś swoje prace? Sprzedawałaś coś?

Emma dotknęła dłonią metalowej postaci. Było w tym geście dużo miłości.

- Nigdy nie miałam żadnej wystawy, nigdy nie chciałam ich nikomu pokazywać. Chociaż - zwróciła do przyjaciółki zarumienioną twarz - właśnie tę sprzedalam. Lauren Fowler poprosiła mnie, żebym coś zrobiła dla jej firmy. Pomyślałam, że chce po prostu wesprzeć miejscowe talenty. Nie zdziwiłabym się, gdyby się okazało, że to pomysł samego senatora. Lauren zajrzała tu któregoś dnia, żeby zobaczyć, jak mi idzie.

Wzdrygnęła się na samo wspomnienie.

- Wyszła chyba zadowolona?

- Jak cholera. Stara, głupia krowa.

- W takim razie wszystko w porządku.

Sydney z przyjemnością przyjęła do wiadomości, że opinie Emmy nie rozmijają się z jej własnymi. Przynajmniej jeśli chodzi o Lauren Fowler. Osłoniła oczy ręką i uniosła w górę głowę.

- A te dalej?

Emma przyjrzała się uważnie stojącej obok przyjaciółce. Znużenie brzmiące w jej głosie zaniepokoiło ją. Sydney była bardzo blada, ciemne worki pod oczami świadczyły o wyczerpaniu.

Nie odpowiadając na pytanie, ujęła ją pod rękę i wyprowadziła z garażu.

- Tu jest potwornie duszno. Ja jestem do tego przyzwyczajona, ale ty jeszcze mi zasłabniesz. Na pewno nic nie jadłaś.

- Nie. Chyba nie. - Sydney pokręciła głową. - Nie pamiętam.

W kuchni panował przyjemny chłód. Sydney opadła na najbliższe stojące krzesło i zsunęła tenisówki. Odchyliła głowę do tyłu i zamknęła oczy. Na oślep wzięła podaną jej przez Emmę szklanek zimnego piwa i z rozkoszą pociągnęła spory łyk.

- Zaraz mi uderzy do głowy.

Otworzyła jedno oko i z wdzięcznością zerknęła na Emmę, krojącą wielkie plastry sera. Znowu napiła się piwa, a kiedy otworzyła oczy, zobaczyła stojący obok niej talerz z serem i owocami. Chciwie rzuciła się najedzenie.

Emma odczekała, aż Sydney przełknie kilka kęsów.

- Teraz powiedz, jak minął dzień. Widać było, że nie może się doczekać szczegółowej relacji.

- Znalazłaś dom, w którym mieszka Drew?

Sydney popatrzyła na nią z uśmiechem.

- Czy to znaczy, że mam ci się odwdzięczyć za samochód i piwo opowiadaniem o moich przygodach?

Emma włożyła do ust kilka owoców winogron jednocześnie.

- Oczywiście. Wszystko po kolei, łącznie z tym, jaka była pogoda. - Przełknęła. - Ale najpierw ja ci coś powiem, bo potem zapomnę. Poszłam rano do redakcji, żeby zdobyć dla ciebie kopię tego artykułu o rodzinie Wallace, o którym ci mówiłam. Niestety, powiedzieli mi, że go nie

mają. Po trzech latach niszczą wszystkie dokumenty.

- Zawracanie głowy. Muszą mieć w komputerze.

- Buddy Hilton to największy skapiec w okolicy. Jeden Bóg wie, skąd bierze pieniądze i co z nimi robi. Tak czy owak, ta jego gazeta, „Wallace Morning Sun”, od dwóch lat ledwo ciągnie. Skąd by mieli komputer! Mogę się założyć, że wszystkie teksty przepisuje sam w nocy gęsim piórem, żeby zaoszczędzić trochę grosza. To straszny kutwa. Sally Pearson powiedziała, że bym zapytała w bibliotece. Oni tam przechowują takie rzeczy. Ale wyobraź sobie, idę ja do biblioteki...

- ...a tam nic nie ma - dokończyła Sydney.

- Trafiałaś w dziesiątkę. Przechowują wszystkie gazety, a tego, jakimś dziwnym zbiegiem okoliczności, nie ma. Nikt nie wie, co się mogło stać. Zwykle wszystko starannie przechowują. Ktoś musiał ukraść, powiedzieli mi. Strasznie im przykro... I co ty na to, Sydney?

- Ktoś po prostu chce coś przede mną ukryć i robi wszystko, żeby mnie wprowadzić w błąd. Ale mu się nie uda. Nie wiem, dlaczego to robi, ale się dowiem.

- Rozumiem, chętnie ci wierzę. Ale o co naprawdę w tym wszystkim chodzi? Jak wiesz, my tutaj nie cierpimy na zbyt fascynujące życie.

Sydney wyprostowała się i spojrzała jej prosto w oczy. Postanowiła niczego przed Emma nie ukrywać.

- Chyba się mylisz. Ja przynajmniej miałam całkiem ciekawy dzień.

Zacząła opowiadać, pomijając tylko jedną sprawę: komputerowe eksperymenty Drew. Podświadomie czuła, że bardzo by nie chciał, aby ktokolwiek wiedział, nad czym pracuje w opuszczonym domu.

Po mniej więcej półgodzinnej relacji Emma była w stanie absolutnego zachwyty. Jej szeroko rozwarte oczy i lekko uchylone usta świadczyły, że wszystko podąża w niezwykle ekscytującym kierunku.

- Jakie to piękne - szepnęła. - Duchy! Prawdziwe duchy!

Nagle wybuchnęła śmiechem.

- Przestań, nie ma w tym nic śmiesznego.

- Nie... to bardzo poważne. Drew po prostu cię z czarował.

Sydney pociągnęła spory łyk piwa, zagryzła serem, po czym wzięła kawałek jabłka.

- Czy on ma może brata bliźniaka? Najlepiej chorego na umyśle.

- Nie.

- Oczywiście. To by było zbyt łatwe.

- Pewnie natychmiast uwierzyłaś, kiedy ci przysiągł, że to nie był on.

Sydney przez dłuższą chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią.

- Tak. Zresztą miałam już takie uczucie wtedy, kiedy go zobaczyłam w szpitalu. W świetle dziennym wyglądał jakoś inaczej. Dlatego nie należałam. Jest bardzo podobny, ale nie identyczny. Ten sam, ale inny. Różnice są bardzo niewielkie, ale są: Drew jest trochę mocniej zbudowany i nie ma takiego smutku w oczach jak tamten.

Albo po prostu nie chcę dopuścić do siebie myśli, że mnie oszukał. Nie mogę pogodzić się z tym, że mnie okłamał, pomyślała.

- Tylko że, Emmo... Ja nie wierzę w duchy.

- Doprawdy? - Emma spojrzała na nią ponurym wzrokiem starej wiedźmy, a potem wybuchnęła śmiechem. - Czy wiesz - powiedziała po chwili, ścisząc głos do tajemniczego szeptu - że historia Andrew Joshui Wallace'a jest jedną z najbardziej ponurych opowieści w naszym miasteczku?

Sydney nawet nie próbowała kryć ciekawości.

- Dlaczego najbardziej ponurych? Przestań mi dokuczać, bo i bez ciebie dosyć się dzisiaj najadłam strachu.

- Jest to legenda naszego miasteczka i proszę wysłuchać jej uważnie i z należytą powagą - rozpoczęła uroczyście Emma. - Znają ją wszyscy i wszyscy wiedzą, że jest tu jakaś tajemnica, której do tej pory nikt nie odkrył. Jakaś wstydliva tajemnica. Andrew został powieszony na głównym placu miasteczka. Odkąd pamiętam, zdania na ten temat zawsze były podzielone. Jedni twierdzili, że słusznie, inni że nie. Wiele osób uważało i nadal uważa, że skazano Andrew tylko dlatego, że sądził go Jacob Fowler, a oskarżał Darcy Fowler, który był szaleńczo zakochany w żonie Andrew, Mary Wallace. Ale jak wiesz, z czasem ludzie wszystko upiększają i każda historia obrasta legendą.

Sydney słuchała w napięciu, czując nieprzyjemny dreszcz. Kiedy Emma skończyła mówić, przez chwilę milczała. Nikomu poza Emma nie powtórzyła słów, jakie Andrew powiedział jej na pożegnanie. Dlaczego przyjaciółka wtedy nie wspomniała słowem o Mary Wallace? Czy każdy w tym miasteczku musi coś ukrywać?

- Dlaczego, kiedy ci przytoczyłam jego ostatnie słowa, nic mi nie powiedziałaś o Mary?

Emma zaczerwieniła się.

- Przysięgam, że nic nie chciałam przed tobą ukryć. Byłam przekonana, że chodzi tu o jakiś romans Drew i w ogóle mi do głowy nie przyszło, że ta Mary to może być Mary Wallace, czyli duch! Uwielbiam sensacyjne historie, ale duchy to naprawdę nie moja specjalność.

- Nie wierzę w żadne duchy. Po prostu musi istnieć ktoś niezwykle podobny do Drew.

- I co? Spaceruje sobie nocą po Piney Creek Road i ratuje zagubionych wędrowców? Niby dlaczego? Emma zastygła, podnosząc do ust kiść winogron.

- Czy zapytałaś go, co robił tamtej nocy, kiedy miałaś wypadek?

- Skądże. Nie jestem policjantem, tylko dziennikarką.

Sydney przysunęła sobie drugie krzesło i oparła o nie nogi.

- Byłaś kiedyś w tym jego domu na odludziu? Wiesz, jak on właściwie żyje?

- W Straszonym Dworze?

- Co?

- Ludzie tak to nazywają. Dawniej mówiono Kasztanowy Dwór, bo stoi wśród kasztanowców. Nigdzie indziej w tych stronach nie ma takich drzew. Tutaj są tylko dęby i sosny.

Sydney wzdrygnęła się. Nazwa skojarzyła się jej z filmem grozy. Całe to miasteczko to niezły horror...

- Byłaś tam kiedyś?

- Dawno temu. Drew prosił Jima o jakieś lekarstwo, a ponieważ wszyscy byli zajęci i nikt nie mógł mu go zawieźć, pojechałam tam. Jak rozumiesz, kierowana zupełnie zrozumiałą ciekawością, co też on tam robi w tym starym domu na odludziu.

- I co?

- Uważam, że wszystko bardzo przyzwoicie doprowadził do porządku.

Sydney zachnęła się.

- Chyba żartujesz. Tam jest strasznie; brudno i ciemno. Upiornie.

Emma zachichotała.

- Może to i tak wygląda, bo większa część domu jest jeszcze nie ruszona. Drew wyremontował tylko jeden pokój i kuchnię, o ile wiem. Założył nawet klimatyzację.

- Z czego on właściwie żyje?

- Nie mam pojęcia. Przez pewien czas nie mieszkał w Wallace. Po skończeniu szkoły wyjechał do Kalifornii. Potem podobno ożenił się, przeniósł do Houston, później do Dallas i znowu wrócił do Kalifornii. Po kilku latach przyjechał tutaj, żeby pomóc ojcu w kampanii przedwyborczej: William Wallace startował wtedy w wyborach do senatu razem z Jamesem Fowlerem. Drew był świeżo po rozwodzie i nie można było do niego podejść, bo gryzł. Zamieszkał u dziadków i zaczął pomagać Clayowi w kierowaniu tartakiem. Kiedy ojciec zginął w wypadku, Drew ku zaskoczeniu wszystkich postanowił zostać. Przypuszczam, że dziadek go do tego namówił.

Dzwonek telefonu przerwał Emmie. Idąc podnieść słuchawkę, dorzuciła:

- Kilka miesięcy temu Clay dał mi Kasztanowy Dwór, żeby tam zamieszkał. To był dom jego rodziców.

Sydney przymknęła oczy. Gdyby miała siłę, wstałaby, poszła na górę do swojego pokoju, wyciągnęła przenośny komputer i dokładnie zanotowała wszystko, co się wydarzyło w ciągu ostatnich kilku dni.

- Nie śpij - powiedziała Emma, wracając od telefonu. - Drew dzwonił, żeby cię zaprosić na kolację. Za pół godziny wpadnie tu po ciebie.

Emma chyba zwariowała. Przecież ona jest na niego śmiertelnie obrażona. Potraktował ją okropnie. Jak on śmie dzwonić i gdziekolwiek ją zapraszać... Nigdzie z nim nie pójdzie.

Akurat! Sydney zerwała się, klasnęła w ręce z radości, po czym nagle się zasepiła.

- Ale ja nie mam co na siebie włożyć! Nie mam się w co ubrać.

- Gadanie. Właśnie, że masz. Sukienki mamy idealnie na ciebie pasują.

Właśnie tego się obawiała.

- A buty? Mam tylko te przeklęte tenisówki.

Sydney spojrzała w lustro. Stała tak przez chwilę wpatrzona w obraz, który miała przed sobą.

- Przecież to nie jestem ja.

- Wyglądasz ślicznie. Tak zwiewnie.

Sydney westchnęła. I tak dobrze, że nikt z redakcji nie może jej widzieć. Była zmieniona nie do poznania. Emma podkręciła jej włosy, nadając twarzy dziecinny wygląd. Delikatna jasna szminka dodatkowo to podkreśliła.

Sydney stanęła bokiem i uważnym spojrzeniem obrzuciła sukienkę. Tym razem też wyglądała jak panienka z powieści dla pensjonarek. Błękitna sukienka z koronkowym kołnierzykiem, bufiaste rękawy... Żeby nie robić Emmie przykrości, jedynie cicho westchnęła. Emma była wyraźnie zachwycona swym dziełem.

Do tego błękitne pantofelki o numer za małe.

- Emmo, te buty są strasznie ciasne. Nie wytrzymam w nich przez cały wieczór.

- Nie masz wyboru. Te albo twoje. Chyba nie pójdziesz na kolację w różowych tenisówkach - wybuchnęła śmiechem - zwłaszcza do takiej sukienki. Daj spokój, pomęczysz się tylko kilka godzin, nie umrzesz od tego. Pomyśl, co znoszą inne kobiety, kiedy specjalnie kupują sobie za małe buty, żeby mieć zgrabną stopę. Jesteś w doborowym towarzystwie. Tajemne stowarzyszenie pod hasłem „robimy wszystko, żeby być piękne”. Zresztą, jak nie wytrzymasz, to zrzucisz je pod stołem i już. Tylko dyskretnie.

Nie ma wyjścia. Trzeba się poddać. Niewinnie wyglądająca Emma była osobą o żelaznym charakterze. Twarda jak tworzywo, w którym pracowała. Nie było żadnego „nie”. Sydney szybko chwyciła prawo jazdy, żeby mieć przy sobie jakiś dokument, i wrzuciła do kieszeni drobne pieniądze. Zerknęła na zegar, potem na komputer.

- Mam jeszcze dziesięć minut. Mogę chwilę popracować, zrobić jakieś notatki.

- Dobry pomysł, a ja w tym czasie zacznę się ubierać. Ja też wychodzę wieczorem. Pocziwy doktor wpadnie i zabierze mnie na kolację. - Widząc zdziwione spojrzenie Sydney, uniosła rękę przeczącym gestem. - Tylko nie mów, że w takim razie możemy pójść gdzieś wszyscy razem. W dwie pary. Za duże tempo, jak na mnie.

Sydney roześmiała się i usiadła za stołem.

Od dawna tak nigdzie nie chodziła, w dwie pary. Prawdę mówiąc, nigdy tak nie chodziła. Nie bywała na prywatkach, nie miewała przyjaciółek od serca, nigdy nikomu się nie zwierzała.

Automatycznie zaczęła wpisywać do komputera wszystko, co przydarzyło się jej od chwili przyjazdu do miasteczka Wallace w stanie Teksas. Po kolei, ze wszystkimi szczegółami, starając się niczego nie pominąć. Może rzeczywiście straciła coś, żyjąc tak jak do tej pory... Właściwie zawsze była sama, ale jej rodzinny dom nie był domem, do którego chętnie zaprasza się przyjaciół.

Tak się zamyśliła nad przeszłością i wspomnieniami z dzieciństwa, że wróciła na ziemię dopiero, gdy Emma lekko dotknęła jej ramienia.

- Przyjechał Drew - powiedziała dramatycznym szeptem. - Musiałaś zrobić na nim wrażenie, bo włożył garnitur.

Schodząc po schodach Sydney zastanawiała się, jak Drew właściwie się ubiera. Czy nosi na co dzień dzinsy i długie buty? Kowbojski kapelusz? Pistolety u pasa? Strzelbę na ramieniu? Zatrzymała się. To wszystko pasowało raczej do Andrew. To znaczy do mężczyzny, którego poznała pod tym imieniem. Schodziła na dół w przekonaniu, że wszystko dokumentnie jej się pomyliło. Nie była w stanie ich rozróżnić.

Patrzył, jak Sydney schodzi po schodach i myślał, że nigdy nie widział tak pięknej kobiety. Jednocześnie przysięgał sobie, że będzie się miał na baczności, dopóki ostatecznie nie dowie się, po co naprawdę przyjechała do Wallace. Wiedział z doświadczenia, co się może kryć pod pięknym opakowaniem.

- Mam nadzieję, że lubisz meksykańskie potrawy?

- Uwielbiam.

Była zdenerwowana i podniecona. Drew wyglądał na niezwykle przystojnego w ciemnym garniturze i krawacie. Zrobił na niej wielkie wrażenie.

Emocje opadły, kiedy zobaczyła jego samochód.

- Co to za potwór? - spytała, żeby coś powiedzieć i przerwać ciszę. - Ten to dopiero musi pożerać galony ropy i zatruwać środowisko.

- Prowadziłaś kiedyś coś takiego? Ton jego głosu był dość oficjalny.

- Nie.

- I nigdy czymś takim nie jechałaś?

- Nie.

Lekko pogładził karoserię i otworzył przed nią drzwi wielkiego chevroleta.

- To jest jeden z najlepszych amerykańskich samochodów. Rok produkcji tysiąc dziewięćset pięćdziesiąt siedem, tradycyjna amerykańska konstrukcja, klasyczna technologia, resory zamontowane na tylnej osi, rozwiązania proste i trwałe, dobrze sprawdzające się na bezdrożach. Rozmiary wzbudzające poczucie bezpieczeństwa. Przygotuj się na niezwykle doznania.

Wśliznęła się do środka i zasiadła na szerokim, miękkim siedzeniu; miejsca było tyle, że gdyby chciała, mogłaby założyć nogę na nogę. Widziała już niejednego dobrego samochód, ale to było naprawdę coś nadzwyczajnego. Ogromne, wygodne wnętrze, w którym można się rozsiąść jak na kanapie w salonie. Rzeczywiście, w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych działo się dobrze nie tylko w muzyce...

Drew spod oka obserwował Sydney. Jego uwagi nie uszedł ruch ręki, kiedy dotknęła materiału.

- Miłe, prawda?

- Bardzo. Nie wiem tylko, dlaczego oni wtedy robili takie wielkie i szerokie fotele.

Drew zapuścił silnik i ruszyli.

- Każdy chłopak marzył o czymś takim. Wiesz dlaczego? Bo to był i stale jeszcze jest najlepszy samochód na randki.

Uśmiechnęła się.

- To musiały być naprawdę piękne czasy. Przynajmniej dla nastolatków.

Drew dość nieoczekiwanie zmienił temat.

- Posłuchaj, przepraszam, że zaprosiłem cię tak nagle, ale musimy porozmawiać.

Przez chwilę panowała cisza. Zastanawiał się, co powiedzieć dalej. Myślał o niej dużo różnych rzeczy. Pochlebnie i niezbyt pochlebnie. Nieraz sądził, że może mieć do niej zaufanie, innym razem podejrzewał, że po prostu tylko mu się podoba. Miał na nią ochotę; była bardzo ładna i podniecająca. Czuł się przy niej niezbyt pewnie, zupełnie jak młody chłopak, który boi się

skompromitować. Już od dłuższego czasu nie miał takich przeżyć. Musiał zresztą przyznać, że to nie było całkiem nieprzyjemne.

- W dalszym ciągu zastanawiasz się nad tamtą sprawą i próbujesz zrozumieć, co ci się właściwie wydawało? Mógł sobie darować ten sceptyczny ton.

- Nic mi się nie wydawało. Tak było.

- W takim razie chyba nie będziesz mi miała za złe, że opowiedziałem wszystko moim dziadkom.

- O Boże! Muszą myśleć, że zwariowałam. Powiedziały im pewnie, że spotkałam kogoś, kto mi się przedstawił jako Andrew Joshua, a tobie udało mi się wmówić, że to był duch twojego pradziadka. Dobrze sobie!

- Nic nie rozumiesz. Przecież ci mówiłem, że Andrew Joshua jest ojcem Claya.

- To niczego nie zmienia. Czy pomyślałaś, jak taka historia może wpłynąć na moje życie? Może mnie skompromitować, jeśli to się rozniesie... Ale czekaj...

Nareszcie dotarło do niej znaczenie tego, co przed chwilą powiedział.

- Czy to znaczy, że twój dziadek domyśla się, kto udawał Andrew Joshuę?

- No, może... W pewnym sensie.

Odetchnęła z ulgą. Nareszcie coś drgnęło. Znalazł się ktoś, kto pomoże jej rozwikłać całą tę sprawę. Wreszcie wszystko się wyjaśni.

Meksykańska restauracja była najbardziej wytwornym lokalem w mieście. Z trudem znaleźli miejsce na parkingu. Drew uprzedził, żeby się nie sugerowała nazwą. Podawano tam wszystko; nazwa w żadnym stopniu nie pomniejszała rangi lokalu. Po obli stronach granicy nie było lepszego jedzenia.

Sydney wiedziała, że w takich przypadkach najlepszą reklamą jest liczba gości. Drew mówił prawdę. Przepelniony lokal potwierdzał jego słowa. Widząc, że nie ma miejsca, próbowała się wycofać, ale Drew energicznie wziął ją za rękę i przeprowadził przez kłębiący się tłum.

- Alex! - zawołał w stronę zaaferowanego mężczyzny, który jednym uchem słuchał tego, co do niego mówiła jakaś kobieta, a jednocześnie bacznie obserwował, co się dzieje na sali.

- Witam. - Mężczyzna podszedł do nich szybkim krokiem i uśmiechnął się do Sydney. - Stolik czeka.

- Na to liczyłem - powiedział Drew i zwrócił się do Sydney. - To jest Alex Chang.

- To pani miała ten wypadek przy Piney Creek Road? Jest pani dziennikarką, wiem. Bardzo miło mi poznać - powiedział Alex serdecznie.

Sydney uśmiechnęła się. Jak widać wszyscy w miasteczku są dokładnie poinformowani o jej losach. Można się było tego spodziewać. Zna przecież podobne miejsca.

- A u ciebie jak zwykle tłumy - zwrócił się Drew do Alexa, prowadzącego ich w stronę wolnego stolika. - Jak sobie z tym wszystkim radzisz?

- Próbowałem tłumaczyć mamie, że nie można otwierać baru przed dziesiątą wieczór, bo się pozabijają, ale nie posłuchała. Sam widzisz, co się dzieje. Bardzo proszę, to jest stolik dla państwa i menu. Dobrego wieczoru życzę.

Sydney przez chwilę patrzyła za odchodzącym szybkim krokiem Alexem. Też niezłe: Chińczyk w Teksasie prowadzi meksykańską knajpę! Nic dziwnego, po tym mieście można się wszystkiego spodziewać.

Drew skinął na kelnerkę.

- Napijesz się piwa? - zapytał Sydney. Wiedziała, że musi zachować tego wieczoru trzeźwość umysłu, toteż postanowiła zamówić mrożoną herbatę. W milczeniu czekali, aż kelnerka wróci i przyniesie napoje oraz obowiązkowe chipsy i salsę. Cisza nie miała w sobie nic krepującego. Pozwalała się odprężyć. Sydney rozkoszowała się nią przez chwilę, ale potem popadła w zadumę. We wszystkim, co dotyczy Drew, jest tak wiele znaków zapytania... Podświadomie zmarszczyła czoło.

- Nie martw się. Nie ma w tym nic złego.

Drew patrzył na nią z uśmiechem.

- Słucham, co powiedziałaś?

- Nie ma nic złego w tym, że ci się podobam.

- Co?

- Sam się zdziwiłem, kiedy poczułem, jak bardzo na mnie działasz.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Masz, masz. Nie próbuj się oszukiwać - ciągnął z uśmiechem. - Ja też próbowałem, ale się nie udało.

Umoczyła chipsa w salsie i uniosła do ust. Nigdy nie wiedziała, kiedy Drew żartuje, a kiedy mówi serio. Sos był piekielnie ostry. Próbowala nie okazać, że piecze ją w gardle, i sięgnęła po szklanekę z mrożoną herbatą.

Drew nie spuszczał z niej oczu.

- Musisz mieć strusi żołądek - powiedział z błyskiem w zielonych oczach. - Ja bym tego nie wziął do ust. Dla mnie to za ostre.

Cały wysiłek na nic. Na próżno się poświęcała. Spojrzała w jego rozbawione oczy. Dlaczego przy nim, właśnie przy nim, nigdy nie udało jej się mieć ostatniego słowa? Jak to się dzieje, że z taką łatwością wygrywa każde starcie?

Siedziała z palącym gardłem i piekącymi ustami, próbując nie dać po sobie poznać, jak bardzo jest z siebie niezadowolona. Kelnerka nie nadchodziła, więc zaczęła rozglądać się po restauracji.

Przy stoliku w głębi dostrzegła znajome sylwetki. Senator Fowler w towarzystwie żony i najbliższego współpracownika, Johna Lakera, spożywał kolację. Cała trójka spoglądała w ich stronę. Na wszystkich trzech twarzach malowała się równie głęboka dezaprobata.

Drew czekał, aż kelnerka postawi na stole zamówione dania.

- Znowu na kimś zrobiłaś duże wrażenie - powiedział, kiedy odeszła. - Musisz mi wyznać, jak ci się udało w ciągu kilku godzin narobić sobie tylu wrogów w naszym miasteczku.

Sydney spojrzała na niego ze zdziwieniem. Nie zauważyła nawet, że Drew również patrzy w kierunku tamtego stolika.

- Jakich wrogów?

Ruchem głowy wskazał stolik senatora.

- Tych troje tam. Oczywiście, wiem, że mam w tym swój udział. Nie mogą znieść nikogo, kto trzyma z moją rodziną, ale prócz tego mam wrażenie, że sama też im się naraziłaś. Dowiedziałem się od Ala, to taki bezrobotny dżentelmen, który przesiaduje w redakcji „Wallace Morning Star”, że Emma próbowała u nich coś znaleźć. Buddy Hilton, właściciel gazety, wydawca i dziennikarz w jednej osobie, był z tego bardzo niezadowolony. A potem ta wizyta u pani Wandy w bibliotece. Pani Wanda jest bardzo zaprzyjaźniona z moją babką. Sama do mnie zadzwoniła dziś po południu, żeby mi powiedzieć, że Emma chciała znaleźć u niej pewien artykuł. Każdy, powtarzam, każdy w tym mieście wie, kim jesteś, po co tu przyjechałaś i z kim się spotykasz.

- Niczego nie ukrywam. Nie mam powodu.

- Ty nie, ale nie wszyscy są w takiej luksusowej sytuacji. Tych troje tam przy stoliku na pewno nie.

Może nareszcie teraz czegoś się dowiem, pomyślała.

- Dlaczego ludzie mieliby coś ukrywać? Drew przez dłuższą chwilę patrzył na nią bez słowa, zanim przemówił:

- Niektórzy nie chcą, żebyś się dowiedziała o pewnych sprawach. Inni starają się bronić czegoś, na czym im bardzo zależy.

Nie takiej odpowiedzi oczekiwała, ale Drew najwyraźniej bardzo lubił zagadki. Postanowiła prowadzić rozmowę dalej w tym samym stylu.

- Jakim ludziom i na czym tak bardzo zależy?

- Mnie i moim dziadkom bardzo zależy na naszym nazwisku.

Tego się nie spodziewała. Jej twarz wyrażała bezbrzeżne zdumienie.

- Jak to?

Bardzo długo się zastanawiał. Musi się liczyć z konsekwencjami.

Wreszcie powziął decyzję.

- Jesteś dziennikarką, prawda?

- W wolnych chwilach dorabiam jako kosmonautka.

Roześmiał się.

- Masz godne podziwu poczucie humoru.

Odwrócił spojrzenie i skupił się na zawartości talerza.

- A ty - podjęła temat Sydney - co robisz? Pracujesz w tartaku, czy zajmujesz się konstruowaniem gadających smoków?

- Podobnie jak ty, jestem wszechstronnie utalentowany. Posłuchaj... Czy jako dziennikarka uważasz, że obowiązuje cię coś w rodzaju tajemnicy zawodowej?

- Oczywiście - odparła bez wahania.

Postanowiła cierpliwie poczekać. Udała, że obchodzi ją jedynie; tacos na talerzu i ostre meksykańskie przyprawy. Wiedziała, że teraz niczego nie należy przyspieszać. Andrew zdecydował się mówić i zastanawia się jedynie, jak to zrobić. Sprawa musi być poważna, skoro tak długo się namyśla i waży każde słowo. Sięgnęła po szklankę i powoli zaczęła sączyć mrożoną herbatę, patrząc na siedzącego naprzeciw mężczyznę z udaną obojętnością.

- Jak rozumiem, chciałaś przeczytać ten artykuł, żeby zorientować się w sytuacji. Buddy nie zamierzał oszczędzać mojej rodziny, kiedy kazał powiedzieć Emmie, że materiały zostały zniszczone. Natomiast pani Wanda z biblioteki - tak.

- Kogo w takim razie osłania Buddy?

Drew skończył jeść, położył sztucze na talerzu i wyprostował się.

- Senatora.

Zobowiązała się zatrzymać pewne rzeczy w tajemnicy. Była zdecydowana dotrzymać słowa. Zawsze mogła jednak poszukać innego źródła, żeby sprawdzić lub wzbogacić pewne interesujące ją informacje. Na razie źródło miała tylko jedno.

- Każdy z innych powodów starał się, żebyś nie dotarła do artykułu, w którym są kalumnie na temat mnie, mojego ojca, mojej rodziny. Mój ojciec brał udział w wyborach razem z Jamesem Fowlerem. Pod koniec kampanii doszło do pewnych niezbyt pięknych rzeczy... z winy mojego ojca.

- Senator podjął rękawicę?

- James rozumiał, dlaczego ojciec źle się zachował i że ma po temu powody, dlatego wspaniałomyślnie postanowił nie odpowiadać na zarzuty.

- Jakie to były zarzuty?

- Nieważne. - Widząc zawód malujący się na jej twarzy, dorzucił: - Chodzi o stare, rodzinne historie.

Nie zamierzała poprzestać na podobnie lakonicznym wyjaśnieniu, ale wiedziała, że musi mu dać trochę czasu.

- W czasie swojej kampanii wyborczej Fowler odwoływał się do tradycji, głosił niezłomność zasad moralnych i jako przykład podawał własną rodzinę. Rzeczywiście, zawsze było w niej wielu sędziów, adwokatów i wszelkiego rodzaju filantropów oraz dobroczyńców ludzkości.

Patrzyła na niego zafascynowana. Jak dotąd nie powiedział nic, czego by nie wiedziała. Na jej oczach tworzył jednak pewną opowieść i najwyraźniej bardzo mu zależało, żeby uwierzyła w to, co mówił. Zerknęła w stronę stołu senatora. Cała trójka w dalszym ciągu spoglądała na nich.

- W takim razie co twój ojciec zarzucił Jamesowi?

- Powiedział, że wszyscy Fowlerowie są złodziejami i oszustami, wykorzystującymi ludzi do swoich politycznych gier. Że korumpują i dają się korumpować.

- I miał rację?

- Nie.

Oczekiwała zupełnie innej odpowiedzi. Odłożyła widelec, nie mogąc dłużej udawać obojętności. Nie potrafiła udawać obojętności w sytuacji, kiedy po raz pierwszy w życiu odnosiła wrażenie, że sprawy zaczynają się toczyć w kierunku, którego nie przewidziała.

- Chcesz powiedzieć, że twój ojciec skłamał? Drew skrzywił się.

- Oskarżając Jamesa o nadużycia, nie powiedział prawdy, a co do jego przodków... Każdy ma jakiś szkielet w szafie. Ale sam James Fowler jest najbardziej uczciwym człowiekiem, jakiego w życiu widziałem. Jest doskonałym senatorem i być może pewnego dnia zostanie równie dobrym prezydentem. Oczywiście, o ile koledzy z Waszyngtonu przedtem go nie zniszczą.

- Oskarżenia twojego ojca były zatem po prostu posunięciem w kampanii wyborczej?

Ciekawość Sydney nieco przygasła. Dalszy ciąg zapowiadał się o wiele mniej sensacyjnie, niż przed chwilą myślała. Dowiedziała się po prostu, do jakiego stopnia wszystko, co dotyczy rodziny, jest dla niego ważne. Całe miasteczko pasjonuje się takimi sprawami, a ciągną się one przez drugie lata, wywierając wpływ na życie całych pokoleń.

Drew pokręcił przecząco głową.

- Gdyby to było tylko to, sprawa byłaby zbyt prosta. Musisz wiedzieć, że moja rodzina od dawna ma z Fowlerami na pieńku. Odkąd pamiętam, zawsze coś było: nieporozumienia, kłótnie, konflikty. Mój ojciec przez wiele lat był w Izbie Reprezentantów i to mu dawało nad nimi przewagę. Kiedy się dowiedział, że James zamierza być senatorem, postanowił też wziąć udział w wyborach.

Nie pomyślał, że może przegrać. Był doświadczonym politykiem, miał sztab pracujących dla siebie ludzi, ale pod koniec kampanii prognozy zaczęły być niepomyślne. Jego popularność spadła. Wyborcy jakby przestali cenić sobie tradycyjne wartości. Chcieli mieć kogoś młodego, uczciwego, nowoczesnego, tak zwaną osobowość. Ojciec postanowił zagrać *va banque*. Napisał te kalumnie i je opublikował. To tylko pogorszyło sprawę. Już tydzień przed wyborami wiadomo było, że nie ma szans.

- I to właśnie opisano w tym artykule?

- To też. Właściciel gazety, Buddy Hilton, popierał Jamesa. Nigdy nie lubił mojego ojca, naszej rodziny, a zwłaszcza mnie. Jesteśmy w tym samym wieku, razem chodziliśmy do szkoły i zawsze czuliśmy do siebie antypatię. Kilka dni po wyborach ojciec spotkał go przed budynkiem redakcji. Doszło do strasznej awantury. Trzeba ci wiedzieć, że ojciec pił i tego dnia nie był zupełnie trzeźwy. A wieczorem zginął w wypadku samochodowym. Po kilku dniach, dokładnie w dzień pogrzebu ojca, Buddy opublikował w swojej gazecie swoisty nekrolog. Był to duży artykuł o moim ojcu i jego politycznej karierze. Nie zostawił na nim suchej nitki. Same kłamstwa, bezpodstawne oskarżenia, sensacje. Napisał, że dobrze się stało, bo w mieście i w całym Teksasie ktoś taki jak ojciec nigdy nie był potrzebny.

Drew uśmiechnął się smętnie. Niełatwo mu przyszło opowiedzieć to wszystko. Odkąd pamiętał, był z ojcem w złych stosunkach. Poczucie winy dręczyło go przez wszystkie lata, jakie upłynęły od jego śmierci. Może gdyby żyła matka, wszystko byłoby inaczej. Ale, podobnie jak James, stracił matkę w dzieciństwie, kiedy była mu najbardziej potrzebna. Miał wtedy dziewięć lat. Z ojcem nie mógł się porozumieć ani jako mały chłopiec, ani jako dorosły mężczyzna. Dlatego wyjechał z Wallace. Wrócił dopiero na usilne prośby dziadka, który go błagał, żeby mu pomógł w prowadzeniu firmy, a ojcu w wyborach.

- W każdym razie ten „nekrolog” to było jeszcze nic w porównaniu z tym, co Buddy wydrukował potem.

- Czy to właśnie ten artykuł, który wszyscy próbują przede mną ukryć?

- Jesteś dziennikarką ze stolicy. Pracujesz dla „Washington Post” i ludziom się wydaje, że możesz zaszkodzić. Jedni ukrywają przed tobą ten artykuł ze względu na szacunek, jaki żywią do Claya i Rosy, inni nie chcą, żeby wplątać w to nazwisko senatora, a jeszcze inni boją się, że ich miejscowa gazetka może na tym ucierpieć. - Drew zamilkł na chwilę, po czym dodał: - Buddy miał

prawo napisać, co chce, ale powinien trochę odczekać. Potwornie zranił Claya i Rose; przecież oni stracili syna. Nie mogłem tego znieść, więc poszedłem do niego, do redakcji, wyciągnąłem go zza biurka i sprąłem przy wszystkich. Tego samego dnia, wieczorem, po raz pierwszy w historii „Morning Sun”, ukazał się dodatek specjalny w całości poświęcony historii naszej rodziny. Zbrodniczej historii rodziny Wallace.

Popatrzyła na niego z sympatią. Znowu ją zaskoczył, tym razem pozytywnie, swoim poczuciem honoru i stosunkiem do rodziny, do nazwiska.

- I dopiero wtedy rozpętała się burza, tak? - zapytała cicho.

- Nie. Wszyscy nabrali wody w usta. Nikt nic więcej nie napisał ani nie powiedział.

Zapadła martwa cisza. Przypuszczam, że Clay musiał coś zrobić. Dziadek ma co prawda dziewięćdziesiąt trzy lata, ale kiedy się rozzłości, potrafi być groźny. Nigdy mi nie zdradził, co powiedział Buddy’emu, ale jak się domyślam, odwiedził go pewnego dnia. Buddy jest mocny w gębie, ale to kawał tchórza. Kiedy sobie pomyślę, ile złego może zrobić ktoś, kto ma władzę i prasę do dyspozycji... Na ogół gazety zajmują się konkretnymi sprawami, dostarczają ludziom informacji, odpowiadają na pytania, drukują wypowiedzi specjalistów, prawników, socjologów i tak dalej. Ale czasem opinia jednego jedyne człowieka może...

Zwiesił głowę i zapanowała cisza. Bardzo chciała mu powiedzieć, że podziela jego zdanie i doskonale rozumie, co ma na myśli. Postanowiła jednak milczeć. Właściwie odkąd tu przyszli, mówili bez przerwy. Uśmiechnęła się do siebie.

Chciała właśnie wytłumaczyć Drew, dlaczego się uśmiecha, kiedy zauważyła ruch przy tamtym stoliku. Senator, Laureen i John podnieśli się i wyraźnie zaczęli zmierzać w ich stronę.

Zapowiada się interesująco, pomyślała. Oparła się wygodnie i spokojnie czekała. Drew podniósł się, pełnym podziwu uśmiechem powitał Laureen, uściśnął serdecznie dłoń Jamesa Fowlera, z rezerwą skinął głową Johnowi Lakerowi.

- Wygląda na to, Drew - powiedział James - że zamierzasz czerpać korzyści z faktu, że uratowałeś Sydney życie.

- Tak się złożyło, Grubasku, że nie mam z tym nic wspólnego.

James Fowler nie zwrócił uwagi na przezwisko, ale Sydney zauważyła, że John lekko się skrzywił, a wystudiowany uśmiech na twarzy Laureen nieco zbladł. Najwyraźniej nie docenili szkolnego dowcipu, zwłaszcza że Drew mówił podniesionym głosem. Jednocześnie Sydney zauważyła dwie rzeczy: gwar w pełnej ludzi restauracji nagle przycichł, jakby wszyscy chcieli usłyszeć słowa, które padną przy ich stoliku, oraz Emmę w towarzystwie doktora, siedzących nie opodal. Emma miała na twarzy wyraz komicznego przestachu, oczami zaś wskazywała Laureen Fowler.

- Drew - odezwała się melodyjnym głosem żona senatora - dlaczego tak się tego wypierasz? To nic złego, uratować komuś życie. Buddy na pewno zechce coś o tym napisać, zrobi z ciebie bohatera...

Urwała nagle i zapanowało napięte milczenie.

- Prawdę mówiąc... - zaczął Drew.

Po co ta kretynka się odzywała? - przemknęło Sydney przez głowę. Wiedziała, co Drew zaraz powie. Przerazona kopnęła go pod stołem, jednocześnie unosząc rękę, jakby chciała poprosić o głos. Ręka pozornie nieopatrnie drgnęła, przewracając szklankę z mrożoną herbatą wprost na jedwabną suknię Lauren. Nastąpił przewidziany efekt.

- Strasznie mi przykro, przepraszam. - Sydney z udanym zmieszaniem zerwała się z krzesła.

- Szczerze mówiąc - kontynuował Drew rozbawionym głosem - to Andrew Joshua uratował Sydney.

Nie miała żadnych wątpliwości: wszyscy w restauracji usłyszeli jego słowa. Na ułamek sekundy zapanowała przy stoliku martwa cisza, a potem wszyscy wybuchnęli śmiechem. Z ulgą przyłączyła się do nich.

- Jak zwykle żartujesz - oświadczyła Lauren i z żalem popatrzyła na swoją poplamioną suknię. - Musimy już jechać, James. Przyrzekliśmy twojemu ojcu, że do niego wpadniemy.

Senator, nie przestając się śmiać z dowcipu, zaczął się żegnać. Sydney spostrzegła, że mierzy ją uważnym spojrzeniem. Kiedy odeszli i nie mogli ich już słyszeć, znowu kopnęła Drew pod stołem.

- A to za co?

- Dobrze wiesz, za co - syknęła. - Za to, że nie umiesz trzymać języka za zębami. Dlaczego to zrobiłeś? Jak mogłeś? Przecież oni teraz myślą, że zwariowałam. Przestałam być dla nich wiarygodna, przestałam być poważnym partnerem do rozmowy. Ale, czekaj... Zrobiłeś to specjalnie, prawda? W pełni świadomie...

Tysiące różnych myśli przebiegało jej przez głowę. Głównie pytania, ale było też kilka odpowiedzi. To niewiele, ale zawsze lepsze niż nic. Zaczynała rozumieć, że posłużył się nią w swojej grze, wykorzystał.

Drew szybko wypisał czek, położył obok niego kilka monet i wstał.

- Chodźmy stąd, muszę z tobą gdzieś spokojnie porozmawiać. Tutaj wszyscy na nas patrzą. Sydney ani drgnęła.

- Najpierw musisz mi wytłumaczyć, dlaczego to zrobiłeś.

- Przysięgam, nie zrobiłem tego specjalnie. Tak mi się samo wymknęło. Nie mogłem się powstrzymać. Okrążył stół i stanął za jej krzesłem.

- Lepiej wstań - powiedział szeptem. - Nie róbmy tutaj sceny.

Ponieważ się nie ruszyła, wziął ją za ramiona i zmusił, żeby się podniosła. Szybko przebyli odległość dzielącą ich od drzwi. Już w progu zwróciła ku niemu głowę.

- Gdzie byłeś tej nocy, kiedy miałam wypadek?

- W domu.

Podniósł rękę jak do przysięgi.

- Słowo daję, Sydney, byłem u siebie w domu. Naprawiałem elektryczność, burza zrobiła duże szkody. - I uprzedzając następne pytanie, dodał: - Byłem sam. Nawet gdybym chciał gdzieś wyjechać, nie mógłbym tego zrobić, bo ulewa zalała podjazd.

- Najpierw mówiłeś, że byłeś w szpitalu. Dlaczego kłamałeś?

- Nie lubię się spowiadać. Od najmłodszych lat nie znosiłem, jak ludzie wtrącali się w moje sprawy. Tamtego wieczora nie udał mi się któryś z moich eksperymentów. Doszedłem do wniosku,

że jestem do niczego i po prostu się upiłem.

Otworzył przed Sydney drzwi samochodu i poczekał, aż się ulokuje.

- Nie przeszkodzi ci, jeśli opuszczę dach? - zapytał, siadając za kierownicą.

- Nie.

Każda inna kobieta na jej miejscu udawałaby obrażoną. Każda dorosła, pewna siebie kobieta nie siedziałaby teraz tak potulnie.

Podobne myśli nie były w stanie zakłócić spokoju, który ogarnął ją w obliczu chłodnej nocnej ciszy. Odetchnęła głęboko i po raz pierwszy w ciągu tego szaleńczego dnia poczuła, że odpoczywa.

- Czy masz ochotę się przejechać? Chciałbym ci coś pokazać.

- Dobrze.

Z opuszczonym dachem jechało się wspaniale. Delikatny powiew świeżego powietrza na twarzy, rozwiane włosy, wygodny samochód, poczucie sytości i bezpieczeństwa, wszystko to potęgowało w Sydney poczucie błogostanu. Zsunęła zbyt ciasne pantofle, lekko poruszyła palcami. Było jej wszystko jedno, dokąd jadą. Nie знаła Drew dobrze, ale miała do niego całkowite zaufanie. Poczula, że jej powieki robią się coraz cięższe. Oparła głowę na wyściełanym oparciu i zamknęła oczy.

Obudził ją bezruch i głęboka cisza. Kiedy otworzyła oczy, ujrzała nad sobą niebo. Było tak usłane gwiazdami, że pomyślała, iż ciągle jeszcze śpi. Nigdy nie widziała czegoś podobnego.

- Przepiękne, prawda?

- Gdzie jesteśmy? - zapytała, nie unosząc głowy.

Kątem oka dostrzegła rozległą polanę, otoczoną wysokimi sosnami.

Drew nie spuszczał z niej oczu, kiedy spała. Delikatny owal twarzy, piękne rysy, kształtny nos, cudownie zarysowane usta... Zwłaszcza jej usta... Drobne, pełne, zmysłowe. Pochylił się, żeby je pocałować, ale zawahał się i odsunął.

- To moje zaczarowane miejsce - wyjaśnił teraz. - Kędy byłem mały, dziadek mnie tu przywiózł. Robotnicy z tartaku wykarczowali kawał lasu, Clay to obejrzał, a ponieważ zawsze był bardzo romantyczny, zasadził małe sosenki. Potem o wszystkim zapomniał. Po kilku latach przypadkiem odnalazł to miejsce. Drzewa urosły, a pośrodku nie wiadomo dlaczego zostało wolne miejsce. Zrobiła się polana. Clay nazywa to miejsce swoją drogą do gwiazd.

Włączył radio, przez chwilę szukał muzyki, potem ściszył ją i oparł się wygodnie.

- Nie ma nic lepszego niż muzyka z lat sześćdziesiątych...

Sydney słuchała przez chwilę, a potem zwróciła ku niemu głowę.

- Co to jest?

Spojrzał na nią.

- Chyba będę musiał zrobić ci krótki wykład o muzyce sprzed lat.

Objął ją ramieniem i mocno pocałował.

- Ta piosenka nazywa się „Morze miłości” - powiedział, odsuwając usta. - Dawniej nastolatki kochały się w samochodach właśnie przy tej muzyce.

- Co w niej jest takiego specjalnego?

Zapytała trochę wbrew sobie. Nie chciała nic mówić, nie chciała nic robić, żeby niczym nie zakłócić tej niezwyklej chwili.

- Kiedy słuchasz tej muzyki w ramionach osoby, na której bardzo, bardzo ci zależy, to ta piosenka powie za ciebie wszystko, czego ty sam nie umiesz albo boisz się powiedzieć. Te piosenki to są wyznania miłości. Posłuchaj. To Jimmy Reed: „Kochanie, nic nie rób, tylko zamknij oczy”.

Pocałował jej przymknięte powieki.

Przytuliła się do niego.

- Powiedz mi coś o sobie, Drew.

Poczuła, że lekko się roześmiał. Nie przeszkodziło jej to. W jego ramionach czuła się bezpieczna i szczęśliwa. A co najdziwniejsze, czuła się... kochana.

- A co chcesz wiedzieć?

- Takie zwyczajne rzeczy, które ludzie sobie mówią, kiedy się spotykają.

- I czują, że bardzo się sobie podobają?

- Tak.

Szybkość własnej odpowiedzi bardzo ją zaskoczyła. Nieoczekiwana szczerłość również.

- Czym się zajmujesz?

Jeszcze kilka godzin temu nawet by mu do głowy nie przyszło, że może jej powiedzieć prawdę. Ale teraz, z niewiadomych powodów, zapragnął nagle, żeby wiedziała o nim wszystko. Poznała jego sukcesy i porażki.

Sydney uniosła głowę.

- Robisz jakieś prace na zlecenie rządu?

- Nie.

Roześmiał się. Przytulił policzek do jej twarzy.

- Próbowałem opracować nowy rodzaj gier komputerowych.

Równie dobrze mógł oświadczyć, że jest zawodowym mordercą.

Sydney usiadła zdumiona.

- Na przykład coś takiego jak „Nintendo”?

- Coś w tym rodzaju, ale bardziej realistyczne, przeznaczone dla dorosłych.

- Powiedziałaś to w czasie przeszłym. Dlaczego przestałaś nad tym pracować? Co teraz robisz? Ma to coś wspólnego ze smokiem, którego u ciebie widziałam?

Wyczuła jego zdenerwowanie i pospiesznie bijące serce. Niechcący musiała dotknąć bardzo czułego miejsca. Chciała podnieść głowę i zobaczyć jego twarz, ale pomyślała, że lepiej go nie rozpraszać. Niech sam zadecyduje, czy może mieć do niej zaufanie.

- Oboje z żoną zrobiliśmy na grach komputerowych wielkie pieniądze. Kalifornia to raj dla ludzi, którzy potrafią układać programy i gry. W pewnym momencie znudziło mi się robienie w kółko tego samego. Stale ktoś kogoś zabija albo unicestwia w jakiś inny, coraz bardziej wyrafinowany sposób. Wymyśliłem coś zupełnie nowego, ale Ellen nie chciała tracić czasu na eksperymenty i odeszła, zabierając ze sobą mój najnowszy projekt. Kiedy sprzedała go jako swój własny program, zerwałem z nią.

Przerwał i podkręcił nieco radio.

- Posłuchaj tego, Sydney. Nikt nie potrafi zaśpiewać tych słów lepiej niż Percy Sledge, może z wyjątkiem Righteous Brothers. „Kiedy mężczyzna kocha kobietę”...

- Tak, to rzeczywiście cudowne, ale powiedz, co stało się potem z twoją pracą?

- Rzuciłem wszystko. Rozwiodłem się, zostawiłem majątek, pieniądze i wróciłem tutaj, do domu, żeby pracować nad czymś, co potrwa może długie lata.

- Co to takiego?

- Gry komputerowe dla dzieci. Gry, które bawią, ale jednocześnie uczą.

Wtuliła się w niego, próbując ukryć uśmiech. Zdradziło ją drżenie ramion. Odsunął ją lekko i zauważył, że się śmieje.

- Tak cię to ubawiło?

- Nie, to znaczy nie ty. Śmieję się z samej siebie.

I wybuchnęła śmiechem.

- Powiedz, dlaczego? - spytał. Jej śmiech był tak zaraźliwy, że z trudem się powstrzymał, żeby się nie przyłączyć.

- Chodzi o to miasto, Drew. Nikt tutaj nie jest taki, jaki się wydaje. Każdy coś ukrywa, każdy ma drugie życie. Kompletne wariactwo. Uważam się za znawcę ludzkich charakterów, bardzo rzadko się mylę. Tutaj mylę się stale. Co takiego dzieje się z tym miejscem? Spójrz na mnie. Ja tutaj też nie jestem sobą.

- Może właśnie tutaj jesteś naprawdę sobą i to cię tak dręczy.

- Bzdura.

Nigdy w to nie uwierzy.

- Dobrze, a teraz twoja kolej, Sydney. Opowiedz mi coś o sobie.

Właściwie miała ochotę skłamać i zrobiłaby to, gdyby jej znowu nie pocałował. Poczula jego dłoń na swojej piersi i nie odsunęła jej. Dawno nie czuła się z nikim tak dobrze.

- Skąd jesteś? Gdzie się urodziłaś? - pytał dalej Drew, lekko całując ją w kark.

Dobrze wiedział, skąd pochodzi i gdzie się urodziła. Po jej wizycie w domu zatelefonował do kilku osób, które wiedziały wszystko. Miał paru wpływowych przyjaciół. Wiedział o niej chyba więcej, niżby sobie życzyła. Zasięgnął tych informacji, ponieważ musiał wiedzieć, czy może jej zaufać. Był ciekaw, czy powie mu teraz prawdę.

- Urodziłam się w Arlington, małym miasteczku niedaleko Dallas - zaczęła. - Przeprowadziłam się potem z matką i siostrą do Dallas. Miałam wtedy jakieś jedenaście lat.

Musnął wargami jej ucho.

- A twój ojciec?

Wzmianka o ojcu podziałała na nią jak zimny prysznic. Wyprostowała się gwałtownie i spojrzała mu prosto w oczy.

- Moi rodzice rozeszli się, kiedy miałam dziewięć lat. Jak dotąd mówi prawdę, pomyślał.

- Sydney, czy mogę ci wierzyć? Nie bardzo rozumiała, o co mu chodzi. Jaki jest sens tak postawionego pytania?

- To zależy, co masz na myśli. Poczekaj chwilę... - Rozejrzała się wokół. - Nagle przyszło mi do głowy, że to jest jakaś pułapka. Ta polana, sosny, gwiazdy... Wszystko sobie dokładnie

zaplanowałeś. Kolacja, romantyczne miejsce w lesie, pocałunki... Co dalej? Co wymyśliłeś na potem, Drew?

Mógł się spodziewać takiej reakcji. Sydney to twardy orzech do zgryzienia.

- Pozwól, że ci wyjaśnię. Masz rację, zaplanowałem ten wieczór. Nie zaplanowałem tylko pocałunków i tego, co do ciebie teraz czuję.

Aretha Franklin zaczęła właśnie śpiewać „Pomyśl...”, i Drew szybko wyłączył radio.

Sydney gwałtownym ruchem spróbowała otworzyć drzwi, żeby wydostać się z samochodu. Szarpnęła raz i drugi, ale nie ustępowały. Podniosła się, żeby wyjść górą. Drew zmusił ją, żeby znowu usiadła.

Był na siebie wściekły. Intrygi, przemyskie plany, nigdy nie były jego mocną stroną. Ojciec nie na darmo zawsze się wyśmiewał, że nigdy nie będzie dobrym politykiem. „Nie znasz się na dyplomacji”, mawiał. Zupełnie jakby on, Drew, chciał kiedykolwiek zajmować się polityką. Nigdy nie zamierzał iść w ślady ojca.

- Sydney, posłuchaj. - Zmusił ją, żeby usiadła. - Przyznaję, że nie byłem wobec ciebie całkiem szczery, ale ty też nie byłaś szczerą. Przyjechałaś, żeby napisać artykuł o Jamesie Powierzę. Bardzo dobrze. Ale mogłem przypuszczać, że skoro będziesz dogłębnie badać jego sprawy, tak czy inaczej, w czasie śledztwa, natkniesz się na rzeczy związane z naszą rodziną.

Spojrzała na niego podejrzliwie, gniewnie.

- Co masz na myśli mówiąc „w czasie śledztwa”? Przyjechałam tu, żeby napisać artykuł o pewnym bardzo wpływowym senatorze, który ma duże szanse, żeby któregoś dnia stać się prezydentem tego kraju. Nie zamierzam prowadzić żadnego „śledztwa”, w niczyjej sprawie.

- Oczywiście. Ale powiedz mi, dlaczego kongresmen Lancer wycofał się z polityki po tym, co o nim napisałaś? Przecież to ty rozpętałaś Robbergate, tę aferę związaną z bankami? To ty sporządziłaś listę osób, których nazwiska figurowały pod fałszywymi czekami, co rozpętało prawdziwą burzę w Kongresie. Odeszło wtedy wiele osób, nie licząc tych, którzy nie zostali ponownie wybrani po twoich rewelacjach. A potem sprawiłaś, że ich nazwiska były przez długi czas powtarzane w mediach.

- To był jedyny sposób, żeby skończyć z korupcją. Gdybym tego nie napisała, ci ludzie w dalszym ciągu wykorzystywaliby swoją pozycję i nadużywali zaufania wyborców. Skoro nie byli w stanie zachować się uczciwie w przypadku swoich własnych spraw majątkowych, jak, u licha, mogliby brać udział w rządzeniu tym krajem? Lancer to był tylko czubek góry lodowej. Brał pieniądze, reprezentował jedynie interesy konkretnej grupy.

- A jak było z admirałem Howard-Langiem? Ktoś mi opowiadał, że wystarczył jeden twój artykuł i Biały Dom zmusił go do rezygnacji ze stanowiska.

- Następnym razem, jeśli będziesz chciał się czegoś o mnie dowiedzieć, po prostu zapytaj. Nie warto czerpać informacji z drugiej ręki. Zresztą mogę ci wyznać, że admirał Lang był jedyną osobą, do której dymisji udało mi się doprowadzić. I jestem z tego dumna. Z innymi nie poszło mi tak łatwo. W jego przypadku wchodziły w grę ogromne inwestycje wojskowe, a do tego próba seksualnego wykorzystywania żeńskiego personelu.

Była na niego potwornie zła, a jednocześnie opanowana i chłodna, jak powiew wiatru, który czuła na rozpalonych policzkach.

- Lepiej mi powiedz, o co ci chodzi, Drew. Wiem, że coś się dzieje i chyba zdajesz sobie sprawę, że nie zrezygnuję, póki się wszystkiego nie dowiem. Ja nie ustępuję tak łatwo.

Próbował odgarnąć jej włosy z czoła, ale się cofnęła.

- Przepraszam cię, Sydney, źle zrobiłem, ale ja naprawdę mam powody, żeby nie ufać dziennikarzom. Wierz mi.

Patrzyła na niego z powagą w oczach, jak człowiek, który chciałby zapytać jeszcze o wiele rzeczy, ale stracił wiarę w to, że może oczekiwać szczerych odpowiedzi.

- Kiedy i jak dowiedziałeś się o mnie tego wszystkiego i po co zadałeś sobie tyle trudu? - spytała ze smutkiem.

- Zadzwoiłem do kilku osób, kiedy wyszłaś z mojego domu.

- Do kogo zadzwoniłeś?

Spuścił głowę jak chłopiec, który nabroił, i spojrzał na Sydney spod oka, żeby sprawdzić, czy to na nią działa. Nie bardzo.

- Nieważne, do kogo dzwoniłem. Wszyscy mówili o tobie same dobre rzeczy. Że jesteś doskonałą dziennikarką i że lepiej ci się nie narażać.

- Ostrzegali cię. Może źle zrobiłeś, że ich nie posłuchałeś. Naraziłeś mi się, oszukałeś mnie, wykorzystałeś, naopowiadałeś głupstw o duchach przodków i ośmieszyłeś w oczach senatora i całego miasteczka. Wyszłam na idiotkę. Jeszcze raz cię pytam, dlaczego to zrobiłeś? O co ci chodzi?

Jak jej wszystko powiedzieć? Sprawy poszły w zupełnie nieoczekiwanym kierunku. Wszystko się poplątało i nie miał pojęcia, jak z tego wybrnąć.

- Mogę cię zapewnić, że nie zrobiłem nic, żeby cię skrzywdzić. Nie chciałem ci zaszkodzić. Nie chciałem cię do niczego wykorzystać, nic nie knułem. Wierz mi, chciałem tylko zaoszczędzić dziadkowi, prawdę mówiąc sobie też, nowych przykrości. Poważnych przykrości.

Pokręciła bezradnie głową i odsunęła się od niego.

- Co to jest? Dlaczego nikt w tym mieście nie potrafi odpowiedzieć wprost? Dlaczego wszyscy bez przerwy kluczą, kłamią, kręcą... Dlaczego? Możesz mi to wytłumaczyć?

Drew otworzył usta, jakby chciał spełnić jej prośbę, ale nie mógł znaleźć odpowiednich słów. Cokolwiek by powiedział, wyjdzie na idiotę. Każde wyjaśnienie okaże się niewiarygodne w sytuacji, do której sam doprowadził. Wszystko tylko pogorszy sytuację.

- Kiedy pani Wanda zadzwoniła do mnie - zaczął, nie mogąc dłużej milczeć - i powiedziała, że Emma była w bibliotece i szukała tego artykułu, zrozumiałem, iż zaczęłaś się tym interesować. Pomyślałem, że i tak dotrzesz do tych materiałów, zaczniesz czytać między wierszami, aż się dokopiesz do szczegółów kampanii wyborczej, w której uczestniczył mój ojciec. Kiedy Wanda powiedziała, że artykuł gdzieś się zapodział, poczułem ulgę.

Sydney nadal wpatrywała się w niego kamiennym wzrokiem.

- Tylko kilka osób wie o tym, co wyczyniał mój ojciec przed wyborami. Chciał wygrać za wszelką cenę. Trzeba przyznać, że nie przebierał w środkach. Nie byłem pewien, czy zniszczyłem

wszystkie dowody; bałem się, że zostało coś, co dla dziennikarza może się stać bardzo smakowitym kąskiem. Artykuł Buddy'ego mógł podziałać na ciebie jak czerwona płachta na byka. Ojciec był wielkim spryciarzem, ale pod koniec kampanii kompletnie się zagubił. Przestał działać racjonalnie. Sporządził długą listę nie istniejących wyborców, takich martwych dusz, żeby zwiększyć swoje szanse w wyborach. Nic mu to nie pomogło. Dopiero po jego śmierci zorientowałem się, jak bardzo chciał wygrać. Zwyciężyć Jamesa stało się jego obsesją. Żeby to osiągnąć, był gotów na wszystko, nawet na te nieszczęsne martwe dusze. Gdyby się nie wycofał, może nawet by i zwyciężył głosami nieboszczyków...

Przypomniała sobie, że już gdzieś o czymś podobnym czytała. Było coś takiego w początkach politycznej kariery Lyndona B. Johnsona, w teksańskich czasach, zanim jeszcze został wiceprezydentem. Westchnęła.

- Twój ojciec wycofał się dlatego, że dowiedziałeś się o listach martwych dusz? Dlatego nie chciałeś, żebym przeczytała tamten artykuł?

- Ojciec wycofał się, bo James odkrył wszystko i posłał do niego Johna Lakera, żeby go zmusił do rezygnacji. Myślę, że Buddy już wtedy musiał o wszystkim wiedzieć. Właśnie o to pokłócił się z moim ojcem tego samego dnia, kiedy ojciec zginął. Za wszelką cenę próbowałem dociec, czego się dowiedziałeś o przebiegu tej kampanii i czy masz zamiar to wykorzystać w artykule o Jamesie.

Drew podniósł głowę i zapatrzył się w gwiazdy. Wiedział, że teraz musi już wyznać wszystko.

- Ojciec, obsesyjnie pragnąc zwyciężyć w wyborach Jamesa, nie wahał się zaryzykować majątkiem należącym do rodziny. Sięgnął do kapitału będącego własnością firmy. Moi dziadkowie nie dość, że musieli przeżyć rozczarowanie związane z przebiegiem kampanii, to na dodatek dowiedzieli się, że syn czerpał na nią środki z funduszy do niego nie należących. Nie wiedzieli tylko o tej całej aferze z martwymi duszami. Wiadomość, że jego syn jest oszustem, o mało Claya nie zabiła. Nie mógł pogodzić się z faktem, że syn zaryzykował wszystko, co on zdobywał ciężką pracą przez całe życie. Był wściekły na mojego ojca, a John, nieodłączny cień Jamesa, dolewał tylko oliwy do ognia. Dziadek nigdy nie przebierał w słowach i zawsze walił wszystko prosto z mostu. Zrobił ojcu potworną awanturę, a ojciec nie pozostał mu dłużny. W końcu ojciec wycofał się z przedwyborczej walki i zaczął pić. Kiedy James ostatecznie wygrał, Clay dowiedział się o skandalu z martwymi duszami.

Drew wyprostował się i kurczowo chwycił kierownicę.

- Tego właśnie dnia ojciec miał wypadek samochodowy, w którym zginął.

- Samobójstwo?

- Nie wiem. Nikt nie wie. I tak już zostanie. - Spojrzał na nią. - Sama widzisz, Sydney...

Musiałem się dowiedzieć, co wiesz i co zamierzasz ze swoją wiedzą zrobić. Mój dziadek ma dziewięćdziesiąt trzy lata, babcia dziewięćdziesiąt. Dość już przeżyli. Chciałem im oszczędzić cierpienia.

- Powiedz mi tylko jedno. Dlaczego sądziłeś, że wykorzystam te informacje? Przecież nie mam powodów, żeby krzywdzić twoją rodzinę.

- Jesteś dziennikarką.

- Rozumiem. Wszyscy dziennikarze są tacy sami, prawda?

- Tak uczy doświadczenie.

- Doświadczenie! Jakie ty możesz mieć doświadczenie?! Znasz jakiegoś dziennikarzyne z małego miasteczka, który przypadkiem nie lubi rodziny Wallace'ów! - zawołała i złożyła ręce jak do modlitwy. - Panie Boże, zbaw nas od głupców i idiotów!

- Posłuchaj - odparł. - W naszym dwuosobowym zespole moja żona wykańczała zwykle programy pod względem graficznym. Ja dostarczałem pomysłów, pisałem projekty, robiłem plan i całą resztę. Kiedy mnie rzuciła, zabrała ze sobą mój ostatni program i sprzedała jako swój. Gdy pozwałem ją do sądu, zwróciła się do gazet. Prasa całej Kalifornii zajęła się tą sprawą. Byłem pośmiewiskiem w ciągu całego procesu.

Dziennikarz powinien być obiektywny, bezstronny, działać w imię prawdy - tak brzmiała pierwsza zasada Sydney. Kierowała się nią przez całe swoje zawodowe życie. Mimo to, wbrew samej sobie, czuła, że to Drew ma rację, nie ona. Przez wiele lat obserwowała zmiany zachodzące w kolegach dziennikarzach. Nikt albo prawie nikt nie grał czysto. Działali jak gangsterzy, posuwali się do wszystkiego. Jak piranie obgryzali „temat” do samej kości. Mieli mentalność sklepikarzy i nieograniczone możliwości. Zadumała się. Nie mogła ich bronić, ale jemu nie chciała przyznać racji.

- Dlatego uważasz, że możesz potępiać wszystkich dziennikarzy bez wyjątku?

- Tak... Chyba tak.

Wziął ją za rękę i ze zdziwieniem spostrzegł, że nie protestuje.

- Posłuchaj. Wprowadziłem cię w błąd, kręciłem i starałem się dowiedzieć o tobie jak najwięcej z pewnego konkretnego powodu.

Jego ręka była ciepła, budziła zaufanie. Ręka człowieka, który nie boi się fizycznej pracy, pomyślała. Jest jeszcze czas, żeby odejść, uciec z tej polany pod baldachimem gwiazd, nie słuchać, co Drew zamierza teraz powiedzieć. Można też zostać i wysłuchać go do końca.

- Z jakiego powodu? - zapytała.

- Kiedy opowiedziałem Clayowi i babci o twojej przygodzie z Andrew, Clay powiedział, że chciałby cię poznać.

Poczuła nieprzyjemny ucisk w żołądku. Zdenerwowanie, podniecenie, ból. Postanowiła jednak stawić czoło nieoczekiwanej propozycji.

- Z przyjemnością poznam twoich dziadków. Kiedy? Jutro?

- Moglibyśmy pojechać do nich teraz.

Nie dał jej ani chwili na odpowiedź. Po prostu włączył silnik i nagłym zwrotem wyprowadził samochód na wąską drogę.

Sydney zapatrzyła się w ciemność nad światłami reflektorów, na mijane w pędzie wysmukłe cienie drzew. Wydawało jej się, że gdzieś w ciemnościach dostrzega oczy dzikich zwierząt. Zadrzała. Gdzie się podziała cała jej odwaga? Sydney, kobieta o stalowych nerwach! Czuła się jak nastolatka, mająca po raz pierwszy ujrzeć rodziców swojego chłopaka. Niepewna i nieśmiała. Ciekawe, czy spodoba im się, czy chociaż trochę ją polubią?

Drew wyczuł jej zdenerwowanie i uśmiechnął się do siebie. Dobry znak, pomyślał.

- Jeszcze mi dokładnie nie powiedziałaś, co było w tym artykule Buddy'ego Hiltona.

- Wszystko o mojej rodzinie. I o Fowlerach.

Jego lakoniczność była irytująca.

- To wiem, ale co takiego konkretnie napisał?

- Poczekaj chwilę. Clay zaraz ci wszystko opowie.

- Chyba nie mam innego wyjścia.

- Chyba nie.

Jechali dalej, każde pograżone w swoich myślach. Sydney zdawała sobie sprawę z tego, że w historii opowiedzianej przez Drew jest mnóstwo białych plam. Można się zagubić. Postanowiła jednak cierpliwie poczekać na dalszy rozwój wypadków.

Tuż przed samym wjazdem do miasteczka Drew skręcił w długą aleję wysadzaną drzewami. Sydney nagle się uspokoiła. Myśl, że może wreszcie dowie się czegoś o swoim tajemniczym wybawcy, sprawiła, iż poczuła ulgę. Nareszcie okaże się, o co w tym wszystkim chodzi.

Dom był oświetlony tak rzęsiście, jak Biały Dom w dzień próbnego ataku atomowego. Spodziewała się czegoś w rodzaju Rosehill, wielkiej, białej siedziby w kolonialnym stylu, a tymczasem zobaczyła nowoczesny, przestronny budynek o szerokich oknach i czerwonym dachu. Bardzo ciekawe rozwiązanie architektoniczne, pomyślała. Wnętrze zapowiadało się równie interesująco.

Nogi miała spuchnięte i wkładanie butów zabrało jej trochę czasu. Drew wysiadł, obszedł maskę, otworzył przed nią drzwi i czekał.

- Nareszcie przyjechałeś, dzięki Bogu - dobiegł ich kobiecy głos od strony domu. Zwrócili ku niemu głowy. W smudze światła stała drobna, kobieca postać. - Twój dziadek po prostu szaleje. Od dwóch godzin krąży po domu jak niedźwiedź w klatce. Wiesz, jaki on jest.

Kobieta się roześmiała. Drew spojrzał na babcie i odpowiedział jej uśmiechem. W jego spojrzeniu było tyle czułości, że Sydney przez chwilę poczuła się intruzem.

Zawahała się, ale Drew podał jej rękę i pomógł wysiąść z samochodu.

- Babciu, to jest Sydney Tanner. Sydney, to moja babcia, Rosa.

Poczuła na sobie baczne spojrzenie ciemnych oczu i zmieszało ją to. Musi strasznie wyglądać w tej śmiesznej sukience sprzed lat. Z niemałym wysiłkiem przywołała się do porządku. Przecież to ona, Sydney Tanner, ta sama, która bez mrugnięcia okiem mężnie znosi świdrujące spojrzenia agentów FBI i ciężki wzrok generałów. Wyprostowała się i poczuła, że po prostu odwzajemnia serdeczny uśmiech starszej pani. Rosa Wallace ubrana była w ciemne spodnie i jedwabną bluzkę. Sydney pomyślała, że jeśli będzie jej dane doczekać dziewięćdziesiątki, tak właśnie zamierza się nosić i tak właśnie wyglądać. Włosy starszej pani zebrane były w mały koczek nad karkiem, szyję ozdobił indiański, turkusowy naszyjnik. Kiedy się do siebie zbliżyły, Sydney spostrzegła, że są dokładnie tego samego wzrostu.

- Pewnie jesteś zła na Drew, że ciągnął cię tu po nocy - powiedziała Rosa porozumiewawczym tonem. - Ale musisz mu wybaczyć, to wszystko wina Claya. Strasznie się upierał, żeby z tobą porozmawiać. Chce się dowiedzieć wszystkiego o tym wypadku przy Piney Creek Road.

Otoczyła Sydney ramieniem i poprowadziła w stronę szeroko otwartych drzwi.

Sydney ze zdenerwowania nie mogła wydusić słowa. Myśl, że niedługo ktoś, być może, wyjaśni tajemnicę, zaprzatającą wszystkie jej myśli przez ostatnie dni, wprawiała ją w niezwykle podniecenie. Pragnęła tego i bardzo się bała. Szła przed siebie, ciekawie się rozglądając. Również tym razem jej przewidywania okazały się mylne. Zamiast nowoczesnego, anonimowego wnętrza zobaczyła wysokie, belkowane sklepienia, parkiet na podłodze, wygodne stylowe meble. Przez okna w suficie widać było pokryte gwiazdami niebo. Kiedy wreszcie dotarli do miejsca przeznaczenia, zatrzymała się w progu zdumiona. Miała przed sobą prawdziwy zimowy ogród, wielką szklaną oranżerię, pełną rozmaitych gatunków roślin. Wśród kwiatów i bluszczy stała wygodna, szeroka kanapa, fotele, kilka niewielkich stolików. Na kanapie siedział starszy pan z usztywnioną nogą, niecierpliwie stukający laską w podłogę.

Sydney poczuła na sobie przenikliwe spojrzenie zielonych oczu. Zupełnie jak Drew i... Andrew, pomyślała.

- Siadaj - rozkazał Clay, laską wskazując krzesło.

- Chyba musisz spuścić z tonu, Clay - powiedziała porozumiewawczym tonem Rosa. - Nie sądzę, żeby z Sydney poszło ci tak łatwo.

Clay wyduł usta i unosząc brwi, spojrzał na Sydney. Dzielnie wytrzymała jego spojrzenie.

- Czy powie mi pan, kim był mężczyzna, który uratował mnie tamtej nocy?

Siwe, krzaczaste brwi starca podjechały do góry. Przypominały dwie ogromne gaśienice.

- Jak to, Drew? - Pytającym spojrzeniem obrzucił wnuka. - Przecież mi powiedziałeś...

- Sydney jest przekonana, że wiemy, kto udawał Andrew - wyjaśnił Drew.

- Poczekaj. - Sydney wycelowała oskarżycielsko palec w jego stronę. - Powiedziałeś mi, że twój dziadek wie, kto to był.

- Nie, ty to tak zrozumiałaś, a ja nie starałem się wyprowadzić cię z błędu.

Umilkła i dokładnie przyjrzała się obecnym. W końcu opadła na najbliższy fotel.

- Dobrze, o co w takim razie chodzi? Clay z uśmiechem wziął ją za rękę.

- Czy będziesz tak dobra dla starego człowieka i najpierw opowiesz mu wszystko, co ci się przydarzyło w czasie tamtej burzy? - A widząc głębokie rozczarowanie malujące się na jej twarzy, dodał: - Przrzekam, że odpowiem ci na wszystkie pytania.

Sydney spojrzała w jego nagle posmutniałe oczy i dostrzegła pulsującą na skroni żyłkę. Ręka Claya była wilgotna i ciepła. Musiał być strasznie zdenerwowany. Dlaczego? Czym się tak przejmuje? Kiedy Rosa i Drew usiedli, zaczęła kolejny raz z rzędu opowiadać, jak burza zatrzymała ją na drodze. Clay natychmiast jej przerwał.

- Nie, zacznij od samego początku, od tego, co było przed wypadkiem. Dlaczego przyjechałaś do Wallace? Bardzo cię proszę, opowiedz wszystko po kolei. O niczym nie zapomnij.

Na ogół nie pozwalała sobą komenderować, ale w głosie Claya wyczuła rozpacz. Widać było, że starszy pan przywiązuje do wydarzeń tamtej nocy wielką wagę. Spojrzała na Rosę: na jej twarzy malowało się podobne napięcie. Przeniosła wzrok na Drew: reagował tak samo. Podjęła opowieść, starając się nie opuścić żadnego szczegółu. Podniecenie audytorium udzieliło jej się i mówiła, starając się opanować wewnętrzne drżenie.

Zaczęła od swojej pracy w redakcji „Washington Post”.

- Wnuk państwa wyraźnie nie przepada za dziennikarzami. Ma jakieś uprzedzenia. Ani razu nie odpowiedział wprost na żadne moje pytanie. Jeśli wszystko państwu opowiem, potem zrobicie to samo?

Clay parsknął gniewnie.

- Jestem za stary, żeby się przejmować, co o mnie napiszesz albo nie napiszesz. Jest mi obojętne, czy będziesz pisać o mojej rodzinie, czy nie.

W jego oczach dostrzegła błyski świadczące o tym, że starszy pan nie jest znowu tak bardzo zagniewany.

Podjęła opowieść. Dotarła do momentu, kiedy niespodziewanie dla siebie samej zatrzymała się nagle na stacji benzynowej, żeby zapytać o drogę.

Clay wyczuł jej wahanie.

- Dlaczego tak cię dziwi fakt, że zatrzymałaś się, żeby zapytać o drogę?

- Wie pan, ja...

- Na imię mam Clay.

- Clay, ja mam świetną orientację w terenie. Nigdy w życiu nie zabłądziłam, nigdy nikogo nie musiałam pytać o drogę, a tu nagle, nie wiadomo dlaczego, przystanęłam na pierwszej lepszej stacji benzynowej, żeby się radzić, jak jechać. Zawsze, jak ognia, unikam wszelkich skrótów.

- Ale tym razem pojechałaś skrótami?

- Tak.

Nie spostrzegła, kiedy Rosa podała kawę. Teraz w zamyśleniu wzięła filiżankę i upiła łyk. Sama sobie nie potrafiła odpowiedzieć na pytanie, dlaczego wtedy pojechała skróconą drogą.

- Co było dalej? - zapytał Drew.

Dziadek spojrzał na niego gniewnie i Drew zamilkł.

- Wybuchła potworna burza. Nagle, nie wiadomo skąd, nadszedł huragan i znalazłam się w samym jego środku.

- Bardzo się bałaś? - zapytała Rosa.

- Zwykle nie boję się burzy. Tym razem stało się inaczej... To było koszmarnie. Nie potrafię powiedzieć, jak strasznie się bałam.

Wszystkie głowy skierowały się w jej stronę, jak gdyby słuchacze nie chcieli uronić ani jednego słowa. Sydney mówiła wolno, nie pomijając drobiazgów. Kiedy doszła do momentu, gdy pojawił się Andrew Joshua, napięcie jeszcze wzrosło. Sydney, która spodziewała się uśmiechów i ironicznych komentarzy, mówiła dalej w kompletnej ciszy.

Była zdumiona ilością drobnych faktów, które zapamiętała. Odnosiła wrażenie, jakby obrazy nagle powróciły i odczytywała teraz ich znaczenie, czując, że niosą ze sobą coś więcej niż kształty i kolory. Powiedziała już wszystko, wszystko prócz słów, jakie Andrew Joshua wypowiedział na pożegnanie. Zrobiła to podświadomie, jakby chciała zachować coś tylko dla siebie.

Umilkła i rozluźniła się. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak bardzo była spięta. Nikt się nie odzywał. Drew siedział z pochyloną głową, jakby liczył klepki parkietu, i nie mogła dostrzec wyrazu jego twarzy. Rosa z lękiem spoglądała na męża. Clay... Clay z poblądłą twarzą i trzęsącą się

głową wpatrywał się w Sydney. W jego oczach dostrzegła radość.

Napięcie rosło. Sydney poczuła ogarniające ją zniechęcenie. Czowała się oszukana. Po tym, co powiedział jej Drew, albo w co pozwolił jej uwierzyć, spodziewała się czegoś więcej. Oczekiwała rozwiązania zagadki, a tymczasem gra toczyła się dalej. Wstała, żeby wyjść, ale Clay powstrzymał ją ruchem ręki. Sięgnął do szufladki stolika i wyjął niewielki portret w ozdobnej ramce.

- Czy to ten mężczyzna ci pomógł? - zapytał, podając jej zdjęcie.

Wyciągnęła rękę i prawie w tej samej chwili ją cofnęła. Poczowała suchość w ustach i szybkie uderzenia serca. Chciała spojrzeć, ale czuła, że jeśli to zrobi, wszystko się zmieni i nic w jej życiu nie będzie już takie jak dawniej... Ciekawość i chęć poznania prawdy, choćby za wszelką cenę, były jednak silniejsze. Ujęła drewnianą ramkę, zawahała się na ułamek sekundy i spojrzała na fotografię. Na starym, wyblakłym zdjęciu koloru sepia widać było siedzącego na krześle mężczyznę z rękami opartymi na kolanach. Poczowała znajomy dreszcz.

Nie miała wątpliwości. Te same ostre rysy, długie, ciemne włosy, szerokie ramiona, dołeczek w policzku. Sztywna konwencja ówczesnej sztuki fotografowania nie była w stanie zatrzeć uśmiechu, który próbował opanować. Przeniosła wzrok na Drew, który tymczasem przysiadł na oparciu jej fotela, a potem znowu spojrzała na zdjęcie. To imię bardzo do nich pasowało, byli do siebie bardzo podobni. Równie dobrze mogła uwierzyć, że to Andrew Joshua, co uznać, że zdjęcie przedstawia Drew w stroju sprzed lat.

Clay musiał wyczuć jej niezdecydowanie i, jakby czytał w myślach Sydney, podał jej drugie zdjęcie.

- To zrobiono tego samego dnia.

Instynkt ostrzegł ją, żeby nie robiła następnego głupstwa. Jeszcze nie było za późno. Wstań i uciekaj stąd! - krzyczał w niej jakiś głos. Nie posłuchała. Poczowała w dłoni drewno oprawki i spojrzała na zdjęcie. Andrew Joshua siedział na tym samym krześle, ale tym razem nie był sam. Nieco z tyłu, z ręką wspartą o jego ramię, stała niezwykle piękna kobieta.

- Widziałam ją na portrecie w tamtym domku w lesie. Taki sam wisi w salonie senatora Fowlera.

Siwe krzaczaste brwi Claya znowu powędrowały w górę.

- To moja matka. Mary Clayton-Wallace. Ten mężczyzna jest moim ojcem. To Andrew Joshua Wallace.

- Mam nadzieję - zaczęła drżącym głosem - że nie zechcesz mi wmawiać, iż to ten sam Andrew Joshua, który uratował mi życie?

Pytanie skierowane było do Claya, ale mówiąc, nie spuszczała wzroku z Drew.

I on na nie odpowiedział.

- Obawiam się, że dziadek to właśnie chce ci powiedzieć, Sydney.

- A ty w to wierzysz?

- Oczywiście. Dlaczego nie? Na tym świecie dzieją się dziwniejsze rzeczy. Zwłaszcza w tej części świata. Musisz się nauczyć z tym żyć.

- To znaczy, że ty... - Głos odmawiał jej posłuszeństwa. - Ty... chcesz powiedzieć, że zostałam uratowana przez... przez...

- Ducha. Bardzo mi przykro, Sydney.

Przeniosła wzrok na Claya.

- Ty też w to wierzysz?

Clay spjrzał znacząco na Rosę. Wstała i po chwili wróciła, niosąc dwa pudełka.

- Niewiele mamy pamiątek po rodzicach Claya.

Z jednego pudełka wyjęła suknię z wyblakłego, błękitnego jedwabiu, z dużym kołnierzem z poźółkłej koronki. Starannie rozłożyła ją i wygładziła.

Sydney nie mogła oderwać wzroku od sukni. To ten odcień błękitu sprawiał, że oczy Mary wydawały się jeszcze bardziej szmaragdowe, a jasne włosy - złociste. Z żalem patrzyła, jak Rosa uważnie składa suknię, chowa ją do pudełka i zaczyna otwierać drugie.

Sydney na chwilę wstrzymała oddech i siłą powstrzymała się, żeby nie krzyknąć. Z pudełka, powoli jak we śnie, zaczęła wydobywać się haftowana złotem materia. Leśne sceny, rośliny, zwierzęta, bogaty, kolorowy ornament... Przytuliła rozpaloną twarz do delikatnej tkaniny, kryjąc łzy napływające do oczu.

- Otulił mnie tą narzutą, kiedy było mi zimno. Bardzo się bał, że jestem ciężko ranna i coś mi się stanie. Ten zapach... - Jeszcze raz spojrzęła na fotografię. - Przykrył mnie, żeby mi było ciepło. Czułam się tak bezpiecznie.

- Tę narzutę matka sama haftowała. Stanowiła część jej wyprawy.

Sydney potrząsnęła głową. Gdzie się podział rozsądek? Zdrowe zmysły? Nigdy nie wierzyła w duchy, zwłaszcza duchy ratujące zwykłych śmiertelników od grożącego im niebezpieczeństwa. Wysłuchiwała wszystkiego, widzi, jak wszyscy są przejęci, a teraz trzeba się z tego wyzwolić. Nie chce słyszeć ani słowa więcej o Andrew Joshui ani o innych duchach.

- On nie mógł jej zabić...

Clay uśmiechnął się. Po raz pierwszy w ciągu całego wieczoru jego twarz złagodniała.

- Oczywiście, że nie. Bardzo ją kochał. Wyczułaś to, prawda? Rosa i Drew zgadzają się ze mną, ale myślę, że robią to, ponieważ ja w to wierzę. Ale ty go widziałaś, rozmawiałaś z nim, ty wiesz, jaki był.

- Chwileczkę. - Sydney obronnym ruchem uniosła rękę. - Nie zgadzam się, nie mogę się zgodzić, nie mogę uznać, że widziałam ducha.

Zanim zamknęła usta, przeszła ją pewna myśl, tak natarczywa, że nie można jej było przegnać ani zlekceważyć.

Clay nagle spoważniał.

- Jest jeszcze coś?

Dlaczego chwyciła Drew za rękę? Puściła ją i spojrzęła na niego z urazą, jakby to, co zaraz miała powiedzieć, było jego winą.

- Powiedz Clayowi wszystko - poprosił Drew. Byli najbardziej upartymi ludźmi, jakich w życiu widziała.

- Kiedy zostawił mnie na drodze... kiedy mnie zszedł z konia, powiedział; „Powiedz im, że znalazłem Mary”.

Clay zbladł tak gwałtownie, że się przestraszyła. Krew odpłynęła mu z twarzy, pomarszczone powieki przykryły oczy, głowa opadła na oparcie fotela. Wszyscy zerwali się z miejsc, ale Sydney była najszybsza. Rozpięła mu koszulę pod szyją, ujęła za puls. Oczy starca z wolna się otworzyły; był w nich radosny szmaragdowy blask.

- Rosa cię zabije, jeśli mi będziesz dalej rozpinąć koszulę, młoda damo. - W jego głosie brzmiał tłumiony śmiech.

- Jeśli jeszcze kiedykolwiek powtórzysz taką sztuczkę, po prostu od ciebie odejdę.

Clay pogładził rękę żony i zerknął na wnuka.

- No, Drew, nie krępuj się, teraz twoja kolej.

- Chciałbym ci tylko przypomnieć, że te twoje numery mogą ci kiedyś zaszkodzić, drogi dziadku.

Clay powiódł dokoła zwycięskim wzrokiem.

- Słyszeliście? Andrew Joshua odnalazł Mary.

Sydney usiadła na podłodze i ciężko westchnęła.

- Czy ktoś łaskawie powie mi, o co chodzi?

Clay wyciągnął ku niej dłonie i pomógł wstać. Usadowił na poduszce obok siebie. Drew natychmiast usiadł przy niej. Clay poprawił się na kanapie i obrzucił wzrokiem wnuka. Sydney miała wrażenie, że obaj bez przerwy jakoś się porozumiewają, mimo nieustannych słownych utarczek.

Rosa zajęła fotel opuszczony przez Sydney.

- Kochanie, opowiedz jej wszystko od samego początku - zwróciła się do męża. - Musi wiedzieć wszystko.

Clay z powagą skinął głową.

- Masz rację. Musi wiedzieć wszystko. Ujął rękę Sydney i poklepał ją.

- Musisz wiedzieć wszystko od samego początku, to znaczy od chwili, kiedy nasza rodzina przybyła do Teksasu. Cała historia zaczyna się właśnie wtedy.

- Był rok dwudziesty dziewiąty... - zaczęła Rosa.

- Tysiąc osiemset dwudziesty dziewiąty - poprawił ją Clay. - Właśnie wtedy moja rodzina z całym dobytkiem przeniosła się tutaj z Wirginii. Byli tam moi dziadkowie, ich siedmiu braci i cztery siostry z rodzinami. Każdy wybrał sobie kawał ziemi i zaczął na nim pracować. Były to ciężkie, ale dobre czasy. Nie trzeba było mieć dużo pieniędzy, żeby stać się dobrym farmerem. Ale wkrótce wszystko się zmieniło. Meksykański generał zapragnął odebrać im ziemię. Po dotkliwej klęsce pod Alamo nasza armia zwyciężyła meksykańską pod San Jacinto i mężczyźni wrócili do domu. Zdarzyło się to w roku tysiąc osiemset trzydziestym szóstym. Wtedy właśnie Wallace'owie założyli to miasteczko. Byli wierni Teksasowi i nigdy...

- Kochanie, Sydney chce usłyszeć wszystko, co dotyczy Andrew Joshua. Opowiedz o jego matce - wtrąciła Rosa w obawie, że Clay gotów opowiedzieć teraz całą historię Stanów Zjednoczonych Ameryki. Mąż, o dziwo, posłuchał jej rady.

- Andrew Joshua był, jak to się mówi, późnym dzieckiem. Jego ojciec, stary Benjamin Travis Wallace, miał siedemdziesiąt sześć lat. Kilka razy owdowiał i w końcu wziął sobie za żonę

dziewczynę z plemienia Komanczów. Wkrótce urodził im się syn. A zatem Andrew miał sporo o wiele starszego od siebie przyrodniego rodzeństwa i wujków oraz ciotki w swoim wieku, z którymi mógł się bawić. Żyli sobie szczęśliwie, nikt mu specjalnie nie wymawiał indiańskich paranteli i było tak do czasu, kiedy stary Benjamin Travis w tysiąc osiemset osiemdziesiątym wyzionął ducha i zostawił swoją żonę Sally Ann i syna samych.

- Kochanie, trochę się pospieszyłeś. Zapomniałeś powiedzieć, że w międzyczasie zjawili się Claytonowie i Darcy - delikatnie przypomniawszy Rosa.

- Było to około tysiąc osiemset pięćdziesiątego roku. Obie rodziny były bardzo zaprzyjaźnione. Pochodzili od jakiegoś francuskiego króla, przynajmniej tak mówili. Przyjechali z Nowego Orleanu, kiedy plantacje bawełny przestały przynosić korzyści. Podobnie było z Fowlerami. Stary Jacob Fowler pochodził z Luizjany, był znanym prawnikiem, szybko urządził się w Teksasie. W krótkim czasie został sędzią. Jego syn, Darcy Fowler, poszedł w ślady ojca. Był prawnikiem, udzielał się politycznie. Ci cholerni Fowlerowie...

- Do rzeczy, dziadku - upomniał go Drew.

Clay powiódł wzrokiem po obecnych i mówił dalej:

- Nietrudno się domyśleć, że między tymi wszystkimi rodzinami bywały nieporozumienia. Zdarzały się też małżeństwa. Samuel Clayton i Sara Elizabeth Darcy pobrali się i przyszła na świat Mary. Obie rodziny były bardzo bogate, jak to plantatorzy z Luizjany, prawdziwie arystokratyczne rody. Stare, dobre pieniądze, tradycja. Fowlerowie w porównaniu z nimi byli niczym. Jacob Fowler ożenił się z Elizabeth, siostrą Sary Darcy-Clayton.

- Clay... - przerwała mu ostrzegawczo Rosa.

- Dobrze, już dobrze. Sydney musi znać te wszystkie subtelnosci. Musi zrozumieć, dlaczego Claytonowie i Fowlerowie nienawidzili Wallace'ów.

Drew poruszył się niecierpliwie.

- Zaraz kończę. Jak widzisz. Mary Clayton i Darcy Fowler byli spokrewnieni. - Spojrzał na Sydney. - Rozumiesz coś z tego?

- Jak najbardziej.

- Dzielna dziewczyna. Od razu, jak na ciebie spojrzałem po raz pierwszy, pomyślałem sobie, że masz głowę na karku. Około dziewięćdziesiątego ósmego roku wszyscy troje byli bardzo młodzi: Andrew, Mary i Darcy. Przyjaźnili się, mimo że z rodzinami bywało różnie. Wszystko szło dobrze do chwili, kiedy Mary oświadczyła swoim rodzicom, że zamierza się wydać za Andrew Joshuę. Musisz wiedzieć, że pokrewieństwo Wallace'ów z Komańczami nie było zbyt dobrze widziane. Teksas pozostawał dzikim krajem. Samuel Clayton stracił w walkach z Indianami trzech synów, zabili mu żonę i dwóch wnuków. Fowlerowie niczego nie stracili, bo zwykle siedzieli w stolicy i przemawiali.

- Clay, przestań...

- Jak ci się nie podoba mój sposób opowiadania - Clay surowo spojrzał na wnuka - to może sam spróbujesz.

- Nie, dziękuję.

- W takim razie bądź łaskaw się nie odzywać.

- Tak jest.

Clay niestrudzenie podjął swój wywód.

- Ojciec Mary wściekł się. Nigdy dotąd nie wypowiedział się publicznie na temat pochodzenia jej wybrańca, ale wszyscy wiedzieli, co sobie pomyślał. Jakoś nawet można to zrozumieć. Każdego by trafił szlag, gdyby się dowiedział, że córka zamierza się wydać za kogoś, kto jest jakoś związany ze sprawcami śmierci jego żony i synów.

Zniecierpliwienie Rosy i wnuka nie wyprowadziło go z równowagi. Był zdecydowany opatrzyć fakty własnymi komentarzami.

- Trzeba ci wiedzieć, że Darcy Fowler namiętnie kochał Mary. Od lat zabiegał o jej względy i rywalizował z Andrew. Do ostrego starcia doszło kiedyś na jarmarku. Darcy namówił Andrew do zawodów. Najpierw strzelali do celu ze strzelb myśliwskich, potem z pistoletów. Darcy wygrywał. Złotą monetę, którą przestrzelił, nosił potem zawieszoną na szyi i przy każdej okazji naśmiewał się z rywala.

- Clay, proszę, nie będziemy tu tak siedzieć całą noc.

- Czy wy naprawdę nie pozwolicie mi skończyć?

- Kochanie, jest strasznie późno. Jeśli się nie pospieszysz, będziemy tak siedzieć do rana.

Powiedz wreszcie Sydney, co stało się po ślubie.

- Samuel Clayton wydziedziczył Mary. Wcale się tym nie przejęła. Nie odeszła z domu z pustymi rękami, miała coś niecoś po matce. Kawalek ziemi, biżuterię.

Clay umilkł, a Rosa naląła mu kawy. Napił się i zamyślił.

Sydney również sięgnęła po filiżankę. Zrobiła to automatycznie; nie pragnęła żadnych nowych podniet. Była wystarczająco rozbudzona. Przecież jeszcze chwila i Clay opowie jej wszystko o Mary i Andrew.

- Andrew zbudował dla nich niewielki dom w najpiękniejszym miejscu w okolicy, niedaleko Piney Creek Road. Na ziemi, jaką Mary odziedziczyła po matce. Byli bardzo szczęśliwi. Nie przeszkadzało jej, że nie żyje w takich zbytkach jak dawniej. Z tego, co wiem, bardzo kochała męża. Ale Darcy Fowler nie zasypiał gruszek w popiele. Kiedy tylko Mary z mężem zjawiała się w mieście, próbował się z nią spotkać i porozmawiać. Nieraz dochodziło do awantur. Andrew był porywczy i nie zamierzał tolerować podobnego zachowania. Kiedy przyszedłem na świat, wszystko jakby trochę się uspokoiło. Darcy przestał prześladować Mary. Andrew był mniej zazdrosny.

Pewnego dnia, kiedy miałem dziesięć miesięcy, Andrew pojechał do sąsiedniego miasta po zakupy. Nie było go przez kilka dni. Tego wieczoru, kiedy wracał, wybuchła straszna burza. Wóz, którym jechał, stoczył się do rowu i rozbił w drzazgi. Było to w pobliżu Piney Creek Road.

Sydney czuła, że jeszcze chwila, a serce wyskoczy jej z piersi. Nie mogła uwierzyć w to, co słyszy, mimo że niemal wszystko widziała na własne oczy.

- Musiał wrócić do domu na piechotę. Kiedy dotarł, Darcy i szeryf już na niego czekali. Obok kominka i przy mojej kołysce zobaczył plamy krwi. Byłem zapłakany i brudny, Mary zniknęła. Nikt już jej nigdy nie zobaczył.

W umyśle Sydney zrodziło się straszne podejrzenie.

- Oskarżono go o to, że zabił żonę...

- Tak, oskarżono, osądzono i powieszono, wszystko w ciągu dwóch dni. Darcy Fowler wystąpił w roli prokuratora, Jacob Fowler był sędzią. Osadzili go, nie dając szans obrony, i podjudzili ludzi w miasteczku.

- Czy Andrew coś mówił na swoją obronę?

- Był załamany i zrozpaczony. Robił wrażenie człowieka, któremu jest wszystko jedno. Wiedział, że Mary nie żyje; jego indiańska krew mówiła mu, że nigdy jej nie zobaczy. Nie bronił się, a jego obrońca z urzędu, pijaczyna opłacony przez Samuela Claytona, nie zrobił nic, żeby mu pomóc.

- Przecież miał syna. Nie myślał o synu? Stary człowiek zwiesił głowę. Dopiero teraz dostrzegli, jak bardzo jest wyczerpany.

- W dniu, kiedy zapadł wyrok, Darcy wydał wielki bal. Pijany tłum wdarł się do celi, wyciągnął Andrew i powiesił go na dębie na placu miejskim.

Sydney uniosła się.

- Jak się to mogło zdarzyć? Gdzie wtedy była sprawiedliwość?

- Teksas to była dzika kraina. A zresztą sprawiedliwość spoczywała w rękach Fowlerów albo spokrewnionych z nimi ludzi. Szeryf Harper był ich powinowatym. Ludzie mówili, że kiedy nadciągał pijany tłum, zostawił klucze od aresztu na stole i poszedł do domu.

Sydney poczuła, jak ogarnia ją gniew. Przecież to jawna niesprawiedliwość! Skrzywdzono niewinnego człowieka. Wiedziała doskonale, że to nie Andrew zabił Mary. Była tego pewna. Nieważne, że jej pewność dotyczy spraw, które wydarzyły się wiele lat temu. Andrew tego nie zrobił. Był dobrym człowiekiem.

- Straszna tragedia, ale zastanawiam się, dlaczego, jeśli to naprawdę był ten sam Andrew Joshua, dlaczego ukazał się właśnie mnie? Oczywiście nie wierzę w duchy, ale...

Clay uśmiechnął się do niej, jakby była dla niego jedyną ważną osobą na świecie, i uroczyście ujął jej rękę.

- Dużo o tym myślałem. Jesteś dziennikarką i jak wiem od mojego wnuka, jesteś doskonałą dziennikarką. Po tym wszystkim, co ci się przydarzyło niedaleko Piney Creek Road, doszedłem do wniosku, że przyjechałaś tu po to, żeby zdjąć z Andrew to potworne oskarżenie. Oczyścić jego imię.

- Chyba żartujesz, nie rozśmieszaj mnie. Przecież to niepoważne. Przyjechałam tu, żeby napisać artykuł o senatorze Powierzę, a nie po to, żeby uganiać się za duchami.

Sydney miała nerwy napięte do ostateczności. Poczwała, że musi natychmiast opuścić ten dom. Wstała.

- Na mnie już czas, zrobiło się późno. Clay również wstał.

- Bardzo cię przepraszam, trochę to za gwałtownie powiedziałem. Byłem zbyt bezpośredni, wybac mi. Usiądź jeszcze na chwilę i wysłuchaj mnie. To nie potrwa długo. Zostań, bardzo proszę.

Nie wyglądał na kogoś, kto często o coś prosi.

- Bardzo mi przykro, ale nie mam czasu.

- To tylko pięć minut.

Sydney spojrzała na Drew. Wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: rób, jak uważasz. Usiadła, zdecydowana wysłuchać dalszego ciągu. Dręczyły ją pewne podejrzenia i postanowiła zapytać wprost. Spojrzała na Claya.

- Czy kiedykolwiek widziałeś Andrew Joshuę? Czy ktoś oprócz mnie go widział?

- Nie. Nikomu nie pokazał się po śmierci.

- Ciekawe, dlaczego mi pomógł. Dlaczego pokazał się właśnie mnie i dlaczego ze mną rozmawiał?

- Chyba wiem. - W głosie Claya zabrzmiał smutek. - Sydney, ja się urodziłem w tym domku i miałem zaledwie dziesięć miesięcy, kiedy zamordowano moją matkę. Byłem przy tym. Prawdopodobnie widziałem mordercę. Samo to miejsce działa na mnie przynębiająco. Ale jestem pewien, że ojciec nie zabił matki. Ja to wiem. Ty go widziałaś i ty również wiesz, że on tego nie zrobił. Powiedział ci, że znalazł Mary, a skoro znalazł jej ciało, to musi ono być gdzieś niedaleko. Mimo poszukiwań nigdy go nie odnaleziono. A jego ostatnie słowa sadła mnie dowodem, że to naprawdę był Andrew Joshua.

Z trudem podniósł się z fotela, wziął przewiazaną sznurkiem paczkę i podał ją Sydney.

- Tu są dokumenty procesowe.

Drżącą ręką pogładził pudełko.

- Tu są wszystkie dokumenty. Są też rozmowy, jakie przeprowadziłem z ludźmi, którzy mogli cokolwiek wiedzieć na ten temat. Ze starymi ludźmi, którzy o całej sprawie słyszeli od swoich rodziców. Przejrzyj to, przesłuchaj, może wpadniesz na coś.

- Nie jestem prawnikiem. Nigdy nie prowadziłam żadnej takiej sprawy - powiedziała bezradnie, mając pewność, że go nie przekona. Clay był bardzo upartym staruszkiem. Wszyscy oni byli bardzo uparci.

- Jesteś dziennikarką, dobrą dziennikarką.

- Owszem, ale przecież dowiem się tylko tego, co już i tak wiem: że Andrew Joshua był niewinny, że skazano niewinnego człowieka za nie popełnioną zbrodnię. Ja to wiem, ale i tak nie będę miała żadnych szans przekonać o tym innych. Cóż można w tej sprawie teraz zrobić? Nic.

Nie zdawała sobie sprawy z tego, jak mocno trzyma paczkę. Poczwała to dopiero, kiedy Drew

spróbował wyjąć ją z jej rąk. W oczach Claya dostrzegła wielki ból. Stary człowiek cierpiał i wcale nie próbował tego ukryć. Zapatrzył się w przestrzeń, jakby wracał myślami do bardzo dawnych lat.

- Przez całe lata tam chodziłem, żeby znaleźć jakiś ślad. Godzinami siedziałem w tym domu. Nigdy niczego nie znalazłem, nie zobaczyłem, nie usłyszałem, ale to miejsce zawsze robiło na mnie wielkie wrażenie. Smutku, rozpacz... Wreszcie przestałem tam chodzić, to było zbyt ciężkie przeżycie. Teraz proszę cię tylko o jedno: przejrzyj te papiery. Jestem za blisko całej sprawy i coś mogłem przeoczyć. Może Andrew Joshua pomoże ci wpaść na jakiś ślad.

Gdyby dwa dni wcześniej ktoś jej powiedział, że wkrótce będzie polować na ducha, odesłałaby go do czubków. Ale na samą myśl o tym, że może jeszcze kiedyś spotkać Andrew Joshuę, poczuła dziwną radość.

Drew ujął ją pod ramię. Słyszała, jak żegna się z gospodarzami, półprzytomna wsiadła do samochodu i dopiero pod wpływem chłodnego powiewu wiatru poczuła, że wraca na ziemię.

- Czy ktoś z twojej rodziny wiedział, że zamierzam przyjechać do Wallace?

- Tak. Patrycja powiedziała o tym Steve'owi, a on zawiadomił Claya.

- Co to za ludzie?

- Patrycja jest właścicielką hotelu. Zarezerwowałaś u niej pokój.

- Ale ty nic nie wiedziałaś? Tylko Clay?

- Przysięgam.

- Kto to jest Steve?

- Tutejszy listonosz. Ale może mi powiesz, po co to całe śledztwo?

Stuknęła w trzymane na kolanach pudełko.

- Jeśli znajdę tu jakiś dowód na to, że Fowlerowie maczali palce w zabójstwie twojego pradziadka, to mogę bardzo zaszkodzić senatorowi.

- Czy ty zawsze jesteś taka piekielnie podejrzliwa? Nikomu nigdy nie wierzysz?

Dodał gazu, włączył radio i nastawił je na cały regulator. Righteous Brothers pełnym głosem zaśpiewali: „Straciłaś cudowne uczucie...”

- Nie chcę być pionkiem w waszych rodzinnych porachunkach. - Sydney starała się przekrzyczeć radio. - Dlatego uprzedzam cię. - Energicznie postukała w pudełko. - Nawet jeśli coś znajdę, nigdy nie wykorzystam tego przeciwko senatorowi. Nic z tego, co tu jest, nie znajdzie się w moim artykule.

Drew wyłączył radio i zahamował. Stali pod jego domem.

- Po co tu przyjechaliśmy?

Odwrócił się do niej.

- Przede wszystkim musisz wiedzieć, że nic, co dotyczy przeszłości, nie zaszkodzi obecnie senatorowi. Oczywiście, może go trochę speszyć, bo James często w życiu publicznym wykorzystuje nieskazitelny, tradycyjny obraz swojego rodu, ale nic więcej. - Uśmiechnął się. - A przyjechaliśmy tu dlatego, bo postanowiłem cię przekonać, że nikt z nas nie zamierza cię wykorzystać przeciwko Fowlerom. I że powinnaś mi ufać. Zamierzam ci to udowodnić.

Sydney wahała się chwilę. Trudno było zrozumieć, o co mu chodzi. Był zdenerwowany, ale uśmiechał się, jakby chciał załagodzić porywczosć tonu, którym wypowiedział te słowa. Właściwie

nic o nim nie wiem, pomyślała. Jest obcym człowiekiem, który zbliżył się do niej na podstawie jakichś zupełnie nieprawdopodobnych wydarzeń. Splotu wydarzeń, których wewnętrzna logika pozostawiała sporo do życzenia. Przynajmniej dla kogoś tak trzeźwego jak ona. Spojrzała w zielone oczy koloru szmaragdu i przestąpiła próg starego, mrocznego domu. Wallace'owie mieli jakiś dar przekonywania spojrzeniem. Przynajmniej kobiet.

- Proszę, wejdź.

Szła za nim, starając się dorównać mu kroku.

- Posłuchaj, Drew. - Było jej przykro, że zraniła go swoimi podejrzeniami. - Nie musisz mi niczego udowadniać. Nie chciałam zrobić ci przykrości, ale wszystko tak się dziwnie układa, że trochę się gubię. Przepraszam, że tak powiedziałam, naprawdę.

Szybkimi krokami przebywali ciemne, puste pokoje. Zapach kurzu i opuszczenia przypominał jej strach, jaki czuła, kiedy weszła tu po raz pierwszy.

- Przecież sam rozumiesz, Drew - mówiła dalej, starając się, by jej głos brzmiał normalnie, co wcale nie było łatwe, ponieważ oprócz strachu czuła jeszcze dodatkowy niepokój spowodowany jego bliskością. Idąc korytarzem, niemal ocierali się o siebie. - Musisz przyznać, że to dość nieoczekiwane: duch, który się ukazuje jako człowiek z krwi i kości. - Jej głos lekko zadrzał. Samo mówienie na ten temat w podobnych ciemnościach było ryzykowne. - Nigdy w życiu nawet nie słyszałam o czymś takim, żeby duch ratował człowiekowi życie.

- Skoro samo słowo „duch” tak cię razi, dlaczego nie mówisz o nim „istota z tamtego świata” albo „przybysz”?

- Może tak byłoby lepiej, ale też trochę dziwnie...

Jej oczy z wolna przyzwyczały się do ciemności.

Wiedziała już, gdzie się znajduje i kiedy poczuła znajomy chłód, wpadła w panikę.

- Dlaczego tu jest tak potwornie zimno?

Zobaczyła, że Drew podchodzi do ściany. Usłyszała dźwięk włączanej aparatury. Potem zapaliły się Jakieś światełka, a Drew wcisnął kilka przycisków. Rozległ się przenikliwy dźwięk dzwonka. Sydney podskoczyła.

- Co to takiego?

Chwyciła go za rękaw i zawstydzona natychmiast puściła.

Drew roześmiał się.

- Nigdy bym nie przypuszczał, że tak boisz się ciemności.

- To nie strasz mnie. Nie lubię tego, rozumiesz?

- Założę się, że w dzieciństwie sypiałas z zapaloną lampką przy łóżku.

- Nie. Ojciec nigdy by mi nie pozwolił. Powiedziałby, że zachowuję się jak... dziecko. Oczywiście, byłam dzieckiem, co wcale nie znaczy, że pozwalano mi nim być. Za to teraz sypiam sobie do woli przy zapalonym żyrandolu. Zapal światło, Drew! I to zaraz!

Drew spełnił jej prośbę. W pokoju zrobiło się jasno. Przez chwilę żałował, że nie wykorzystał ciemności.

- A co na to twoja matka? Co mówiła w sprawie nocnej lampki?

Sydney zadrzała z zimna. Obciągnęła na sobie sukienkę.

- Mama nie miała zwyczaju sprzeciwiać się ojcu.

Rozejrzała się. Oprócz pięknej, dębowej podłogi i szeregu komputerów wzdłuż ściany w pokoju nie było nic godnego uwagi.

- Dlaczego tu jest tak potwornie zimno?

Znowu zadrżała.

Drew zdjął płaszcz i narzucił jej na ramiona.

- Kiedy to wszystko zaczyna funkcjonować, temperatura bardzo szybko spada.

- Jestem potwornie zmęczona. To, co mi chcesz pokazać, może chyba poczekać do jutra.

- Nie.

Drew skończył manipulować elektronicznymi przyrządami.

- Wiesz, że nie mam zaufania do dziennikarzy, prawda?

- Tak.

Była u kresu wytrzymałości. Po raz kolejny tego dnia czuła, że zbliża się coś niezwykle ważnego.

- I wiesz, że nie mam zwyczaju wierzyć kobietom?

- Wiem.

- A ty nie ufasz ani mnie, ani nikomu z mojej rodziny, prawda?

- Tego nie powiedziałam.

Zobaczyła, że podchodzi do drzwi w ścianie. Kiedy je otworzył, ku swemu zdumieniu zobaczyła za nimi następne drzwi prowadzące do okazałych rozmiarów sejf. Musiało za nimi być coś, co Drew ukrywał przed całym światem. Coś bardzo ważnego albo bardzo kosztownego. Patrząc, jak za pomocą szyfru otwiera drzwi, pomyślała, że pewnie jedno i drugie.

Drew otworzył sejf, wszedł do środka i wyjął stolik. Było na nim przymocowane coś, co przypominało filmowy projektor wzbogacony o jakieś dziwne przyrządy. Właściwie powinna kazać mu przestać albo po prostu - wyjść z tego domu. Było oczywiste, że Drew próbuje zaskarbić sobie jej zaufanie, zdradzając jakąś tajemnicę. Nie lubiła tego. W swoim życiu zawodowym nieraz spotykała się z tego rodzaju próbami. Była na nie uodporniona. Nic nie wskazywało na to, że tym razem będzie inaczej. Ciekawość jednak zwyciężyła.

Drew nastawił urządzenie i wygasił lampy w rogu pokoju.

- Moje życie zależy od tego, co teraz zobaczysz, ale mam do ciebie zaufanie ci i dlatego pokażę ci swój wynalazek.

Zafascynowana śledziła jego ruchy. Włożył słuchawki na uszy, umocował przy ustach mikrofon. Nad brwiami i w kącikach ust przyczepił sobie plasterkami coś, co przypominało elektrody, podłączone do trzymanego w ręku pilota. Wyglądał tak zabawnie, że Sydney mimo woli się uśmiechnęła. Drew włączył projektor.

W ciemnym kącie pokoju coś zaczęło się dziać. Odwróciła wzrok od Drew i spojrzała w tamtym kierunku. Mrok na chwilę zgęstniał, a potem nagle zaczął się rozwiewać. Sydney zastygła z otwartymi ustami. W miejscu, gdzie do niedawna była tylko podłoga, zaczął zarysowywać się krajobraz. Zielone pagórki przetykane szarymi skałami, drzewa i gęste krzewy kryjące wejście do jaskini.

- O Boże, co to jest, Drew?

Nie wierzyła własnym oczom. Scena była tak prawdziwa, jakby skały i pieczara były bardziej rzeczywiste niż projektor, komputery i obsługujący je mężczyzna. Niemal czuła zapach rozgrzanych słońcem kamieni. Pociągnęła nosem i zwróciła głowę w kierunku, skąd zaczął dochodzić dźwięk przypominający stąpanie ciężkich kroków po mokrym podłożu. Gałęzie drzew poruszyły się, ziemia jęknęła, zadrżały skały.

Zanim znowu zdążyła zapytać, co się dzieje, ujrzała wydobywający się z pieczary obłok dymu. Za nim coś zionęło ogniem. Cofnęła się. Z jaskini wyłonił się smok. Tym razem wyglądał jeszcze bardziej prawdziwie. Miał zaledwie trzydzieści centymetrów wysokości, lecz starannie wyrobione łuski na ogonie, płetwiaste łapy i rozwidlony język. Nie było żadnego ekranu, nie było planszy ani animowanego filmu; nie miała przed sobą kukły. Stwór był jak żywy. Tak realistyczny, że można się go było przestraszyć, gdyby nie przykryte długimi rzęsami oczy o niewinnym, dziewczęcym spojrzeniu. Oczy smoka nie miały w sobie nic z gada. Spoglądał na Sydney całkiem sympatycznym, ludzkim wzrokiem, właściwie figlarnym, i od czasu do czasu mrugał długimi rzęsami.

Patrzyła na niego jak urzeczona. Jej zachwyty wzrósł jeszcze, kiedy stworzenie podreptało w stronę skały i przysiadło na niej, kokieteryjnie owijając wokół siebie pokryty łuską ogon. Sydney roześmiała się. Smok spojrzał na nią z uznaniem i oblizał się rozwidlonym, jaszczurczym językiem.

- Fajnie jest, nie? - zapytał.

Sydney przez ramię spojrzała na Drew.

- Czy to powiedziałaś ty, czy on?

- Merlin potrafi mówić - powiedział Drew. Położył dłonie na jej ramionach i obrócił ją w stronę smoka.

Merlin zniecierpliwiony ześliznął się ze skały i zaczął dreptać w miejscu z bardzo niezadowoloną miną.

- Co mu się stało? Wygląda na zdenerwowanego.

- Zdenerwowany? - powtórzył smok. - Ja zdenerwowany? Musisz wiedzieć, moja droga, że nie jestem takim sobie zwyczajnym smokiem.

Dumnie plasnął ogonem o ziemię.

- Merlinie, powiedz Sydney, kim jesteś i skąd się tu wziąłeś.

Merlin wyprężył się i „z góry” spojrzał na Sydney.

- Jam jest Merlin Czarodziej. Wielki Merlin, doradca króla Artura i wszystkich Rycerzy Okrągłego Stołu. Czarodziej Merlin.

- Merlin... - powtórzyła Sydney, zdumiona, jak łatwo przychodzi jej kontakt z przedziwnym stworem. - Ale dlaczego przybrałeś postać smoka?

Merlin nonszalancko rozejrzał się dokoła, jakby cała sprawa nie była godna większej uwagi.

- Och, nic takiego, po prostu nie doceniłem talentów pewnej podłej wiedźmy imieniem Morgana. Ta podstępna istota wykrała mój tajemny przepis na to, jak zamienić kogoś w smoka i wykorzystała go przeciwko mnie. A wszystko po to, żeby dotrzeć do Świętego Grała.

Ujął głowę w łapy i pokręcił nią wyraźnie zafrasowany.

- Muszę ją odnaleźć, bo inaczej gotowa zniszczyć cały świat. Jest bardzo zła i bardzo potężna.

- Skoro jesteś czarodziejem - powiedziała Sydney - nie powinieneś mieć z tym większych kłopotów.

- Masz rację, jestem wielkim czarodziejem. - Smok z wdziękiem zionął ogniem. - Na razie jednak jestem smokiem i dopóty nim będę, dopóki nie zdobędę Świętego Grała.

Zakręcił się w kółko i jaszczurczy ogon mignął groźnie między kamieniami. Skały drgnęły. Merlin obrzucił Sydney przelotnym spojrzeniem i przybrał niezwykle godny wyraz twarzy.

- Jeszcze jedno muszę ci wyznać, młoda damo.

Święty Grał to bardzo tajemniczy, magiczny przedmiot, obdarzony potężną mocą. Dzięki niemu Morgana może podróżować w czasie.

Drew poruszył pilotem i smok znieruchomiał. Zastygł w pół ruchu jak ścięty lodem. Niczym dziecko, któremu odebrano niedawno wręczoną zabawkę. Sydney z żalem postąpiła krok do przodu. Wyciągnęła dłonie, a potem opuściła je bezradnie.

- To ta twoja gra dla dzieci, tak? Wykorzystałeś postać Merlina Czarodzieja i historię Świętego Grała przy układaniu gry.

- W pewnym sensie.

Patrzył na nią z zachwytem. Nigdy jej takiej nie widział. Po raz pierwszy, odkąd się poznali, Sydney była radosna i bezpośrednia, jakby mur, którym odgradzała się od innych, nagle runął. Zaprzagnął objąć ją i pocałować i byłby to zrobił, gdyby nie odsunęła się i nie podeszła do stojącego bez ruchu Merlina, żeby go dokładnie obejrzeć. Drew skrzywił się. Merlin miał być jego sojusznikiem, a nie rywalem...

- Postanowiłem wykorzystać postać Merlina i złej wróżki Morgany do uczenia dzieci historii... Mam nadzieję, że wyjdzie z tego coś sensownego.

Sydney nie słuchała go. Niezwykle starannie oglądała smoka. Chyba wcale nie docierało do niej, że Drew coś mówi.

Wszystko to było tak prawdziwe, że nie mogła uwierzyć, iż smok i jego otoczenie nie istnieje. Wyciągnęła rękę, żeby go dotknąć, i kolorowy obraz stwora odbił się na jej skórze. Poczula graniczące z bólem rozczarowanie. Wiedziała, że ma do czynienia z projekcją, ale nie była w stanie w to uwierzyć. Stworzone przez Drew życie było zbyt realne. Do głowy cisnęły jej się setki pytań, ale nie była pewna, czy Drew zechce na wszystkie odpowiedzieć. Raczej w to wątpiła. Znała tylko jedno słowo na określenie tego, co zrobił: genialne. Drew jest geniuszem.

- Jak nazwałeś ten wynalazek?

- Planszowa Projekcja Rzeczywistości, w skrócie PPR - odparł pół żartem, pół serio.

- Przecież tu nie ma żadnej planszy. On unosi się w powietrzu.

- W wersji ostatecznej wszystko będzie nieco inaczej. Dzieci będą siedziały dokoła planszy z pilotami w rękach.

Drew zaczął z zapalem wprowadzać ją w tajniki swego wynalazku, nie szczędząc skomplikowanych technicznych określeń. Sydney przysiadła na ziemi z kolanami pod brodą, objęła nogi rękami i oparła na nich podbródek. Siedziała tak zasłuchana w jego słowa, wpatrzona w

Merlina i jaskinię.

Drew nagle przestał mówić, podszedł do małej lodówki stojącej w rogu pokoju, wyjął butelkę wina i kieliszki. Napenił je i jeden podał Sydney. A następnie, podobnie jak ona, utkwiał oczy w stworzonym przez siebie smoku.

- Podoba ci się Merlin, prawda?
- Jest cudowny.
- Merlin potrafi bardzo dobrze słuchać.

Merlin pokiwał głową i zmrużył oczy.

- Nigdy nie przestaniesz pytać? - roześmiała się Sydney. - Czego chcesz się dowiedzieć tym razem?

- Wszystkiego. Chcę wiedzieć o tobie wszystko. Oczywiście to, co mimo swej wielkiej podejrzliwości zechcesz mi powiedzieć.

Upiła łyk wina. Było jej z nim dobrze. Sama była zdziwiona, jak dobrze się czuje w obecności Drew.

- Wiem, że urodziłaś się w małym miasteczku i dlatego zdajesz sobie sprawę, jak tu się żyje. Ciekaw jestem, jak to się stało, że odeszłaś tak daleko od swojego miasteczka.

- Chcesz powiedzieć: jak mi się udało uciec?

Znowu napiła się wina i ze wzrokiem utkwionym w Merlinie zaczęła mówić:

- Kiedy byłam mała, myślałam, że miasteczko, w którym mieszkam z rodzicami, jest najważniejszym miejscem na ziemi. Ojciec miał dobrą pracę, matka stale była w domu: udzielała się społecznie, należała do wszystkich charytatywnych instytucji w okolicy. Wiodło nam się dobrze, mieliśmy ładny dom w dobrej części miasta. W szkole wszyscy mnie lubili, miałam niezłe stopnie, dobrych, szczęśliwych rodziców. Przynajmniej tak mi się wydawało.

Sydney zamilkła. Nie widziała już Merlina. W miarę jak napływały wspomnienia, narastał ból. Wszystko wracało z okrutną jasnością.

Drew widział, co się z nią dzieje, ale milczał. Bezszelestnie przysunął sobie mikrofon do ust i odpiął zawieszony u pasa pilota.

Merlin poruszył się, zmrużył oczy, przekrzywił głowę. Z jego paszczy wydobył się obłoczek dymu.

- I co było dalej? Coś się stało? - zapytał cichym, łagodnym głosem.

- Nagle wszystko się zmieniło. Nic już nie było tak jak dawniej. Ojciec przestał wracać do domu na noc. Matka cały czas płakała. A ponieważ działo się to w małym miasteczku, w krótkim czasie wszyscy wiedzieli, że tata ma romans z córką swojego szefa.

Merlin podniósł głowę: ujrzała język ognia i współczujące łypnięcie złotej źrenicy.

- Wszyscy w szkole się dowiedzieli - skomentował smok.

- Całe miasteczko o tym mówiło. Mamie zdradziła wszystko najlepsza przyjaciółka. Rozpętało się piekło. Moja matka nie należała do osób, które potrafią cierpieć w milczeniu. Zaczęła robić sceny, śledziła ojca i urządzała awantury w miejscach publicznych. Było to zenujące.

Mówiąc to, Sydney zdała sobie sprawę, że nigdy dotąd z nikim tak otwarcie o tym nie rozmawiała. Stresy z dzieciństwa zamknęła w sobie, postanawiając nie rozdrapywać bolesnych ran.

Doświadczenia, które stały się jej udziałem w dzieciństwie, nauczyły ją jednego: nigdy nikomu nie ufać. Tej nauki nie zapomniała nigdy. Spojrzała w oczy Merlina: nigdy u nikogo nie widziała tak współczującego i rozumiejącego spojrzenia. I nigdy nikomu nie pozwoliła litować się nad sobą tak jawnie.

- Tata postanowił się rozwieść, żeby ożenić się z kobietą, w której się zakochał. Miasteczko, oczywiście, stanęło po jego stronie. Rodzina przyszłej żony była bardzo wpływowa, i to nie tylko w naszym mieście. Ojciec Eloise był właścicielem lokalnej gazety, a prócz tego kilku innych pism w Dallas, w Houston, w San Antonio. Sceny urządzone przez mamę wywoływały nieprzychylnie komentarze.

Merlin poruszył głową i jego kły błysnęły w słońcu.

- A twój ojciec rozmawiał z tobą na ten temat?

- Mówił, że jestem jego córką i zawsze będzie mnie kochał tak samo.

- Ale stało się inaczej? - domyślił się Merlin. Spojrzał jej w oczy i uderzył ogonem o ziemię.

- Tak.

Sydney cofnęła się myślami do tego dawno minionego, koszmarnego okresu. Nieważne, co powie Merlinowi - lub Drew - on i tak nigdy nie zrozumie, co się z nią działo przez te wszystkie lata. W miarę jak mówiła, przykrości ożywały, a wszystkie złe, raniące słowa odzyskiwały swą ostrość. Tego właśnie się spodziewała. Dziwiło ją jedynie, że fakt ten, zamiast pogłębiać jej ból, przynosił dziwną ulgę. Tak jakby przecięła ropiejący wrzód.

Drew wyraźnie postanowił przeprowadzić operację do końca. Nacisnął jakiś guzik przy pilocie i poprawił mikrofon.

- To musiało być straszne dla twojej matki. Jak się domyślam, wyszła za męża bardzo młodo, nie miała żadnego zawodu... Jak sobie poradziła? Musiało jej być bardzo ciężko, i

Obraz matki upadającej pod ciężarem poświęcenia spowodował, że Sydney wybuchnęła śmiechem. Jej matka porzucona i bezradna? Nic podobnego.

- Zaraz po rozwodzie i przeprowadzce mama poszła na studia. Skończyła je i po kilku latach otworzyła sklep z antykami. Wiodło jej się wyśmienicie.

- Myślisz, że przy ojcu nigdy by tego nie osiągnęła?

- Nie. Zostałaby w domu i zadręczyła nas, wypominając swoje poświęcenie.

- Kim jest twój ojciec?

Zawahała się. Świetnie wiedziała dlaczego.

- Ojciec był naczelnym redaktorem miejscowej gazety. Kiedy poślubił Eloise, jej ojciec pomógł mu zostać naczelnym w Dallas.

Mówiła coraz szybciej, jakby ogromniejące z każdą chwilą napięcie domagało się ujścia. Jakby chciała wyrzucić z siebie wszystko raz na zawsze.

- Kiedy ojciec Eloise zmarł, ku zaskoczeniu wszystkich okazało się, że zostawił swoje gazety ojcu. Prawdziwe imperium. Ale mój ojciec naprawdę kochał Eloise. W dalszym ciągu jest im z sobą dobrze.

Drew podał Sydney kieliszek z winem.

- Twój ojciec jest dziennikarzem?

Wypiła łyk i spojrzała na Merlina, a widząc, że zastygł w bezruchu, zwróciła się do Drew.

- Dostał nagrodę Pulitzera za cykl reportaży o weteranach wojny wietnamskiej. Nazywa się Thomas Shannon.

- Czytałem to. - Drew był wyraźnie poruszony. - Ale ty przecież nazywałeś się inaczej.

- Ze względów zawodowych postanowiłam używać panińskiego nazwiska matki.

Zdecydowała przerwać te indagacje. Nie była jeszcze przygotowana na powiedzenie wszystkiego. Na razie dosyć pytań. Nic jej nie obchodzi spojrzenie jego zielonych oczu. Nawet takie spojrzenie. Dobrze знаła to uczucie; mężczyźni, bywało, istotnie ją pociągali. Znała paru przystojnych facetów, musiała jednak przyznać, że nikt nigdy nie pociągał jej w ten sposób jak Drew. Przysunęła się do niego, odstawiła kieliszek, poczuła zapach wody po goleniu i... pocałowała go. Po prostu po to, żeby już nic nie mówił, o nic nie pytał. Żeby go zmusić do milczenia, nic ponadto. Ale kiedy poczuła jego usta, objęła go ramionami i mocno przytuliła. Z wolna osunęli się na podłogę.

Drew zaczarował ją, po prostu ją zaczarował. Od chwili przyjazdu do Wallace zachowuje się bardzo dziwnie, jakby przestała być sobą. Teraz też. Od spotkania z Andrew Joshua jest kimś innym i nic wokół niej nie dzieje się tak jak dotąd.

Chyba naprawdę oszalała, chyba naprawdę straciła rozum i siłę woli, skoro nie robi nic, by go powstrzymać.

Leżeli na podłodze, gorączkowo zrywając z siebie ubranie i wybuchając śmiechem, kiedy jakiś guzik czy suwak okazywał się zbyt oporny.

- Chyba zwariowaliśmy, Drew - szepnęła, kiedy zdjął jej stanik i zaczął całować piersi.

- Tak, zwariowaliśmy.

Przy jego pomocy wyplątała się z sukienki.

- Nie powinniśmy...

- Wiem.

- Przecież ja za kilka dni wyjadę - powiedziała i umilkła.

- Chyba tak.

- Nigdy już się nie zobaczymy.

- Na świecie dzieją się różne dziwne rzeczy...

- Na przykład jakie?

- Możesz zostać.

- Ja...

- Nie mów już nic, po prostu bądź ze mną.

Nagle poczuła dziwną ulgę i uśmiechnęła się do siebie. Nigdy dotąd nie pragnęła tak żadnego mężczyzny, nigdy dotąd tak na żadnego nie czekała, nigdy dotąd nie poddawała się tak radośnie temu, co się z nią działo. Zaczynała rozumieć, co miały na myśli koleżanki, mówiąc o rozkoszy, od której traci się zmysły. Zaczynała pojmować, co tak pretensjonalnie nazywały „szaleńczym upojeniem”. Pozwoliła, aby rozkosz owładnęła ją bez reszty. Czowała się lekka, radosna i bezpieczna. Drew działał na nią jak narkotyk.

Dopiero po pewnym czasie dotarło do niej, że w pokoju jest bardzo zimno. Nigdy nie przypuszczała, że podłoga może być tak twarda. Z wolna wracała świadomość, a wraz z nią

znajomy niepokój.

Próbowała wysunąć się spod Drew i znaleźć jakąś wygodniejszą pozycję. Uniósł głowę i spojrzał na nią z uśmiechem.

- Czuję się jak nastolatka, która oddała się koledze na podłodze w salonie rodziców - powiedziała Sydney i parsknęła śmiechem.

- Koledze? - skrzywił się żartobliwie. - Tylko tyle? Dla mnie to była najpiękniejsza chwila w życiu. - Wtulił twarz w jej włosy. - No, może kilka chwil.

Roześmiała się i natychmiast zastanowiła, czy kiedykolwiek śmiała się tak radośnie razem z kimś, z kim przed chwilą się kochała.

- Gdyby to się wydarzyło w tym twoim ogromnym samochodzie... - zaczęła i umilkła, a w jej wyobraźni ukazał się dość śmiały pod względem erotycznym obraz.

- Teraz rozumiesz, dlaczego tamte dzieciaki tak lubiły te samochody - rozmarzył się Drew. - Wyobraź sobie samochód z odkrytym dachem, zaparkowany gdzieś pod gołym niebem, w górze gwiazdy i księżyc w pełni.

Podał jej sukienkę, pomógł ją włożyć i zapiąć.

- Drew, gdzie są moje majtki?

Usłyszała jego śmiech, gdy ruchem głowy wskazywał jej Merlina. Smok stał nieruchomo, wielką pazurzystą łapą przydeptując kawałek materiału.

- Bardzo dobrze, Merlin. Wiem, co chcesz powiedzieć. Ja myślę tak samo - rzekł do niego Drew. - Zatrzymaj je sobie, w ten sposób Sydney zostanie tu z nami na noc.

Jej milczenie powiedziało mu widocznie więcej niż słowa, bo nagle się wzdrygnął.

- Sydney, przestań myśleć o tym, że nie powinniśmy byli robić tego, co właśnie zrobiliśmy. Zupełnie jakby czytał w jej myślach.

- Muszę już iść. Emma...

- Emma wie, że jesteś ze mną. - Włożył koszulę do spodni. - Ale domyślam się, że marzysz już tylko o tym, żeby stąd wyjść i wszystko sobie dokładnie przemyśleć.

- Drew, chyba rozumiesz. Było cudownie, ale nie mogę przestać myśleć o tym... wszystkim. Ta przygoda z Andrew kompletnie wytrąciła mnie z równowagi. Nieczęsto zdarza mi się coś takiego, żeby duch wyciągał mnie z opresji.

Starannie zamknął sejf, wyłączył aparaturę i wyprowadził Sydney z pustego, pogrążonego w mroku domu.

- Czy to znaczy, że w końcu uwierzyłaś w ducha i że nikt nie próbował cię nabrać? Uśmiechnęła się w ciemności.

- Jeśli powiem tak, będzie to znaczyło, że wypieram się wszystkiego, co dotąd myślałam, że przeczę samej sobie.

Przebyli mroczne domostwo i wyszli na podwórze pod niebem pełnym gwiazd. Po chwili wsiadali już do samochodu.

- Tak jakbyś nagle zaczęła wierzyć w to, że wszystkie dzieci są śliczne?

- A w skrzynce na listy zdarzają się czeki - dodała, podnosząc głos, żeby się przebić przez warkot silnika.

- A wszyscy politycy mówią prawdę...
- W to na pewno nigdy nie uwierzę. Już prędzej w duchy, krasnoludki i inne zjawy.
- A miłość od pierwszego wejrzenia?

Przez chwilę nie odpowiadała.

- To będę sobie musiała poważnie przemyśleć.
- W tym właśnie kłopot. Za dużo myślisz. Jechali przed siebie w cudownej harmonii, jakby

na całym świecie nagle zapanował pokój.

- Powiedz mi jeszcze, dlaczego pracujesz w Waszyngtonie, skoro twój ojciec jest właścicielem trzech gazet?

- Różnimy się z ojcem we wszystkim, co dotyczy pracy. Zawsze tak było i zawsze tak będzie. Mój ojciec bardzo przypomina Buddy Hiltona. Działa na tej samej zasadzie. Kontroluje całe swoje imperium i należy do starej szkoły polityków, dla których liczy się władza, przywileje, a głosy wyborców po prostu się kupuje.

Rozmowa o ojcu wyczerpała ją.

Od chwili, kiedy rozstał się z matką i ożenił powtórnie, nieustannie z nim wojowała. Gdy skończyła dziennikarstwo, zaproponował jej pracę w jednej ze swych gazet, ale z wielką satysfakcją mu odmówiła.

Patrzyła w ciemność, czuła wiatr rozwiewający jej włosy. Kiedy Drew stanął na czerwonym świetle, rozejrzała się. Znajdowali się na placu miejskim. Tuż obok dębu, tego dębu, dziś na wpół martwego, okaleczonego drzewa.

- Czy tu go powieszono? - zapytała drżącym głosem.

- Tak - odparł spokojnie. - W tym akurat nie ma nic dziwnego, bo w każdym mieście te sprawy załatwiano na głównym placu i zazwyczaj rosły tam dęby.

- Rozumiem, ale dlaczego to drzewo z jednej strony ma suche gałęzie, jakby umierało?

Drew spojrzał we wskazaną stronę.

- Ludzie mówią, że to się zaczęło nazajutrz po tym, jak powieszono Andrew.

Zabłyśło zielone światło. Ruszyli.

- Ale musisz wiedzieć, że nie powieszono go po tej stronie, gdzie gałęzie są suche. Z tej strony, gdzie go powieszono, drzewo żyje.

Sydney zadrżała. No tak, mogła się tego spodziewać. W Wallace wszystko było na odwrót. Nawet symbole. A może nie umiała jeszcze właściwie ich odczytywać?

Dom Emmy przypominał witrynę sklepu z lampami. We wszystkich oknach paliło się światło. Już z daleka zobaczyli zaparkowany na podjeździe wóz policyjny.

- Coś się musiało stać - powiedziała Sydney i wyskoczyła z samochodu, zanim Drew zahamował. Pobiegnęła w stronę drzwi, Drew podążył za nią.

- Emma! Emma!

- Jesteśmy tutaj - dobiegł ich z kuchni głos Emmy. Poszli za dźwiękiem głosu. W kuchni zastali Emmę w towarzystwie doktora Doolittle i młodego człowieka w policyjnym mundurze. Sydney wydało się, że gdzieś już go widziała. Emma była bardzo blada i bardzo zdenerwowana.

- Co się stało?

Sydney z przerażeniem zobaczyła, że po policzku przyjaciółki płyną łzy. Podbiegła i objęła ją ramieniem.

- Mieszkam tu od urodzenia, Sydney. Nigdy nie zamykaliśmy drzwi.

Spuściła głowę i otarła oczy.

- Ale co się stało?

Sydney spojrzała na lekarza. Jego nastroszone zwykle wąsy smętnie zwieszały się po bokach ust. Przypominał teraz smutnego morsa.

- Było włamanie. Dom wygląda jak po rewizji. Sydney posadziła Emmę na krześle, po czym przysunęła sobie drugie.

- Co ukradli? - zapytał rzeczowo Drew.

- Właśnie tego próbujemy się dowiedzieć - odpowiedział młody policjant. - Emma rozejrzała się po domu i mówi, że niczego nie brakuje. Tak jakby niczego nie wzięli.

Drew podszedł do Emmy i ujął jej dłonie.

- Nie martw się, wszystko będzie dobrze.

Emma rozejrzała się bezradnie.

- Ja się wcale nie martwię, po prostu nie mogę przyjść do siebie. Jak to się mogło stać? Dlaczego? Kto to mógł zrobić? Do tego jeszcze nic nie wzięli.

Sydney popatrzyła na młodego policjanta, nerwowo kręcącego się po domu.

- Czy to pan znalazł mnie wtedy na Piney Creek Road?

- Tak.

- Nazywa się pan Howard, prawda?

- Tak jest.

Młody policjant wyprężył się jak struna.

- Cieszę się, że już jest pani zdrowa.

- Dziękuję za pomoc i za wszystko. - Wyczuła, że obecni w napięciu czekają, co dalej powie. - Jak wiem, zabezpieczył pan też to, co zostało z mojego bagażu.

- Tak jest.

- Bardzo dziękuję.

- Nie ma za co.

Howard zaczerwienił się, chrząknął i spojrzał na zegarek.

- Gdyby pani mogła teraz sprawdzić, czy nie brakuje czegoś z pani rzeczy tutaj... mógłbym wrócić na komisariat i sporządzić raport.

- Z moich rzeczy?

Powiedziawszy to, zerwała się z krzesła. Emma chwyciła ją za ramię.

- Wyrzucili wszystko z twojej torby. Nie byłam w stanie sprawdzić, czego brakuje.

Sydney poszła na górę. Wszędzie widać było ślady włamywaczy. Otwarte szafy, wyrzucone ubrania, wybebeszone szuflady. Wystarczająco długo prowadziła kroniki policyjne, by odgadnąć, że coś tu jest nie tak. W postępowaniu włamywaczy była jakaś dziwna ostentacja, która wzbudziła jej ciekawość. Zajrzała do pokoju Emmy: otwarte szafy, stosy ubrań na podłodze, przewrócony stolik, zrzucony z łóżka materac. Ktoś bardzo się napracował, by wywołać wrażenie, że włamano się do domu Emmy w celach rabunkowych.

Poszła do swojego pokoju. Ledwo poznała opuszczone przed kilku godzinami pomieszczenie. Wszystko było przewrócone do góry nogami. Ten sam widok, co w pokoju Emmy. Ubrania wylewające się z otwartych szeroko drzwi szafy, wyrzucone na ziemię szuflady... Sydney schyliła się i podniosła z podłogi swoją szafirową bluzkę. Emma musiała przynieść ją z pralni. Rzuciła bluzkę z powrotem. Świadomość, że ktoś grzebał w jej rzeczach, napełniła ją wstrętem. Rozejrzała się.

Zawartość jej przepastnej torby leżała na łóżku. Wyglądało na to, że nic nie zniknęło. Przejrzała karty kredytowe, przeliczyła pieniądze; wszystko było w porządku. Z przerażeniem pomyślała o komputerze i spojrzała na stół. Jej mały, przenośny komputer stał spokojnie na swoim miejscu. Już miała odetchnąć z ulgą i odejść, kiedy jej uwagę przykuło zielone światełko. Ktoś używał komputera. Była pewna, że przed wyjściem go wyłączyła. Przeskoczyła przez spiętrzone na podłodze rzeczy i dopadła stołu. Nacisnęła klawisz. Zaśnił ekran. Szybko przejrzała wykaz plików. Niczego nie brakowało.

- Twój pokój też nieźle wygląda. Chyba najgorzej. W drzwiach stał Drew.

- Nieważne. Możesz sprawdzić, czy ktoś grzebał w moim komputerze?

- Oczywiście. - Podeszedł do niej i położył dłonie na klawiaturze komputera. - To cudowny przedmiot. Za każdym razem, kiedy go używasz, notuje godzinę na twardym dysku. - Lekko dotknął jej ramienia i odsunął ją. - Pozwól, zaraz wszystko sprawdzę.

- Wiesz, Drew, z mojego pokoju też nic nie zabrali. Nic nie zginęło.

- Zupełnie bez sensu.

- Chyba że chodziło o coś zupełnie innego, a włamanie po prostu upozorowano, żeby ukryć właściwy powód wizyty.

Drew słuchał jej uważnie, ze wzrokiem wbitym w ekran. Przebiegł palcami klawiaturę.

- Myślisz, że chodziło im o to, co masz w komputerze?

- Tak.

- A co w nim masz?

- Jakieś notatki dotyczące spraw, nad którymi pracuję, wstęp do artykułu o senatorze...

- Co jeszcze?

- Przecież to absurd! Komu mogłoby zależeć na czymś takim...

Drew nie spuszczał wzroku z ekranu.

- Na czym?

- Zapisałam sobie wszystko, co mi się przydarzyło od chwili przyjazdu do Wallace, tę historię z Andrew również.

Drew odsunął się od komputera i wskazał jej ekran.

- Widzisz, mamy go. Wszedłeś tu kilka minut temu, a tutaj jest zanotowane, że ktoś pracował na komputerze o dziesiątej trzydzieści sześć dziś wieczorem. - Spojrzał na zegarek. - Jest pierwsza w nocy.

- Czy ktoś wiedział, że Emma i ja wychodzimy dzisiaj wieczorem?

- Niewykluczone, ale mógł to też być jakiś dzieciak szukający forsy na działkę.

Sydney wzruszyła ramionami i wzięła portfel.

- Drew, pomyśl tylko, mam tu trzysta dolarów gotówką i tyle samo w czekach. Nic nie zginęło. Nie słuchał.

- Masz jakieś czyste dyskiety? Zawsze wszystko kopiujesz?

- Oczywiście.

Sięgnęła po małe plastikowe pudełko, stojące przy komputerze. Otworzyła je i zdrętwiała.

- Drew, brakuje dwóch.

- Tak myślałem. Ktoś się obsłużył.

- Skopiowali coś.

- Nie mieli czasu, żeby szukać, po prostu skopiowali wszystko.

- O Boże! Biedna Emma, co ja jej teraz powiem! To wszystko moja wina.

Drew wyłączył komputer i wstał. Ujął Sydney za ramiona i potrząsnął.

- Co cię obchodzi Emma. Ledwo ją znasz.

- Jak możesz tak mówić! Bardzo mnie obchodzi! Emma jest... moją przyjaciółką.

- Tak szybko? Poznałaś ją przecież dopiero kilka dni temu. Wydawało mi się, że nie ufasz ludziom tak łatwo, że potrzebujesz bardzo dużo czasu, żeby się z kimś zaprzyjaźnić.

- Co to ma do rzeczy?

Wzruszyła ramionami i przeskakując przez sterty ubrań, poszła do kuchni. Drew podążył za nią. Cała zebrana tam trójka spojrzała na nich.

- Nic nie zginęło, Emmo. Bardzo cię przepraszam.

- Za co mnie przepraszasz?

- Myślę, że...

Drew nie pozwolił jej dokończyć zdania.

- Howardzie - zwrócił się do młodego policjanta - wyjdź ze mną na chwilę. Zostawiłem coś w samochodzie. Przyniesiemy to tutaj.

Sydney usiadła przy kuchennym stole i ujęła rękę Emmy. W kilku słowach wyjaśniła jej sytuację i o co właściwie chodziło nieproszonym gościom.

- Dlatego zaraz rano przeprowadzę się do hotelu - powiedziała w końcu. - Jeszcze raz bardzo cię przepraszam, to wszystko moja wina.

Emma chwyciła Paula za rękę.

- Widzisz, mówiłam ci, że Sydney jest moją przyjaciółką. Paul myślał, że mnie wykorzystujesz, że ci na mnie nie zależy. Próbowałam mu wytłumaczyć, że prosiłaś mnie o pomoc w wyjaśnieniu pewnej tajemnicy, ale nie chciał mi wierzyć.

- Naraziła cię bez potrzeby. Mogło ci się coś stać. Groziło ci niebezpieczeństwo.

- Nie przesadzaj! Jakie niebezpieczeństwo! Ze strony złodzieja komputerów?

- Emmo - wtrąciła Sydney - on ma rację. Tu chodzi o coś więcej. Jeszcze wszystkiego nie wiesz, więc posłuchaj. To jest naprawdę bardzo dziwne.

Opowiedziała im wszystko, czego się dowiedziała tego wieczora. Kiedy skończyła, oczy Emmy wyrażały bezgraniczne zdumienie i... zachwyty. Paul przez chwilę milczał ze zmarszczonymi brwiami.

- Emmo, chyba nie wierzysz w te historie z duchami? Nikt przy zdrowych zmysłach nie uwierzyłby w coś podobnego.

- Jesteś pewien, Paul? - wtrącił Drew. - Nie masz żadnych wątpliwości? - Wrócił właśnie do kuchni. - Howard przyrzekł, że pod wieczór przyśle ludzi do ochrony domu. - Znowu spojrzał na Paula. - A co sądzisz o życiu po życiu, o tych wszystkich doświadczeniach, które były udziałem ludzi w śmierci klinicznej? Przecież jako lekarz musiałeś się z tym zetknąć. Jak byś to wytłumaczył?

Paul pochylił głowę i skubnął wąsa.

Sydney ukradkiem zerknęła na Drew. Rozmowa zapowiadała się interesująco. Nagle jej wzrok padł na trzymaną przez Drew paczkę. Poczowała, jak oblewa ją zimny pot. Tylko nie to...

- Przyniosłeś papiery Wallace'ów? - zapytała Emma. Wszyscy spojrzeli na nią ze zdumieniem.

- Skąd wiesz, co to jest? - Drew położył paczkę obok Sydney.

- Byliśmy z Paulem wieczorem u Ropera i spotkaliśmy Johna - wyjaśniła beztrąsko Emma, a widząc groźne spojrzenie Sydney, dodała: - Roper to taki tutejszy nocny lokal, wszyscy tam chodzą, a John to John Marsh, dyrektor tutejszego banku. John był oburzony tym, co mu

Clay zrobił i opowiadał o tym każdemu, kto tylko się nawinął. Mówił, że stary Clay Wallace wezwał go dzisiaj do siebie i kazał mu wieczorem otworzyć bank, bo chciał wydobyć z sejfu jakieś rodzinne papiery.

- Czy ktoś słyszał, co mówił? - zapytał Drew. Paul skrzywił się z niesmakiem.

- Przecież znasz Johna. On musi mieć słuchaczy i zawsze sobie kogoś znajdzie. Słyszeli go wszyscy, w całym lokalu. Dlaczego pytasz?

Drew spojrzął na leżące na stole pudełko.

- Ciekaw jestem, czy ktoś mógł przypuszczać, że ta paczka jest tutaj, u Emmy w domu?

- Bzdura. - Emma wzruszyła ramionami. - Skąd ktoś mógłby wiedzieć, że Clay dają Sydney?

- Clay nie ma zwyczaju niczego ukrywać. Nikim się nie przejmuje, z nikim nie liczy i daje to do zrozumienia w tym mieście, gdzie powieszono niewinnego człowieka. Założę się, że powiedział Johnowi, co zamierza zrobić z tymi papierami, a John puścił to dalej.

Emma wybuchnęła śmiechem.

- O Boże, Sydney, ale tu było nudno i spokojnie, póki nie przyjechałaś. Potrafisz wsadzić kij w mrowisko.

- O co ci chodzi?

- Posłuchaj, najpierw to twoje wielkie wejście, czyli wypadek. Potem dzisiejsze spotkanie z królową matką i senatorem w restauracji. A jeśli myślisz, że wszyscy obecni nie słyszeli tego, że Andrew Joshua uratował ci życie, to się mylisz. Sprawa zyskała właściwy rozgłos. Nawet sam Buddy Hilton dzwonił tutaj niby w sprawie włamania, ale tak naprawdę chodziło mu o to, żeby przeprowadzić z tobą wywiad.

- Wszystko, tylko nie to - jęknęła Sydney.

Tylko tego brakowało. Wyobraziła sobie tytuły w gazetach...

- Ale skoro już mówimy o Hiltonie, to nie wiem, czy wiesz, Drew - ciągnęła Emma - że on chce sprzedać tę swoją gazetę. Dowiedziałam się o tym od Howarda, a on od Sally Pearson. Są z sobą spokrewnieni - rzuciła w stronę Sydney tytułem wyjaśnienia. - Nie ma pieniędzy na jej utrzymanie, a nie chce wziąć współnika.

- I dobrze mu tak - powiedział Drew z takim jadem w głosie, że obecni nie mogli powstrzymać uśmiechu.

- Jest sprawiedliwość na tym świecie.

Sydney nie spuszczała oka z przyjaciółki.. Emma, jak gdyby nigdy nic, dotknęła paczki leżącej na stole, po czym pieszczotliwie ją pogładziła. Widać było, że tajemniczy pakunek bardzo ją korci. Z westchnieniem dotknęła palcem sznurka. Kiedy spostrzegła, że jest obserwowana, gwałtownym ruchem cofnęła dłoń, jakby się oparzyła.

- Myślałam tylko...

- O, Boże - jęknął Paul, szarpiąc wąsy. Emma niewiele sobie robiła z jego sprzeciwu.

- Pomyślałam sobie, że może mogłabym pomóc przy przeglądaniu tych papierów.

Musnęła palcami paczkę pieszczotliwym ruchem. Sydney starała się nie patrzeć na Drew, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Emma ze swoją dziecięcą ciekawością była naprawdę rozczulająca.

- Oczywiście, to bardzo dobry pomysł. Właśnie chciałam cię o to prosić. Właściwie byłoby najlepiej, żebyśmy wszyscy razem przejrzyli te dokumenty. W ten sposób łatwiej coś znajdziemy. W pojedynkę można coś przeoczyć. - Spojrzała na Drew pytającym wzrokiem.

- Chyba Clay nie miałby nic przeciwko temu, prawda?

Drew pokręcił głową.

- Oczywiście, że nie. Dał je tobie i możesz zrobić z nimi, co zechcesz.

- Posłuchajcie - odezwał się nagle Paul podniesionym głosem. - Jestem lekarzem, człowiekiem nauki, nie wierzę w żadne duchy.

Emma zganiała go wzrokiem.

- Przecież nie zamierzamy wywoływać żadnych duchów, Paul. To nie jest seans spirytystyczny. Chcemy po prostu przejrzeć te papiery. Ja też nie wierzę w duchy. - Zwróciła się do Sydney. - A ty?

- Ja też nie.

Spojrzała pytająco na Drew. Wszyscy obecni zrobili to samo.

- Ja? - Drew zmrużył oczy. - A ja wierzę w miłość od pierwszego wejrzenia, wierzę, że wszystkie dzieci są śliczne, wierzę w czeki podrzucane do skrzynek pocztowych, w duchy, krasnoludki, czarownice i smoki,

Sydney zaczerwieniła się jak mała dziewczynka. Świadomość, że Emma baczynym wzrokiem spogląda to na nią, to na Drew, zwiększyła jej zmieszanie. Należało czym prędzej odwrócić uwagę przyjaciółki.

- Emma, a może byśmy najpierw przeleciały się na miotle? Co ty na to? A potem może sobie przejrzymy te papierki.

- Czyś ty zwariowała?

Emma była naprawdę przestraszona. Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Paul zerwał się z krzesła.

- Siadaj - syknęła Emma.

Sydney powoli otworzyła paczkę i ich oczom ukazały się pożółkłe papiery. Na wierzchu leżały protokoły z posiedzenia sądu, sporządzone starannie kaligraficznym pismem.

- To chyba nie będzie łatwe.

Sydney rozdała wszystkim plik kartek mniej więcej tej samej grubości. Kiedy przed każdym leżał już pokaźnych rozmiarów stos, położyła przed sobą to, co zostało. Szczegółowy opis procesu o zabójstwo, w którym oskarżonym był Andrew Joshua.

Po mniej więcej godzinie czytania i kilku kubkach chłodnej już kawy wyprostowała się i przeciągnęła. Nie mogła czytać dalej. Litery skakały jej przed oczami, nie rozróżniała słów.

- Przeczytałam prawie wszystko, ale nic nie rozumiem. Wynika z tego, że Andrew wcale nie próbował się bronić, nie odpowiadał na pytania, nie współpracował z obrońcą. W ciągu całego procesu nie odezwał się słowem. Zupełnie nie rozumiem dlaczego.

Drew, z oczami podkrążonymi ze zmęczenia, odsunął swoje dokumenty i sięgnął po kubek z kawą.

- Przeczytałem właśnie zapis rozmów, jakie Clay i Rosa przeprowadzili wiele lat temu z osobami, które pamiętały tamte czasy. Jedna z pytanych kobiet, przyjaciółka Mary Clayton, powiedziała, że nie ma wątpliwości, iż Andrew jest niewinny. Śmierć Mary sprawiła, że przestało mu zależeć na życiu, dlatego się nie bronił. Nie obchodziło go, co z nim zrobią.

- Trochę to egoistyczne, prawda? - skomentowała Emma, nie podnosząc głowy. - Przecież miał syna, maleńkie dziecko, któremu był potrzebny.

- On kochał Mary tak bardzo, że nie było w nim miejsca na żadne inne uczucie. Mimo że nie znaleziono jej ciała, czuł, wiedział, że ona nie żyje. A życie bez niej nie miało dla niego żadnego sensu. Może trudno to zrozumieć, ale czasem tak bywa. Andrew był po prostu w stanie skrajnej rozpacz.

Zapanowała cisza. Przerwał ją Paul.

- Mieszkam w tym mieście od dwudziestu lat. Przez cały ten czas słyszałem o tej sprawie wszystko, co można usłyszeć, ale to, co przeczytałem, jest zupełnie nieprawdopodobne. - Uderzył dłonią w pożółkłe kartki. - Tej nocy, kiedy go powieszono... Wszystko odbyło się tak, jakby z góry było zaplanowane. Jak w filmie.

- Chcesz powiedzieć, że wszyscy byli w zмовie?

- Tak. Szeryf zwykle szedł do domu między ósmą a dziewiątą wieczorem, a tego dnia siedział do dziesiątej. Zwykle klucze od celi zabierał z sobą, ale tym razem, przez zapomnienie, zostawił je na stole. Zresztą i tak zapomniał zamknąć areszt na zasuwę. Podczas przesłuchania oświadczył, że tego dnia był chory i miał wysoką gorączkę. Jego żona to potwierdziła.

- Zawracanie głowy. Zwykły skandal. - Emma uderzyła w leżący przed nią stos kartek. - Tutaj jest napisane, że Darcy urządził tego wieczora bal w knajpie. Wszyscy pili na umór, on też. Nagle ktoś wpadł na pomysł, żeby więźnia powiesić. Darcy kilka minut przedtem wyszedł, więc miał alibi, i tak dalej. Jeden wielki skandal.

Sydney przetarła zaczerwienione oczy.

- Nie wiem, czego twój dziadek po mnie oczekiwał; Drew. W dalszym ciągu nic nie wiadomo. Kto zabił Mary? Andrew w porwywie zazdrości? Ktoś inny? Nic z tego nie rozumiem, ale jedno wiem na pewno. To była parodia procesu, nie mająca nic wspólnego ze sprawiedliwością. Po pierwsze, sędzia był człowiekiem osobiście zainteresowanym sprawą, jeden z Fowlerów, ojciec Darcy'ego. Po drugie, sam Darcy wystąpił jako oskarżyciel, mimo że kto jak kto, ale on w sposób oczywisty był stroną w całej sprawie i wszyscy o tym wiedzieli. Kochał Mary i był obsesyjnie zazdrosny o Andrew, którego zresztą szczerze nienawidził. - Odchyliła głowę do tyłu i pomasowała kark. - Coś niesamowitego, nawet jak na Teksas w tamtych czasach. Chociaż może nie powinnam się dziwić. Znając polityków...

Drew podał jej swoje papiery, Emma i Paul poszli w jego ślady.

- Kiedyś już przeglądałem niektóre z tych dokumentów i wiem, że nic z nich nie wynika. Ale Clay nigdy nie uwierzy, że jego ojciec zabił matkę, a potem ukrył jej ciało. Wydaje mi się, iż po prostu miał nadzieję, że znajdziesz coś, co potwierdzi jego przekonanie. Przecież to właśnie ty spotkałaś Andrew, rozmawiałaś z nim, widziałaś go. To tobie powiedział, że znalazł Mary i Clay ma nadzieję, że jego ojciec powróci i powie ci, gdzie znajduje się jej ciało.

Sydney zadrżała.

Emma starannie układała kartki.

- Dlaczego Andrew Joshua ukazał się właśnie Sydney? Jak myślicie? Dlaczego nie Clayowi albo tobie, Drew, tylko komuś obcemu?

Paul skrzywił się i wstał z krzesła.

- Nie wierzę w duchy. Sydney uderzyła się w głowę i miała halucynacje, to wszystko.

- Dobrze, ale skoro to były halucynacje, skąd wiedziała o istnieniu domku, Andrew i Mary?

Paul rozłożył ręce i pokręcił głową.

- Nie wiem i nie chcę wiedzieć. Idę do domu.

Emma zerwała się i pobiegła za nim.

- Ale najpierw mi powiedz, doktorze nauk medycznych, ścisły umyśle i niedowiarku, skąd ona wiedziała, jak wygląda ten domek w lesie! Czekaaj, słyszysz? A co z portretem?

Sydney i Drew usłyszeli trzask zamykanych drzwi i spojrzeli na siebie. Sydney przemówiła pierwsza.

- Sama nie znam odpowiedzi na te pytania i to właśnie jest najbardziej przerażające.

- Może po prostu byłaś we właściwym miejscu, we właściwym czasie.

- Chciałeś powiedzieć: w niewłaściwym miejscu, w niewłaściwym czasie.

- Nie. Zastanów się. Wiemy, że tej nocy, kiedy zabito Mary, szalała burza. Andrew Joshua wracał właśnie wozem z Taylorville. Następnego dnia rano znaleziono połamany wóz w rowie. W znanym ci miejscu. Złapała go ulewa. Burza była tak silna, że nie zdołał poskromić koni. Spłoszyły się i poniosły. Kiedy udało mu się wydostać z rowu, ruszył pieszo w stronę domu i dotarł tam dopiero rano.

Nie przerywała mu: miejsce i szczegóły były jej aż za dobrze znane.

- Kiedy wreszcie przyszedł do domu, zastał tam Darcy'ego i szeryfa obok kołyski dziecka i kałuży krwi. Mary nie było. Wszyscy wiedzieli, że nigdy by nie wyszła, zostawiając dziecko. Musiało się wydarzyć coś naprawdę strasznego.

Sydney nerwowo przerzuciła papiery, jakby czegoś szukała.

- Czekaj, chyba coś przeoczyłam. Tam coś było.

- Co?

- Nic specjalnie ważnego. Po prostu chciałabym się dowiedzieć, dlaczego oni tam byli.

Dlaczego Darcy i szeryf już byli na miejscu.

- Owszem, dość dziwne. Skąd Darcy mógł wiedzieć, że stało się coś, co wymaga obecności szeryfa?

- Wiedział, bo był tam wcześniej. Tak zeznał. Ale mówię ci, Drew, dla mnie to całe jego zeznanie brzmi bardzo podejrzanie. Mówił, że wiedział o wyjeździe Andrew do Taylorville i chciał sprawdzić, czy u Mary wszystko w porządku. Zajrzał tam jakoby tak sobie, na wszelki wypadek. Wyobraź sobie, że poszedł do niej do domu, ot, tak sobie, w kilka dni po tym, jak mu w obecności kilku osób powiedziała, że nie życzy sobie go widywać, bo zachowuje się niestosownie. Zmarszczyła brwi.

- To się nie trzyma kupy. Powiedział, że kiedy przyszedł, Mary nie było, zobaczył plamy krwi, płaczące dziecko w kołysce i okropnie się przestraszył. Rozumiesz? Przejął się tak bardzo, że zostawił dziecko w środku nocy, w pustym domu w lesie, w miejscu, gdzie, jak na to wskazywała świeża krew, stało się coś strasznego. Mówił, że nie pomyślał o małym Clayu, bo zląkł się, że coś się stało Mary. Czy to znaczy, że tak bardzo go obchodziła, iż życie dziecka nie miało dla niego znaczenia? Podobno dotarł do miasta tak późno, ponieważ jego też złapała w drodze burza i przyszedł do szeryfa dopiero nad ranem.

Drew ziewnął.

- Jak mówi Emma, bzdury i skandal.

- Co mówi Emma?

Emma zamasztyłym krokiem weszła do kuchni. Oczy jej błyszczały. Wyglądała jak dziewczyna, która właśnie skończyła się całować z chłopakiem.

- Nic.

Drew ujął Sydney za rękę.

- Jest strasznie późno, pojedę już. Odprowadź mnie do samochodu. Chcę ci coś powiedzieć.

Gdy przechodzili przez korytarz, spojrziała na zegar. Czwarta rano! Tego się nie spodziewała. Mimo że zmęczenie mocno dawało jej się we znaki, nie przypuszczała, że jest tak późno. Poczula

świeży powiew wiatru na rozpalonych policzkach.

- Poczekaj, Drew, zapomniałeś zabrać papiery Claya.
- Niech trochę pobędą u ciebie.

Podeszła z nim do samochodu.

- Chcesz, żebym je jeszcze raz przejrzała, tak?
- Chyba tak.

Drew objął ją i przytulił. Podała mu się bez sprzeciwu. Wtuliła się w niego, a on oparł brodę o czubek jej głowy.

- Czy żałujesz tego, co dzisiaj zrobiliśmy? - Nietrudno było zgadnąć, co ma na myśli. - Sam jestem zdziwiony, nawet więcej, zaskoczony.

Uniosła głowę, spojrzała na niego i uśmiechnęła się.

- Na ogół nie mam zwyczaju iść z kimś do łóżka zaraz na pierwszej randce, nawet jeśli to nie jest łóżko, tylko... podłoga.

Drew roześmiał się.

- Zwykle jesteś bardziej ostrożna?
- Można tak powiedzieć.
- Ostrożna w sprawach seksu czy miłości?
- W jednym i w drugim. Drew, ja naprawdę nie wiem, co się ze mną dzieje w tym mieście.

Odkąd tu przyjechałam, nie panuję nad sobą. Tu wszystko jest jakieś inne.

Pochylił się, żeby ją pocałować, ale Sydney cofnęła się.

- Nie chcę, żebyś mnie całował. To tylko wszystko jeszcze bardziej skomplikuje.
- Zabijesz tego, co zaszło między nami?
- Nie, jestem po prostu zdumiona, że do tego doszło.
- Dlaczego?

Nie mogła odpowiedzieć na to pytanie. Nie mogła mu powiedzieć, że nigdy dotąd nikogo tak nie pragnęła i nigdy dotąd pożądanie nie zaślepiło jej do tego stopnia. Ją samą to przerażało.

- Ponieważ nie mogę tego zrozumieć, tak jak nie mogę zrozumieć wielu innych rzeczy, które mi się tu zdarzyły w ciągu ostatnich kilku dni.

Przytulił ją mocniej.

- Wyglądam zupełnie tak samo jak Andrew Joshua...

Westchnęła.

- Jesteście do siebie podobni jak dwie krople wody.
- Widziałem twój wzrok, Sydney, kiedy o nim mówiłaś. Wszyscy zwrócili na to uwagę.

Kiedy o nim mówisz, twarz ci się rozjaśnia, oczy zaczynają błyszczeć. Możesz zaprzeczać, ale sama wiesz, że jesteś z nim jakoś związana. Chciałbym wiedzieć tylko jedno: czy jesteś pewna, że nas rozróżniasz? Nie myślisz czasem, że ja to on?

- Przecież to śmieszne.
- Dlaczego?
- Andrew Joshua nie całował mnie, nie kochałam się z nim na twardej podłodze w ciemnym domu w obecności złotoookiego smoka.

- Przyjedź do mnie jutro. - Zerknął na zegarek. - Chciałem powiedzieć, dzisiaj.

- Nie mogę. Straciłam mnóstwo czasu. Mam do przeprowadzenia wywiad, muszę napisać artykuł o senatorze. Fowler na mnie czeka i jak sądzę, rozmowa z nim zajmie mi cały dzień.

- Wpadnij wieczorem, jak tylko skończysz. Zrobię kolację.

Skinęła głową. Ujął ją pod brodę, skierował jej twarz ku sobie i długo całował.

- To na pożegnanie, żebyś o mnie nie zapomniała. A teraz wracaj do domu.

Wskoczył do samochodu, zapalił silnik, ale nie odjeżdżał, czekając, aż Sydney zniknie za drzwiami. Potem spojrzał na rozgwieżdżone niebo.

Mam nadzieję, że wiesz, co robisz, Andrew, pomyślał. Skoro ją tu sprowadziłeś, to chyba znajdziesz sposób, żeby zatrzymać...

Sydney weszła do domu i z głębokim westchnieniem oparła się o drzwi. Czuła się dziwnie. Żeby przywrócić sobie poczucie normalności, zawołała Emmę. Z góry dobiegł ją głos;

- Jestem na górze, w moim pokoju.

Sydney powlokła się na górę i weszła do sypialni Emmy. Rozejrzała się po pobojuwisku.

- Pomóż mi.

Emma właśnie próbowała posłać rozgrzebane łóżko. Starannie nakryły je kapą. Potem zaczęły zbierać porzrzucone na podłodze rzeczy.

- Powiedz, dlaczego twoim zdaniem, Andrew Joshua wybrał sobie właśnie mnie, jeśli przyjąć, że to naprawdę był on?

Emma przez chwilę pracowała w milczeniu.

- Przeznaczenie, fatum, los. Uważam, że był jakiś powód, dla którego się tutaj znalazłaś. Może chodzi tu o kogoś innego, niekoniecznie o Andrew Joshuę.

- Dobrze, ale w jakim celu? Przecież ja w oparciu o te papiery absolutnie nie mogę niczego stwierdzić. To, że je przeczytałam, niczego nie zmienia. W dalszym ciągu nie ma żadnych dowodów na to, że to nie Andrew zabił Mary.

- Może chodzi o coś innego. Przecież na pożegnanie powiedział: „Powiedz im, że znalazłem Mary”. Może próbuje ci pokazać, gdzie jest Mary? Może kiedy ją odnajdziesz, powie ci, kto ją zabił?

Sydney przetarła zmęczone oczy i westchnęła.

- Czy ty próbujesz mi wmówić, że powinnam spotkać się z jeszcze jednym duchem? Chyba zwariowałaś, jak myślisz?

- Może i zwariowałam, ale to wszystko jest takie romantyczne...

Skończywszy porządkować sypialnię Emmy, przeszły do pokoju Sydney.

- Po co oni to zrobili? - Sydney wzruszyła ramionami. - Kompletna głupota. Zadawać sobie tyle trudu, żeby nieudolnie zamaskować fakt, że się chce ukraść trochę danych z komputera. Ten, kto to zrobił, nie grzeszy rozumem.

Zabrały się do zbierania ubrań i układania ich w szafach. Następnie posłały łóżko.

- Chciałam cię o coś zapytać - powiedziała Sydney, kiedy skończyły. - Wiem, że Wallace'owie są znaną rodziną, bo założyli to miasto, ale jak oni właściwie stoją pod względem finansowym?

Emma spojrzała na nią z takim osłupieniem, że Sydney natychmiast pojęła, że powiedziała coś głupiego.

- Nie chodzi mi o to, żeby się dowiedzieć, czy są bogaci. To mnie nie obchodzi, po prostu interesuje mnie to jako zjawisko. Wiem, że mają tartak i ten wspaniały dom, w którym mieszkają Rosa i Clay, ale w obecnych czasach, kiedy przemysł drzewny przeżywa kryzys... Myślałam, że mogą mieć jakieś trudności.

Emma przysiadła na łóżku i wybuchnęła śmiechem.

- Nie mam pojęcia, że istnieje jakiś kryzys w przemyśle drzewnym. Wiem tylko, że Wallace'owie są najbogatszymi ludźmi w mieście. Należą do najzamożniejszych rodzin Teksasu. Zapewniam cię, że nie mają kłopotów finansowych. Spokojnie wiążą koniec z końcem.

- Rozumiem. Skąd pochodzi ich majątek?

- Ziemia, moja droga. Ziemia jest najważniejsza. Tutaj ten, kto ma ziemię, ma wszystko. Wallace'owie mają ziemię, bo od samego początku ją kupowali. Legenda głosi, że chodzili głodni i bosi, a ziemię kupowali, kawałek po kawałku. Potem ziemia zaczęła im się wypłacać. A to tartak, a to tereny pod wypas bydła, i tak dalej. Teraz najważniejsza jest ropa, złoża ropy naftowej. Kopalnia pieniędzy.

Sydney przysiadła obok przyjaciółki.

- Wydawało mi się, że Drew nie jest bardzo zamożny. Ten jego dom...

- Drew... Ten jego Kasztanowy Dom to najlepszy przykład ich obsesji. Dom do niedawna należał do jakiegoś ich dalekiego krewnego, więc w niego nie inwestowali. Stoi na ziemi i to jest ważne. I są tam drzewa, a gdzie są drzewa, jest drewno. Wallace'owie zawsze zajmowali się drewnem. Dawniej byli stolarzami, wyrabiali meble, piękne meble. Oni po prostu mają trociny w żyłach, a może lepiej - żywicę. Tak mówią o nich ludzie w miasteczku. Wybierz się któregoś dnia na Preston Street. Jest tam wielki sklep z meblami. Samo drewno, ani jednego gwoźdź. Clay zna tajemnicę takiej roboty. Przyjeżdżają tutaj ludzie z całych Stanów, żeby się od niego uczyć. A on wybiera tylko najlepszych.

Emma zebrała bluzki i zaczęła wieszać je w szafie.

- To właśnie Clay namówił mnie - ciągnęła, nie odwracając się - żebym zaczęła pracować w metalu. Nauczył mnie robić odlewy, kupił ode mnie kilka rzeczy, pomógł przerobić garaż na pracownię. Oni obaj są wspaniali. Clay i Drew.

Usiadła obok Sydney i poprawiła jej koronkowy kołnierz.

- Wiesz - powiedziała, jakby ją chciała uspokoić, zanim powie coś innego - od wielu lat jestem zakochana w Paulu, ale przez dłuższy czas musiałam się z tym kryć. On był żonaty.

- Był?

- Odeszła od niego dwa lata temu. Paul mówi, że nie jest jeszcze przygotowany na nowy związek. - Uśmiechnęła się smutno i lekko dotknęła przekrzywionego kołnierzyka Sydney. - Mamie też zawsze tak wchodził pod suwak przy zapinaniu. Musisz uważać, kiedy następnym razem będziesz wkładać tę sukienkę.

Powiedziała to tak swobodnym tonem, że trudno było się domyśleć, że wie, w jakiej sytuacji Sydney ostatnio wkładała tę suknię. Sydney nie miała wątpliwości, że Emma wie wszystko. Wie

też, co się wydarzyło między nią a Drew. Poczzerwieniła i już chciała się tłumaczyć, kiedy przyjaciółka wybuchnęła głośnym śmiechem.

- Ale ty masz minę! Szkoda, że nie możesz się zobaczyć! Zupełnie jak dziewczyna sto lat temu, kiedy ją matka przyłapała z chłopakiem na sianie.

Sydney nie miała siły odpowiadać. Nie miała zamiaru z kimkolwiek rozmawiać na temat Drew. Nie chciała o tym myśleć. Nie próbowała tego rozumieć.

- Muszę się wykapać i idę do łóżka. Jestem potwornie śpiąca.

Emma wstała i ruszyła w stronę drzwi.

- Powiedz mi tylko jeszcze - zatrzymała ją Sydney - czy jest tu jakiś przyzwoity sklep z butami. Nie mogę się wygłupić przed Fowlerami. Muszę sobie kupić jakieś buty.

- Ralph ma sklep z butami, ale nie sądzę, żebyś w nim coś dla siebie znalazła. Ja kupuję buty w Dallas albo w Tyler.

- Trudno, kupię byle co. Wszystko lepsze niż różowe tenisówki albo o numer za małe pantofelki.

- Nie wiem. Najpierw zobacz, co on ma. - Emma wzruszyła ramionami i ujęła klamkę. - Tylko pamiętaj, że cię uprzedzałam.

Ciekawe, naprawdę ciekawe, pomyślała Sydney. Taki sklep Ralpa w Wallace to musi być coś.

Sydney wsiadła do samochodu Emmy, spojrzała na swoje nogi i wybuchnęła śmiechem. Jak było do przewidzenia, w sklepie Ralpa można było kupić głównie siodła i buty do konnej jazdy. Obuwie damskie należało tu do rzadkości. Za to wreszcie miała na sobie własne ubranie. Płócienne spodnie i turkusowa bluzka sprawiały, że czuła się nieco bardziej sobą.

- Mówiłam ci...

Emma ruchem głowy wskazała buty przyjaciółki.

Sydney parsknęła histerycznym śmiechem.

- Posłuchaj, mój organizm potrzebuje ośmiu godzin snu i zwykle mu tego nie odmawiam. Dziś dostał nędzne dwie godzinki, a potem zaciągnęłaś mnie do tego upiornego sklepu i mierzyłaś sobie spokojnie te kowbojskie buciory, kiedy ja bezskutecznie próbowałam znaleźć coś dla normalnych ludzi.

Mówiąc to, mimo wszystko uśmiechnęła się na wspomnienie Emmy biegnącej po sklepie niczym kot w butach i robiącej miny do Ralpa, podczas gdy ona usiłowała znaleźć coś, co byłoby lepsze od różowych tenisówek i o numer za małych pantofelków.

Znowu zerknęła na swoje nogi, zamknęła oczy i wybuchnęła śmiechem.

Miała na sobie białe, obszerne czółenka, przytroczone do nogi sznurowadłami niespotykanej długości. Można je było sobie spokojnie kilka razy owinać dokoła łydki i zawiązać na kokardkę w kostce, nie umniejszając w niczym ich gigantycznych rozmiarów. Pytanie, po co komu tak długie sznurowadła, nasuwało się samo.

- Jeśli nogi mi zdrętwieją, a potem zrobią się fioletowe z powodu złego krążenia, będzie to tylko twoja wina. Dlaczego u licha Ralph nie obciął tego świństwa?

- I popsuł cały efekt? - W głosie Emmy zabrzmiała pretensjonalność teksańskiego mieszczucha. - Nie zapominaj, że masz tu do czynienia z francuskim szykiem w wykonaniu samego mistrza Ralpa. On zawsze...

- Przestań. Nie chcę nic wiedzieć o jego artystycznych upodobaniach.

- W każdym razie nareszcie nie masz za ciasnych butów. Też coś warte.

- Serdecznie dziękuję za pocieszenie. - Sydney spojrzała na zegarek. - Zrobiło się późno. Nie mogę się znowu spóźnić na spotkanie z senatorem. Gdybyś przypadkiem miała już dosyć tej zabawy moim kosztem, to możemy jechać.

Chichocząc, Emma spełniła jej prośbę.

- Swoją drogą nie mam pojęcia, dlaczego spałaś dwie godziny. Mnie udało się przespać aż cztery - powiedziała, patrząc na drogę. - Poczekaj, spróbuję zgadnąć. Kiedy rano zeszałam do kuchni, papierów Wallace'ów na stole nie było. Zostawiłyśmy je tam, a nikt do domu nie wchodził. Drzwi były zamknięte. Domyślałam się zatem, że...

- Brawo, mój drogi Watsonie.

- Domyślałam się, że nie mogłaś zasnąć, zeszałaś i wzięłaś wszystko do siebie na górę, żeby jeszcze raz to przejrzeć. A co więcej, po twojej minie widać, że nie zrobiłaś tego na próżno. Coś znalazłaś.

Wjechała na szpitalny parking, zatrzymała się i spojrzała na przyjaciółkę.

- Z twego zmarszczonego czoła wnioskuje, że nie zamierzasz podzielić się ze mną swoim odkryciem, więc żegnam. Nie musisz po mnie przyjeżdżać. Odwiezie mnie Paul albo wrócę do domu piechotą.

Co powiedziawszy, wysiadła i zatrzasnęła za sobą drzwi. Sydney przesiadła się na jej miejsce i wysunęła głowę przez okno.

- Nie gniewaj się, ale nie wiem, czy natrafiłam na coś ważnego. Muszę jeszcze sprawdzić kilka rzeczy.

Emma uśmiechnęła się wyrozumiale i pomaszzerowała w stronę wejścia. Sydney patrzyła, jak znika w szpitalnym budynku. Czuła, że będzie jej brakowało Emmy, kiedy wyjedzie z Wallace. Nigdy dotąd nie spotkała kogoś takiego. Z westchnieniem wyprowadziła samochód na drogę do Rosehill.

Była tak pogrążona w myślach, że nie zauważyła, kiedy ją przebyła. Wspaniała siedziba senatora wyrosła przed nią niespodziewanie za kolejnym zakrętem. Wysiadła z samochodu i poszła w górę szerokimi, białymi schodami. Nacisnęła dzwonek, postanawiając sobie w duchu, że przez cały czas wizyty ani razu nie pomyśli o Clayu, Drew, tajemnicy Andrew i Mary.

- Witam, Sydney.

W progu stał doradca senatora, John. Podskoczyła, jakby zobaczyła... ducha.

- Chyba cię nie przestraszyłem. Myśлами byłeś bardzo daleko. - Ruchem ręki zaprosił ją do środka. - Muszę cię przeprosić, ale senator z żoną nie skończyli jeszcze konnej przejażdżki. Wrócą lada chwila.

- Doskonale. Przyjechałam trochę za wcześnie. Poszła za nim do gabinetu senatora. Pozwoliła poczęstować się kawą. Kiedy John podszedł do stolika, Sydney spojrzała na stojący na biurku Fowlera komputer.

- Kto zwykle w tym domu pracuje na komputerze?

- Na ogół ja. Chociaż senator czasem też. Lauren ma swój na górze.

Oczywiście. To by było zbyt proste. W zadumie piła kawę, a John podszedł do biurka i wziął z niego jakieś papiery.

- Senator z żoną codziennie jeżdżą konno? - spytała w końcu, po czym wyjęła z torby magnetofon i postawiła go obok siebie. Potem sięgnęła po pióro i notes.

- Tak. - John rzucił okiem na magnetofon. - Jest już włączony?

- Nie. Dlaczego?

Kiedy podszedł do niej bliżej, zobaczyła ostre rysy i przebiegłe, chłodne oczy.

- Doszły nas jakieś dziwne wieści. Mam nadzieję, że nie słuchasz wszystkiego, co ludzie mówią. Często są to bzdury. Zawsze lepiej wszystko najpierw sprawdzić. Byłbym niepokieszony, gdyby ktoś próbował cię wprowadzić w błąd.

- Jestem ci bardzo wdzięczna. - W głosie Sydney brzmiała nieomal słodycz. - Naprawdę, John. Ale ja nigdy nie publikuję rzeczy nie sprawdzonych.

John odetchnął z ulgą.

- Miło to słyszeć. Bardzo rozsądnie. Trzeba ci wiedzieć, że w naszym mieście nie brakuje ludzi, którzy chcą zaszkodzić senatorowi Fowlerowi. - Sięgnął po filiżankę. - Jak ci zapewne

wiadomo, zostałaś wybrana, żeby przeprowadzić ten wywiad, ze względu na środowisko, z jakiego pochodzisz. Wielce to korzystne dla twojej kariery zawodowej.

Sydney zeszywniała.

- Środowisko korzystne dla kariery? Nie rozumiem. Jakoś dziwnie mówisz. Wydawało mi się, że wybrano właśnie mnie ze względu na to, co dotychczas zrobiłam jako dziennikarka.

- Oczywiście, oczywiście, to też. Ale fakt, że jesteś nie tylko świetną dziennikarką, ale ponadto osobą z dobrego teksańskiego domu, bardzo ci pomógł. Ostatecznie zdecydowało to, że jesteś córką swojego ojca.

Mówił dalej, nie zauważając, że twarz Sydney raz blednie, raz czerwienieje.

- Oczywiście wszystko najpierw sprawdziliśmy. Pisujesz pod panińskim nazwiskiem matki, ale z przyjemnością dowiedzieliśmy się, że jesteś córką Toma Shannona. To wiele wyjaśnia.

Miała chęć rzucić się na niego i wtłoczyć mu siłą do gardła te podłe, nikczemne słowa. Zamiast tego mogła jedynie zacisnąć dłonie na poręczy fotela, aż zbiały kostki, i w napięciu śledzić poruszające się usta mówiącego. Doradca senatora brnął dalej, nie zdając sobie sprawy, jak bardzo szkodzi sobie, senatorowi i całej sprawie.

- James Fowler zapewne niedługo zostanie prezydentem. Ani on, ani ja nigdy nie zapominamy o naszych przyjaciółach, ani... o wrogach, oczywiście. Warto o tym pamiętać. James polubił cię. Ceni sobie twoją dotychczasową pracę i jeśli będziesz rozsądna, możesz liczyć na to, że cię doceni w przyszłości. Może nawet z czasem zaproponuje ci pracę w biurze prasowym prezydenta.

Sydney milczała. Wiedziała, że najlepiej nie odpowiadać na tego rodzaju impertynencje. Patrzyła na niego z kamienną twarzą, bez uśmiechu, bez wyrazu, tak jakby jego wątpliwej jakości komplementy spływały po niej jak woda po gęsi. Jej umysł pracował jednak na pełnych obrotach. W głowie układała odpowiedź, sarkastyczną, zjadliwą, inteligentną ripostę... Opanowana i chłodna, zamierzała właśnie odpowiedzieć doradcy senatora tak, jak na to zasługiwał, kiedy nagle drzwi się otworzyły i dobiegł ją dźwięczny śmiech...

W progu stała najładniejsza para, jaką można sobie wyobrazić. Pasowali do siebie idealnie. Wysocy, przystojni, roześmiani i bardzo szczęśliwi. James i Laureen Fowler. Widywała ich już razem w Waszyngtonie na oficjalnych przyjęciach, ale nigdy nie zwróciła uwagi na to, jak pięknie razem wyglądają. John powiedział, że są na konnej przejażdżce, co zasugerowało jej, iż zobaczy jeźdźców w angielskich strojach do konnej jazdy. Tymczasem miała przed sobą dwoje młodych ludzi w dżinsach, długich butach i kowbojskich kapeluszach. Nie wiedzieć czemu, sprawiło jej to przyjemność.

James powitał ją wylewnie, Laureen - dość chłodno. Podczas gdy John dwoił się i troił, żeby spełnić niezbyt wygórowane zachcianki senatora i jego żony, ograniczające się do filiżanki kawy, obserwowała szczęśliwą parę. Czuła, że ona również jest obserwowana. Laureen nie spuszczała z niej spojrzenia. Wrogięgo spojrzenia. Powodu tej wrogości Sydney nie mogła zrozumieć.

Wiedziała z doświadczenia, że atak jest najlepszą obroną, ale nie wiedziała, przed czym ma się bronić. Powód lodowatego spojrzenia tej kobiety był dla niej zagadką. Odwróciła się i włączyła magnetofon. James Fowler spojrzał na Sydney.

- Czy mogę chociaż usiąść?

- Bardzo proszę i przejdźmy od razu do rzeczy. Chciałabym zadać panu kilka pytań, senatorze. Przed wyborami obiecywał pan wyborcom, że zajmie się pan sprawą rządowych wydatków. Jednak, jak widzę, dotychczas nie zrobił pan w tej sprawie nic. Rząd w dalszym ciągu marnotrawi pieniądze na rzeczy, które opinii publicznej wydają się całkowicie zbędne. Ostatnio Kongres przeznaczył kwotę dwustu tysięcy dolarów na badanie życia płciowego przepiórek, pięćset tysięcy dolarów na budowę kopii piramidy Cheopsa na terenie stanu Indiana, prawie czterysta tysięcy dolarów na promocyjną sprzedaż nasienia byków i czterysta sześćdziesiąt pięć tysięcy na takąż sprzedaż pieczonych kurcząt. Dodajmy, że trzydzieści siedem tysięcy przeznaczono na badania jakości nawozów zwierzęcych w Michigan. Podatnicy nie mogą zrozumieć powodów takich decyzji i są nimi zdumieni.

Istnieje przekonanie, że nikt właściwie nie sprawuje kontroli nad budżetem państwa. Nie można wykluczyć, że taki stan rzeczy spowoduje, iż w przyszłości podatnicy zawahają się przed oddaniem głosów na osoby obecnie sprawujące władzę. Polityka gospodarcza Waszyngtonu nie wzbudza zaufania, a nadmierne, niczym nie usprawiedliwione wydatki budzą zrozumiały niepokój opinii publicznej. Jak bowiem można wytłumaczyć fakt, że przeznaczono trzysta siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów na renowację salonu piękności w Białym Domu, dwadzieścia pięć tysięcy na wyposażenie nowych sal gimnastycznych, dwa miliony na wymianę mebli w Senacie, dwieście tysięcy na instalację nowego oświetlenia w salach posiedzeń i aż osiem milionów na zainstalowanie nowych wind? A propos, czy senatorowie nie potrafią chodzić?

- O Boże! - jęknęła Lauren - zmiłuj się nad nami. Mówisz zupełnie jak ci nawiedzeni społecznicy z kanapowych partyjek.

Skrzywiła się jak na wspomnienie czegoś wyjątkowo obrzydliwego.

Sydney z satysfakcją zauważyła, że senator i John nie są zadowoleni z niewczesnej wypowiedzi pani domu.

- Nie jestem nawiedzona, Lauren. Po prostu wiem, co mówię. Od lat prowadzę swoją kolumnę w „D.C. Watch”.

- Jestem pewien, że moja żona nie chciała... - zaczął James i umilkł, uśmiechając się z zażenowaniem. Nie ulegało wątpliwości, że każde słowo może tylko pogorszyć sytuację.

Lauren Fowler była osobą opanowaną i zaprawioną w politycznych bojach. Nie można jej było odmówić ani sprytu, ani przebiegłości. Wszyscy wiedzieli, że mówi tylko to, co chce powiedzieć. Miała zbyt wielkie doświadczenie i zbyt wielkiego nosa. Nie na darmo prowadziła firmę liczącą się na rynku, i to nie tylko amerykańskim. Ktoś tego formatu nie będzie się wdawał w bezsensowną dyskusję z jakąś dziennikarką. Szkoda czasu i energii.

Sydney miała świadomość, że Lauren odgrywa u boku senatora rolę nie tylko żony. James Fowler konsultuje z nią każdą poważniejszą decyzję. Jest jego najbliższym doradcą i najbardziej aktywnym współpracownikiem. Nie ulega wątpliwości, że skoro senator zadał sobie trud sięgnięcia po życiorys dziennikarki, która miała przyjechać do niego na wywiad, to jego żona zrobiła to samo. Zatem wie o niej wszystko. To znaczy, zna przebieg jej dotychczasowej kariery i życie prywatne w głównych zarysach. Pogardliwa uwaga o „nawiedzonych” była zatem pomyślana jako celowa

złośliwość, a nie jako lapsus. Sydney wiedziała to równie dobrze jak senator i John. Z tą różnicą, że ten pierwszy był tym wyraźnie zdumiony, drugi natomiast - przyjął to określenie z pełną aprobatą i satysfakcją.

James Fowler wyprostował się w fotelu. Widać było, że szykuje się do riposty.

- Sytuacja nie jest aż tak tragiczna. W większości przypadków prezydent skorzystał ze swego prawa i nie zatwierdził niektórych rachunków. Niestety, pojawiły się przecieki i wszystko przedostało się do gazet. A te jak zwykle sprawę rozdmuchały. Nie zamierzam nikogo usprawiedliwiać. Wszędzie, w każdej partii, w każdym środowisku, w każdym rządzie można znaleźć ludzi nieuczciwych, kierujących się wyłącznie własnym interesem. Sprzedajni politycy zawsze byli, są i będą. Nie ma ludzi nieomylnych. Każdemu zdarza się popełniać błędy, bez względu na to, czy jest senatorem, prezydentem, czy zwykłym zjadaczem chleba. Trzeba pamiętać, że wyborcy sami wybierają swoich przedstawicieli i tylko oni mają prawo ich odwołać. Natomiast za niewłaściwy wybór mogą winić tylko i wyłącznie siebie.

- Zrobił pan unik, senatorze. Nie odpowiedział pan na moje pytanie.

Była głęboko rozczarowana. Zawiodła się na nim. Robił wrażenie człowieka stanowczego i uczciwego, a odpowiadał jak zawodowy krętacz. Czyżby kilka lat spędzonych na wysokim stanowisku aż tak go zdemoralizowało? Czy i w przypadku Jamesa Fowlera sprawdzało się stare powiedzenie, że „punkt widzenia zależy od punktu siedzenia”? Przykre, ale prawdziwe. Skrzywiła się. Chyba najwyższy czas pogodzić się z tym, że nie ma ludzi nieposzlakowanych, że pieniądze i zaszczyty zniszczą każdego. Korupcja jest nieodłącznym elementem władzy. Naiwność w podobnych przypadkach jest po prostu śmieszna.

James Fowler poprawił się w fotelu.

- Myśli pani pewnie, że władza mnie zdemoralizowała - powiedział, widząc jej pełną dezaprobaty minę.

- To nieprawda. Po prostu zdobyłem pewne doświadczenie. Kilka lat urzędowania wiele człowieka uczy. Jako osoba rozsądna jest pani w stanie to zrozumieć. Nie można zgodzić się na objęcie pewnej funkcji, a potem niszczyć wszystko od środka. Człowiek dostosowuje się do zastanych struktur. Nie można wymagać, aby one dostosowały się do niego, tym bardziej że w ich obrębie można zrobić wiele dobrego. Zwłaszcza gdy się nie działa w pojedynkę. - Senator obrzucił Sydney uważnym wzrokiem.

- W Waszyngtonie jest kilka osób myślących podobnie jak ja i razem stanowimy zgrany zespół. Potrafimy stawić czoło nieprawidłowościom, ale na to trzeba czasu. Czasu i doświadczenia. Walenie głową w mur niczego nie załatwia. Sprawy, o których pani wspomniała, wymagają dokładnego zbadania. I zbadamy je we właściwym czasie, może być pani spokojna. Znajdziemy winnych. Zdaję sobie sprawę z faktu, że konieczne są głębokie zmiany. Ten kraj czeka na zmiany. Potrzebuję tylko trochę czasu i nieco większych możliwości. Może kiedyś nadejdzie dzień, w którym będę mógł zrobić więcej dla tego kraju i jego obywateli.

Przemawiał tak żarliwie i szczerze, że gotowa była mu uwierzyć. Wiedziała jednak, że deklaracje polityków nie są równoznaczne z chęcią podjęcia skutecznej walki z machiną biurokratyczną.

Rozmawiali tak przez trzy godziny. Od czasu do czasu ich dialog przerywała Lauren albo John, dopowiadając coś lub komentując. Pod koniec wywiadu Sydney nagrała z obojgiem krótkie rozmowy. Kiedy doszła do wniosku, że skończyła z właściwym tematem, postanowiła przez chwilę porozmawiać o czymś innym.

- Zajął pan kontrowersyjne stanowisko w sprawie amerykańskich Indian i ich postulatów dotyczących prawa do części dawnych ziem. Politycy z pańskiej partii na ogół wypowiadają się w tej sprawie zupełnie inaczej. W całej rozciągłości poparł pan żądania Indian, mówiąc, że wymaga tego elementarne poczucie sprawiedliwości. Biuro do Spraw Indian bardzo stanowczo potępiło pańskie stanowisko w tej sprawie. Czy mógłby pan nam coś powiedzieć na ten temat, senatorze?

- Jak wiadomo, Biuro zawsze przeciwstawia się wszystkiemu, co chcę zrobić, i robi to bardzo skutecznie, szermując przy okazji hasłem „wszystko dla dobra Ameryki”. Na moją propozycję, aby część terenów zwrócić prawowitym właścicielom, zareagowano bardzo gwałtownie. Należy przy tym zaznaczyć, że moja propozycja dotyczyła jedynie bardzo niewielkiej części parku narodowego. Spróbujmy sobie wyobrazić, że podobny problem istnieje w jakimś innym kraju, z dala od Ameryki. Czy nie zabralibyśmy głosu w tej sprawie? Czy nie domagalibyśmy się sprawiedliwości na forum międzynarodowym? Czy patrzylibyśmy beczynn timer, jak łamie się prawa człowieka? Odpowiedź na te pytania bardzo wiele wyjaśnia. Walczymy o prawo do wolności daleko od naszego domu, nie zwracając uwagi na to, co się dzieje na naszym własnym podwórku. Najwyższy czas rozejrzeć się wokół i oddać sprawiedliwość ludziom, którzy byli pierwszymi mieszkańcami tej ziemi.

Brzmiało to bardzo pięknie i słuchałaby słów senatora z przyjemnością, gdyby nie rodzące się w głębi duszy brzydkie podejrzenia. Nie na darmo była - jak sam powiedział - osobą rozsądną.

- Bardzo to szlachetne. Całkowicie podzielam pańskie zdanie, senatorze. Jednak już nieraz podejmowano te kwestie, z podobnym jak pan skutkiem. To znaczy całkowicie bezskutecznie.

- Dziękuję za zrozumienie.

Senator przyjął do wiadomości jedynie pierwszą część wypowiedzianego przez nią zdania i z satysfakcją rozparł się w fotelu.

- Mam nadzieję, że moje starania w tej sprawie skończą się lepiej niż moich poprzedników - dorzucił po chwili i dodał: - Czy teraz ja mogę panią o coś zapytać?

- Oczywiście, bardzo proszę.

- Czy mogłaby pani wyłączyć magnetofon?

Sydney spełniła jego prośbę.

- Gdy się mieszka w małym miasteczku, nie można nie wiedzieć o wszystkim, co się w nim dzieje - zaczął. - Dowiedziałem się właśnie, że wczoraj wieczorem ktoś włamał się do domu Emmy Paulson i niczego nie zabrał.

Z przyjemnością pomyślała o Howardzie. Jak na policjanta z małego miasteczka, jest wyjątkowo dyskretny. Najwyraźniej nikomu nie wspomniał o skradzionych dyskietkach i zawartości komputera.

- To prawda. Ze słów Emmy wynika, że niczego nie skradziono. Wygląda na to, że ktoś chciał splądrować dom bezinteresownie. Chuligański wybryk.

Senator pokręcił głową z dezaprobatą.

- Zanim tu pani przyjechała, to miasteczko było oazą spokoju. Nic się tu nie działo, ludzie żyli jak u pana Boga za piecem. Potem wydarzył się ten wypadek niedaleko

Piney Creek Road, następnie epizod w restauracji... Nie wiem, czy Drew zrobił to świadomie, bo chciał włożyć kij w mrowisko, czy tylko tak wyszło. W każdym bądź razie porządnie wszystkich zbulwersował. To bardzo do niego pasuje. Ma dość osobliwe poczucie humoru i nigdy nie wiadomo, czego się po nim spodziewać. Co to za historia z tym Andrew Joshua?

Sydney wyczuła, że po tym pytaniu atmosfera w pokoju zmieniła się całkowicie. Zapanowało napięcie, krótka chwila milczenia zrobiła się nagle bardzo długa i niezręczna. Laureen nerwowo zerknęła w bok. John był wyraźnie skrepowany. Nawet sam senator jakby nagle pożałował swojego pytania. Sydney szybko powzięła decyzję. Opowie im wszystko. Przecież i tak wiedzą już o całej sprawie wystarczająco dużo, a co do wiary w duchy... Ta trójka może mieć do duchów stosunek wyłącznie sceptyczny.

- Tego wieczoru, kiedy była ta straszna burza... - zaczęła i kontynuowała opowieść w całkowitej ciszy. Kiedy skończyła, pierwsza odezwała się Laureen:

- Oczywiście, że to był Drew. Któż by inny? To całkiem w jego stylu. Ponadto, jak wszyscy wiemy, jest do Andrew bardzo podobny. Zawsze słyszałam, że są do siebie podobni jak dwie krople wody. Wszyscy w miasteczku tak mówią. Nie rozumiem tylko, dlaczego teraz wszystkiego się wypiera.

John Laker był oczywiście dokładnie tego samego zdania. Wzbogacił je jednak o komentarz.

- Trzeba być doprawdy dziwnym człowiekiem, żeby się upierać, że nie było się tam, gdzie się było.

- Nie sądzę, żeby to był Drew. - Sydney usłyszała swój głos, zanim zdążyła się zastanowić nad tym, co właściwie chce przekazać swoim słuchaczom. - Coś takiego zdarza mi się oczywiście po raz pierwszy w życiu. Najpierw myślałam, że to był Drew, potem próbowałam uznać wszystko za majaki, ale skąd mogłam znać imiona Andrew Joshua? Nigdy o nim nie słyszałam, nigdy nie byłam w Wallace. Widziałam portret, który potem zobaczyłam tutaj w salonie. Tamtej nocy widziałam portret Mary Clayton-Wallace. Taki sam jak ten tutaj nad kominkiem.

Nikt się nie odezwał. Senator chrząknął i Sydney spojrzała na niego.

- Nic pan nie mówi.

- Jestem zdumiony tym, co usłyszałem. Pomijając wszystko, dlaczego powiedział ci, że znalazł Mary? Przecież nigdy nie odnaleziono jej ciała, a tu nagle ktoś oświadcza, że właśnie je znalazł. Dziwne, bardzo dziwne... Jeśli naprawdę je odnalazł, to może i reszta tej tajemniczej historii się wyjaśni. I to raz na zawsze.

- James. - Laureen spiorunowała męża wzrokiem. - Przecież nie wierzysz w duchy. Nikt nie wierzy. Andrew Joshua umarł sto lat temu i nie ma powodów...

- Kochanie, na świecie zdarzają się różne dziwne rzeczy.

- Daj spokój. Robi mi się niedobrze na samą myśl o Wallace'ach.

- Laureen, nie mów tak - senator zganił łagodnie małżonkę.

Nieoczekiwane wyznanie żony wyraźnie go nie zdziwiło.

Sydney obserwowała ich zafascynowana, pragnąc jedynie, by grali dalej. Wzajemny stosunek tej niezwyklej pary coraz bardziej ją interesował. Niestety, Laureen w porę się zmytygowała. Jej piękna twarz znowu zamieniła się w nieprzeniknioną maskę.

- Przepraszamy, Sydney, ale cała ta wymiana zdań została spowodowana tym, że moja żona znacznie częściej przebywa z moim ojcem niż ja. Ojciec jest wiekowym człowiekiem i bez przerwy mówi tylko o Fowlerach i Wallace'ach. Od lat utrzymuje, że tamten dawny proces przeprowadzono nieprawidłowo i z prawnego punktu widzenia był skandalem. Darcy i stary Jacob nie mogli być obiektywni. Nienawidzili oskarżonego. Mój ojciec, kiedy wycofał się z interesów i przestał zarządzać towarzystwem naftowym, na czele którego stał przez ostatnie pół wieku, zajął się historią rodziny. Genealogia stała się jego prawdziwą pasją. Prowadził poważne badania i zgromadził bardzo dużo materiałów dotyczących obu rodzin, Claytonów i Fowlerów.

- Ma dokumenty dotyczące historii rodziny? - spytała Sydney z niedowierzaniem.

- Całe stosy. - Senator uśmiechnął się, jakby zainteresowania ojca były tylko niegroźną manią. - Ma wszelkiego rodzaju zaświadczenia, akty kupna, świadectwa urodzin i ślubów, stare listy, artykuły z gazet, prywatne zapiski. Ma wszystko, co dotyczy naszej rodziny. Samuel Clayton był ojcem Mary, a Darcy jej kuzynem. Mnie te sprawy nigdy nie interesowały, dlatego niewiele o tym wiem. Ojciec przeciwnie. Dlatego biedna Laureen musiała wysłuchać wielu nie kończących się historii z życia naszych przodków.

Sydney nie potrafiła ukryć zaciekawienia. Czyżby klucz znajdował się właśnie u ojca senatora? Czy zagadka, której nie można było rozwiązać za pomocą papierów wręczonych jej przez Claya, zostanie rozwikłana za pośrednictwem starego pana Fowlera?

- Nigdy nie przeglądał pan nawet tamtych papierów?

- Unikałem tego jak ognia. Ale czytałem coś niecoś o samym procesie i muszę powiedzieć, że pod tym względem całkowicie zgadzam się z moim ojcem. Darcy i jego ojciec nie powinni brać w nim udziału. Byli osobiście zaangażowani w sprawę. Takie rzeczy nie powinny mieć miejsca.

Sydney spojrzała mu w oczy poważnym, przenikliwym wzrokiem.

- Clay dal mi całą paczkę różnych dokumentów dotyczących śmierci Mary. Są tam dokumenty procesowe, protokoły posiedzeń, notatki z przebiegu procesu, zeznania świadków. Na podstawie tego wszystkiego muszę powiedzieć, że nic nie wskazuje na to, iż Andrew Joshua zabił żonę. Przeciwnie, niemało wydaje się świadczyć o tym, że był niewinny.

Poczuła, że wiele ryzykuje. Cała jej dziennikarska kariera została uzależniona od faktu, czy senator wierzy w duchy...

Patrzył na nią dziwnie.

- Myśli pani, że to Darcy ją zamordował, prawda? - powiedział wreszcie.

- Nie wiem, kto ją zabił. Wiem tylko, że Andrew Joshua tego nie zrobił. Nie mógł. Bardzo bym chciała porozmawiać o tym wszystkim z pana ojcem. Jak pan myśli, zgodzi się na spotkanie?

Twarz senatora spoważniała.

- Ojciec ma chorobę Alzheimera. Zapadł na nią pięć lat temu i wszystko poszło dość szybko. Bardzo niewiele pamięta, czasem nawet mnie nie poznaje. Rozmowa z nim jest niemożliwa.

- Przepraszam - szepnęła zawstydzona. - Ale proszę mi powiedzieć, czy pan prowadzi jakiś dziennik? Mam na myśli codzienne zapiski.

- Tak. Dlaczego pani pyta?

- Prawie wszyscy politycy tak robią. Może Darcy i sędzia Jacob Fowler też pisali pamiętniki...

Senator wybuchnął śmiechem.

- Zapisali całe tony papieru.

- Mogłabym je przejrzeć?

- Oczywiście. Tylko nie bardzo wiem, gdzie one są. Kochanie - zwrócił się do żony - czy te papiery są może u ojca?

Laureen, pozornie nie zainteresowana rozmową, siedziała zwrócona do nich bokiem i piła kawę. Spojrzała na męża, jakby wyrwana z głębokiego snu.

- Papiery? Ach, tak, te papiery ojca. Nie mam pojęcia, gdzie mogą być. Od lat ich nie widziałam.

Sydney poczuła, że ktoś tu kłamie. Była zbyt doświadczonym dziennikarzem, żeby nie zauważyć, że coś jest nie tak. Albo senator udaje, że chce jej wspaniałomyślnie dostarczyć upragnionej lektury, albo jego żona kłamie, mówiąc, że nie wie, gdzie znajdują się dokumenty. Nie dane jej było długo rozmyślać. Następne słowa senatora zelektryzowały ją.

- Kochanie, może byś zajrzała do ojca i zapytała pielęgniarkę, w jakiej jest dzisiaj formie. A nuż jest z nim nieco lepiej... Niewykluczone, że uda się od niego dowiedzieć, gdzie są te papiery. My też możemy poszukać u nas na strychu. Bardzo bym chciał, żeby ta sprawa raz na zawsze się wyjaśniła. Nie znoszę niedomówień. Zwłaszcza jeśli ciągną się od ponad stu lat.

Zamilkł i zapatrzył się w okno.

- Niezbyt wiele wiem o tych dokumentach. Ojciec, kiedy był zdrowy, zbyt często o nich mówił, dlatego prawie go nie słuchałem. Nawet teraz nieraz o tym wspomina. Przypominam sobie, jak kiedyś powiedział, że któryś z tomów mu zginął albo przepadł. Nie dopytywałem się, o co chodzi, bo mnie to nie interesowało. Jak widzę, niesłusznie. - Powiódł wzrokiem po obecnych. - Nic więcej nie pamiętam.

Uśmiechnął się smutno i objął żonę ramieniem.

- Nie patrz tak na mnie, wszystko będzie dobrze.

Porozmawiamy sobie z duchem i wszystko się wyjaśni. Powiedział to bez uśmiechu, bez ironii. Ostry dźwięk telefonu sprawił, że podskoczyli. John poszedł odebrać. Po chwili wrócił.

- To do pana, senatorze. Z Senatu.

Sydney szybko wstała. Upредиła nawet samego senatora. Szybko schowała magnetofon do torby i rzekła:

- Nie będę przeszkadzać. Bardzo dziękuję za rozmowę. Nasi czytelnicy będą bardzo wdzięczni.

- Przesada. - Serdecznie uściskała jej rękę. - Może uda nam się razem wyjaśnić tamtą starą historię. Bardzo bym chciał. Może pani przyjść jutro?

- Sądzę, że tak. Przedtem zadzwonię.

- Doskonale. Laureen panią odprowadzi.

Laureen w milczeniu ruszyła przodem i Sydney nieomal czuła jej wrogość. Od idącej przed nią kobiety emanował taki chłód, że mimo woli wzdrygnęła się. Mijały właśnie salon. Sydney zwolniła kroku i spojrzała na wiszący nad kominkiem portret Mary Clayton-Wallace.

- Czy mogę na nią spojrzeć?

- Bardzo proszę.

Głos królowej lodu zabrzmiał tak, jakby z całej duszy chciała zasłużyć na nadane jej przez Sydney przezwisko.

Sydney podeszła do portretu.

- Mary była bardzo piękna, prawda?

Mówiąc to zdała sobie sprawę, że portret wygląda nieco inaczej niż poprzednio. W zielonych oczach Mary dostrzegła coś jakby radość, kąciki jej ust leciutko uniosły się w uśmiechu...

- Owszem. Miała znakomitą cerę i doskonałe rysy twarzy. - Suchy ton Laureen podkreślił precyzję fachowej terminologii. - Sydney - dodała po chwili - ty chyba wiesz, że Wallace'owie tobą manipulują. Starają się wykorzystać niejasności związane ze śmiercią Mary, żeby zaszkodzić mojemu mężowi.

Powiedziała to zupełnie innym tonem, tak jakby głos nie należał do tej samej osoby.

Sydney odwróciła się. Twarz Laureen nareszcie coś wyrażała.

- Nie sądzę. Twój mąż też zresztą chyba nie. Nie wygląda na przejętego tą sprawą.

- Mój mąż wierzy, że istnieje coś takiego jak prawda obiektywna - stwierdziła Laureen z goryczą w głosie. - Zawsze taki był. Jestem tylko zdumiona, że ty dałaś się tak łatwo nabrać. Przecież jest oczywiste, że chodzi im tylko o jedno: chcą nam odebrać Rosehill. Zawsze do tego dążyli.

Sydney spojrzała na nią ze zdumieniem.

- Co takiego? Chcą wam odebrać Rosehill?

Laureen wzruszyła ramionami.

- Nic ci nie powiedzieli? Sama widzisz, jacy są sprytni. Nasza posiadłość została zbudowana przez Jean-Luca Darcy, ale przeszła w ręce Claytonów, gdy Samuel ożenił się z jego córką. Kiedy Andrew Joshua zabił Mary, stary Samuel oszalał z rozpacz. Jego jedynym dziedzicem powinien być Clay Wallace, ale on znienawidził to dziecko. Nie cierpiał małego, nigdy nie chciał go widzieć, nie pomagał mu, nie interesował się nim. Małym Clayem zajmowali się jacyś dalecy krewni jego ojca.

Laureen znowu spojrzała na portret Mary.

- Smutna historia. Kiedy Samuel umierał, przekazał cały majątek siostrze swojej żony, Rosehill też. W ten sposób matka Darcy'ego odziedziczyła wszystko. Stary Sam chciał w ten sposób mieć pewność, że nic, co do niego należy, nie dostanie się w ręce żadnego z Wallace'ów. Wszystko miało zostać w rodzinie Claytonów. Krewni wychowujący Claya starali się obalić testament i wywalczyć coś dla chłopca, ale nigdy im się to nie udało. I tak to wygląda.

Sydney czuła się, jakby ją spoliczkowano. Utkwiła wzrok w portrecie, starając się, żeby Laureen nie dostrzegła wyrazu jej twarzy. Wiedziała, że musi wyglądać okropnie. Musi mieć na twarzy

wypisane to, co czuje, a czuła się strasznie. Dlaczego nic jej nie powiedzieli? Dlaczego ani Drew, ani jego dziadek nie pisnęli na ten temat słowa? Patrzyła uporczywie na Mary. Opanowywała się z trudem, czerpiąc siły z pięknej, wpatrzonych w nią twarzy na portrecie. W końcu wyprostowała się, zebrała w sobie i odwróciła w stronę Laureen.

- Nie sądzę, żeby chodziło im o coś, co ma związek z ziemią albo z majątkiem. W tej sprawie idzie o coś zupełnie innego: o miłość i sprawiedliwość. A właściwie przede wszystkim o miłość; o miłość, która silniejsza niż śmierć staje się źródłem prawdy i sprawiedliwości. Bo na świecie nie ma nic oprócz miłości. Bardzo pocieszające, prawda?

Sydney jeszcze raz spojrzała na Mary i pomaszerowała za swoją przewodniczką w stronę wyjścia.

Kiedy doszły do samochodu, Sydney usiadła za kierownicą i już miała ruszyć, kiedy Laureen przytrzymała drzwiczki.

- Bardzo cię polubiłam, Sydney. Kiedy skończysz ten wywiad, wpadnij do któregoś z moich salonów albo lepiej przyjedź do mnie na jakiś czas wypocząć. Musisz się zrelaksować, pomyśleć o przyszłości. Przecież nie chcesz chyba na zawsze zostać zwykłą dziennikarką. Co byś powiedziała o tygodniu w jakiejś cudownej miejscowości? Oczywiście, wszystko na mój koszt.

Sydney przełknęła ślinę, żeby nie wybuchnąć. Cios był silny. Najpierw tamten bubek proponuje jej pracę w biurze prasowym prezydenta, a teraz królowa lodu wyjeżdża z pobytem w jakiejś „cudownej miejscowości”. Oczywiście na jej koszt.

- Serdecznie dziękuję, Laureen - wykrztusiła - ale nie bardzo lubię jeździć do cudownych miejscowości. Nie pasują do mnie. Są zbyt ekskluzywne. Salony piękności też.

Spróbowała zatrzasać drzwiczki samochodu, ale Laureen trzymała je mocno.

- Sydney, ja naprawdę kocham mojego męża. James to dobry i uczciwy człowiek. Pewnego dnia może nawet zostać prezydentem. Będzie znakomitym prezydentem dla tego kraju. Bardzo proszę, nie rób nic, co mogłoby mu zaszkodzić.

Sydney zdawała sobie sprawę, ile takie wyznanie musiało ją kosztować. Zamknęła drzwiczki samochodu i wychyliła głowę przez okno.

- Ja też jestem pewna, że senator będzie bardzo dobrym prezydentem.

Po czym, mimo wcześniejszych postanowień, że sprawę kradzieży dyskierek zachowa w tajemnicy, dodała, żeby zobaczyć reakcję przeciwniczki:

- Skłamałam przedtem, mówiąc, że z domu mojej przyjaciółki niczego nie skradziono. Zabrano stamtąd coś, co może skrzywdzić kogoś, kto wcale na to nie zasługuje.

Reakcja Laureen rozczarowała ją. Królowa lodu zatrzepotała tylko długimi rękami.

Wzięła kurs na Kasztanowy Dwór. Szybko odnalazła znajomą drogę, przebyła dębową aleję, wbiegła na szerokie, trzeszczące schody i zastukała do drzwi. Uchyliły się pod jej dotknięciem, a potem rozwarły na oścież.

Fala muzyki uderzyła w nią z taką siłą, że zachwiała się w progu. A ponieważ w takich warunkach nie mogło być mowy o tym, żeby uprzedzić gospodarza o przybyciu gościa, weszła do środka. Była potwornie spięta, zmęczona i zdenerwowana.

Drew znajdował się w pomieszczeniu, które prawdopodobnie miało być salonem. Z brudnych ścian płatami odchodziła farba i strzępy starej tapety. Wysoko pod sufitem umieszczone były głośniki, z których płynęła muzyka. Jeśli nie liczyć ogromnego wentylatora, pomieszczenie było całkowicie puste. Z obdrapanymi ścianami przedziwnie kontrastowała podłoga, a właściwie cudowny, lśniący niczym lustro albo powierzchnia stawu drewniany parkiet. Na środku pokoju, tyłem zwrócony do drzwi, stał mężczyzna. Był rozebrany. Miał na sobie tylko dzinsy opinające biodra. Nie słyszał, jak weszła.

Przystanąła w drzwiach i popatrzyła na niego. Jej twarz złagodniała. Zmęczenie i napięcie długiego, trudnego dnia zaczęło z wolna ustępować. Przesunęła wzrokiem po długich nogach, muskularnych plecach, gołych ramionach, ciemnych włosach.

Drew musiał wyczuć obecność Sydney, bo odwrócił się nagle, ukazując opalony tors. Uderzyło ją spojrzenie niezwykle, zielonych oczu. Poczwała na sobie ich dotyk, intensywnością przypominający laserowy promień. W pomieszczeniu nagle zrobiło się bardzo gorąco, goręcej niż pod samym słońcem. Stała jak zahipnotyzowana, nie mogąc wymówić słowa ani uśmiechnąć się na powitanie. Drew coś powiedział. Widziała, jak jego usta poruszyły się, ale nie usłyszała go. Przyłożyła dłonie do uszu i potrząsnęła głową, dając do zrozumienia, że muzyka jest zbyt głośna.

Ściszył aparaturę, podszedł do Sydney i przygarnął ją do siebie. Chciała się odsunąć, ale bijące od niego ciepło sprawiło, że pozwoliła się objąć. Była potwornie spięta, wcale nie chciała się z nim kochać. Dopiero po chwili zrozumiała, że on też tego nie chce, że zamierza z nią po prostu zatańczyć. Ale na taniec też nie miała ochoty. Najpierw chciała wyrzucić z siebie wszystko, co dręczyło ją od momentu, kiedy Laureen wspomniała o zakusach Wallace'ów na Rosehill. Drew mocno przytulił Sydney do siebie i zaczął kołysać w rytm płynącej z głośników melodii.

- Drew...

Mruknął coś, mocniej wtulił ją w siebie i zaczął masować jej kark. Nigdy z nikim w ten sposób nie tańczyła. Była tak blisko Drew, że całym ciałem czuła każde drgnienie jego ciała. Kiedy próbowała się odsuwać, Drew zdecydowanym ruchem przytulał ją znowu. Czuła, jak wtapia się w powolne, nastrojowe dźwięki muzyki i czuły głos piosenkarza.

Ciało Sydney odprężało się, jakby wbrew jej woli. Czuła, że zmęczenie i zdenerwowanie gdzieś się ulatniają. Tak jakby muzyka zmywała z niej niedobre podejrzenia i złe słowa ostatnich kilku godzin. Zamknęła oczy i wsłuchiwała się w słowa piosenki.

- Kto to śpiewa? - zapytała szeptem. Mógł ją pocałować. Mógł ją pocałować w każdej chwili, ale nie zrobił tego.

- Michael Bolton, głuptasie.

Mógł ją pocałować, mógł ją całować tak, jak poprzedniego wieczora, ale nie zrobił tego.

- Przecież to nie są lata sześćdziesiąte.

- Nie, ale śpiewa zupełnie tak samo. Mógł całować jej oczy, usta, mógł zrobić wszystko, ale nie zrobił nic.

- Co to za piosenka?

- „Nigdy już nie będę mógł żyć bez ciebie”. Ale nie mów tyle, tylko słuchaj, jak mężczyzna wyznaje kobiecie miłość.

Znowu przymknęła oczy i zrobiła, jak kazał. Jego ciało miało w sobie spokój i ukojenie. Gdyby chciał, mógłby teraz zrobić wszystko. Rozebrać ją i wziąć tutaj na podłozie. Nie opierałaby się. Mógł z nią zrobić wszystko. Teraz mógł jej powiedzieć wszystko. Mógł jej mówić o miłości, mógł ją prosić, żeby nie odjeżdżała, mógł ją namawiać, żeby została. Ale nie zrobił tego.

Muzyka umilkła i Sydney poczuła się oszukana. Rozczarowanie było tak wielkie, że przez dłuższą chwilę stała bez ruchu, jak marionetka, której zabrakło sterujących nią ludzkich rąk. Cisza, jaka zapanowała w pokoju, była tak wielka, że słychać było dwa mocno bijące serca. Czekala. Potem powoli uniosła głowę.

- Czy w tym domu jest gdzieś jakieś łozko?

- Oczywiście. W tym domu jest pięć sypialni.

- Powiedziałam „łozko”, taki miękki sprzęt, mebel, rzecz, na której się śpi, a czasem nawet można się kochać.

- Rozumiem. Mam coś takiego, takie ogromne, miękkie łozę, ale nie wiem, czy o to właśnie ci chodzi.

Miała ochotę krzyknąć, że chodzi jej dokładnie o to, ale się powstrzymała. Nagle ogarnęła ją niepewność. Może się wygłupiła? Może Drew prowadzi jakąś grę w sobie tylko znanym celu? Może to wszystko jest tylko jednym wielkim podstępem?

- Przestań - usłyszała.

- O co ci chodzi?

- Przestań tak myśleć, masz to wypisane na twarzy.

Przyciągnął ją do siebie i zaczął całować. Robił to długo i namiętnie, jakby chciał zaprzeczyć wszystkiemu, co przed chwilą pomyślała.

- Czy teraz już rozumiesz, jak bardzo cię pragnę i jak bardzo jesteś mi potrzebna? Rozumiesz, jak bardzo musiałem nad sobą panować, żeby cię nie wziąć tutaj, na tej podłozie, tak jak to zrobiliśmy wczoraj? Nie mogłem tego zrobić, bo wtargnęłaś do tego domu tak wrogo nastawiona, jakbyś wchodziła do jaskini smoka.

- Dlatego postanowiłem najpierw mnie oswoić za pomocą muzyki, tańca i tego wszystkiego?

Odsunęła się od niego.

- Tak. Miałaś taką minę, jakbyś się chciała rzucić na mnie z pazurami. A teraz powiedz mi, co się stało? - Wzniósł oczy, spojrział na pusty sufit i złożył ręce jak do modlitwy. - Boże, miej mnie w swojej opiece!

Roześmiała się. Drew miał wyjątkowy talent rozładowywania najtrudniejszych sytuacji. Ponadto sprawiał, że miała ochotę śmiać się z samej siebie.

Rozejrzała się po pokoju, żeby zyskać na czasie. Nie chciała jeszcze odpowiadać na jego pytanie.

- Sam to wszystko zrobiłeś?

- Bardzo to ładnie z twojej strony, że zauważyłaś moją pracę, ale może lepiej nie zmieniaj tematu.

Uśmiechnęła się. Zupełnie jakby czytał w jej myślach.

- Poczekaj, muszę odetchnąć. A ty mi opowiedz, co tutaj robisz. Wygląda na to, że remont. Te podłogi są przepiękne.

Zrozumiał, że nie należy jej ponaglać ani zmuszać do mówienia. Na razie lepiej rozmawiać o wszystkim i o niczym. Sydney sama zadecyduje, kiedy przejść do tematu, który wyraźnie wyprowadził ją z równowagi.

- Coś niecoś już zrobiłem. Przyglądałem się właśnie swojemu dziełu. Można powiedzieć, że z podłogą skończyłem. Też myślę, że dobrze wyszła.

- Dobrze to mało powiedziane. Jest cudowna, ale dlaczego zacząłeś remont od podłogi?

- Ponieważ wymaga najwięcej pracy. Zresztą nie znoszę malowania ścian, że nie wspomnę o kładzeniu tapet.

Objął ją i wyprowadził z pokoju.

- Chodź, pokażę ci dalszy ciąg. To znaczy, tylko odnowioną część domu. Reszta jest w takim stanie, że mogłabyś się przestraszyć.

Poprowadził ją długim korytarzem i popchnął duże, skrzypiące drzwi. Przytrzymał je. Poczła chłodne powietrze napływające ze środka. Drew wzdrygnął się, jego gołe ramiona pokryła gęsia skórka.

- Trochę tu zimno. Na razie zainstalowałem klimatyzację tylko w kuchni, sypialni i w mojej pracowni. Kiedy cały dom będzie już gotowy, każę założyć centralne ogrzewanie.

Weszli do środka. Bez słowa patrzył, jak Sydney ze zdumieniem rozgląda się po pomieszczeniu, w którym się znaleźli.

Nie mogła uwierzyć własnym oczom. Znajdowali się w ogromnej kuchni z kamiennym kominkiem i wydzieloną częścią, mającą służyć jako jadalnia. Jej wyposażenie przypominało zaplecze wytwornej restauracji. Lśniące blaty i komplety garnków różnej wielkości pozwalały domyślać się, że pan domu lubi gotować.

- Czy to znaczy, że oprócz tego wszystkiego jesteś na dodatek dobrym kucharzem?

- Jestem po prostu wszechstronnie utalentowany.

- Sam to wszystko zrobiłeś, boazerię, szafki i całą resztę?

- Clay trochę mi pomógł. On się na tym świetnie zna. Zresztą wszyscy w naszej rodzinie kochają drewno i po trafią się z nim obchodzić. Ale chodźmy dalej, pokażę ci górę.

Na piętro prowadziły szerokie, drewniane schody z ozdobną balustradą. Nie zapytała, czyim jest dziełem. Po chwili znaleźli się w obszernej, chłodnej sypialni. Drew pospiesznie zaczął zbierać porzucane ubrania. Na środku królowało ogromne, wygodne łóżko. Sydney odwróciła od niego wzrok i zmusiła się do spojrzenia w inną stronę.

W sypialni, podobnie jak w całym domu, znac było rękę mistrza. Starannie wykonane drzwi, okienne framugi i żaluzje potwierdzały opinię o stosunku Wallace'ów do pracy w drewnie. Sydney przyjrzała się wszystkiemu dokładnie. Ciepłe, naturalne kolory drewna żywo kontrastowały z jaskrawą barwą ścian. Po pierwszym szoku spowodowanym niezwykłym zestawieniem poczuła się w tym otoczeniu tak dobrze, jakby była tu od zawsze albo przynajmniej zawsze pragnęła się tu znaleźć.

Wygodne, drewniane meble o płynnych kształtach łączyły w sobie solidność antyku z nowoczesnością. Uśmiechnęła się do siebie. Jeszcze chwila, a dojdzie do wniosku, że te meble mają duszę. Przez moment zastanawiała się nad tą myślą. Przecież to zupełnie prawdopodobne, skoro są dziełem ludzkiego geniuszu. Drewno jest geniuszem, jest artystą. Sposób, w jaki urządził ten pokój, jest tego najlepszym dowodem. Westchnęła i spojrzała z podziwem na stojącego obok mężczyznę.

- To bardzo piękne. Jestem pod wrażeniem, naprawdę.

- Zobacz jeszcze to.

Otworzył jakieś drzwi i wprowadził ją do najwspanialszej łazienki, jaką kiedykolwiek widziała.

Pomieszczenie było tak duże, że pobieżne obejrzenie wszystkich szczegółów zabrało jej kilka minut. Biel marmuru i porcelany, przełamana bladym złotem kości słoniowej. Pośrodku wanna wielkości niedużego basenu. Kurki i urządzenia masujące.

- Po prostu niezwykle.

- Kiedy Merlin da mi się we znaki i nie wiem, co dalej robić, rozładowuję się w pracy fizycznej. Bardzo mi służy.

Wrócili do sypialni. Drewno przysiadł na szerokim łóżu. Nie podeszła do niego.

- To jest właśnie to łóżko, o które pytałaś.

- Zauważyłam.

Pogładził materac.

- Wygodne, miękkie łóżko.

Uśmiechnęła się i powoli zbliżyła. Musnęła dłonią prześcieradło.

- Owszem, bardzo miękkie.

- Można powiedzieć: kuszące, prawda? Można na nim zapomnieć o wielu nieprzyjemnych sprawach.

Usiadła obok niego.

- Masz może nóż? - A widząc jego przestרח i zdumienie, wyjaśniła, wyciągając nogi: - Muszę coś zrobić z tymi cholernymi sznurowadłami. Bez noża nigdy nie zdejmę tych butów!

Drewno ze śmiechem położył sobie jej nogę na kolanach i zaczął rozplątywać sznurki. Po kilku minutach szarpania i przeklinania Ralpa oraz jego artystycznych upodobań udało mu się wreszcie wyłuskać Sydney z butów. Rozmasował obolałe nogi, pocałował czerwone pręgi. Potem zaczął rozpinać jej bluzkę.

- Bardzo ładnie jesteś dziś ubrana, chociaż te różowe tenisówki również zrobiły na mnie wielkie wrażenie.

Sydney przymknęła oczy. Guziki bluzki ustąpiły i poczuła na piersiach jego dłonie.

- Uwielbiam wyzwolone kobiety, które nie noszą staników.

- Jedyńy, jaki posiadam, został dziś rano uprany i jeszcze nie wysechl.

- Niepotrzebnie mi to mówisz. Wolę myśleć, że jesteś wyzwolona.

Może nie była zbyt wyzwolona, ale i tak przyłgnęła do niego całym ciałem, objęła jego głowę i zaczęła go całować.

Drew skończył ją rozbierać. Szybko pomogła mu zdjąć spodnie, tak jakby bolało ją dotknięcie materiału oddzielającego od siebie ich nagie ciała.

Tym razem wszystko było zupełnie inaczej niż ubiegłej nocy. Kochali się spokojnie i powoli. Czula jego usta i dłonie w każdym miejscu swego ciała i to uczucie doprowadzało ją do szaleństwa. Kiedy jego spokój i powolność zaczęły jej przeszkadzać, poruszyła się gwałtownie. Usłyszała jego cichy szept. Znieruchomiała. Była zbyt zmęczona, żeby protestować. Potem musiała chyba zasnąć, bo rozbudziło ją dopiero kołysanie. Czula, że Drew gdzieś ją niesie. Miała wrażenie, że opływają delikatne ciepło, przypominające płynne słońce.

Powoli uniosła powieki. Leżała w wannie na jego piersi. Dokoła delikatnie szumiała sącząca się z kranów woda.

- Chyba umarłam i jestem już w niebie - szepnęła.

- Ładnie powiedziane.

Drew przytrzymał Sydney ramieniem, czula pod sobą jego ciało. Szerzej otworzyła oczy. Na przeciwległej ścianie dostrzegła ekran telewizora, obok na stoliku stał telefon.

- Masz tutaj prawie wszystko. Zupełnie jakbyś tu mieszkał.

- Czasem, kiedy Meriin wyprowadzi mnie z równowagi, bo nie chce ruszać głową tak, jak mu każę, albo jestem zmęczony pracą nad komputerem czy przy remoncie, przychodzę się tutaj odprężyć. Słucham muzyki, oglądam filmy i odpoczywam.

Poczula jego ręce na udach.

- Ale muszę przyznać, że żadnego z tych zajęć nie można porównać z twoją obecnością.

Uniosła głowę znad jego piersi, a potem odwróciła się tak, żeby nie mógł zobaczyć jej twarzy. Zdecydowała się.

- Czy twojej rodzinie bardzo zależy na odzyskaniu Rosehill?

- Co?

- Pytam, czy chcecie odzyskać Rosehill. Przecież ta posiadłość należała kiedyś do rodziców Mary. Jeśli uda się dowieść, że Andrew Joshua nie był winien zarzucanej mu zbrodni, można przeprowadzić postępowanie spadkowe i twój dziadek otrzyma Rosehill z powrotem.

- Chyba zwariowałaś. Pierwsze słyszę. Po co Clayowi Rosehill? Nigdy nie rościł sobie prawa do żadnej posiadłości Fowlerów! Skąd ci to przyszło do głowy? Kto ci naopowiadał podobnych głupstw?

Posadził ją tak, że widział teraz jej twarz.

- Lepiej wszystko mi opowiedz od samego początku. Może nareszcie się dowiem, dlaczego wpadłaś tutaj jak chmura gradowa.

Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, gdy niespodziewanie ją pocałował.

- Dobrze, a teraz opowiadaj - rozkazał po chwili. - Od początku.

- Próbowali mnie przekupić, rozumiesz? Próbowali mnie przekabacić na swoją stronę, obiecując złote góry.

- Kto taki? Chyba nie James?

- Nie, oczywiście, że nie, ale nie dam głowy, czy czegoś nie wiedział o tych próbach.

- W takim razie zostaje tylko tamtych dwoje: Johnenstein i królowa śniegu.

Sydney wybuchnęła śmiechem. Fakt, że Drew użył tego właśnie określenia, bardzo ją ucieszył. Znaczyło to, że ona nie tylko prawidłowo postrzega tak zwaną obiektywną rzeczywistość, ale ponadto odbiera ją tak samo jak Drew.

- Nie śmiej się tak, jeszcze mi się utopisz. - Drew przytrzymał ją mocno.

- Johnenstein-Frankenstein, to do niego naprawdę bardzo pasuje. Wygląda zupełnie jak cyborg. Jak ty to robisz, że zawsze mnie rozśmieszysz, kiedy jestem na ciebie wściekła?

- To moja prywatna tajemnica. I co ci Johnenstein zaproponował?

- Pracę w biurze prasowym senatora, przyszłego prezydenta.

Drew zeszywniał.

- Nieźle. To może być naprawdę dobry pomysł. Kariera Jamesa zapowiada się bardzo obiecująco. Pewnie kiedyś zostanie prezydentem.

Sydney nie odpowiedziała. Pytał dalej.

- A królowa? Jaką pułapkę zastawiła, a raczej co rzuciła na przynętę?

- Jak na kobietę przystało, działała znacznie mniej obcesowo. Była bardzo subtelna. Zauważyła, że strasznie się przemęczam i że powinnam odpocząć. Zaproponowała mi pobyt w jednym ze swoich ekskluzywnych domów wypoczynkowych: salony piękności i inne atrakcje, wszystko na miejscu. Rzecz jasna, na jej koszt. Drew milczał.

- Kiedy się zorientowała, że nic z tego, przemówiła ludzkim głosem i poprosiła, żebym nie robiła niczego, co mogłoby zaszkodzić senatorowi.

- Po prostu bardzo chce być pierwszą damą - parsknął Drew. - Robi, co może.

- Chyba tak, ale prócz tego ona go naprawdę kocha. Kocha swojego męża, bardzo go ceni i pragnie, żeby osiągnął to, do czego dąży. Trochę to żalodne, w gruncie rzeczy.

Zrobiło jej się chłodno, drgnęła. Drew dolał ciepłej wody.

- Wychodziłam już z Rosehill, ale postanowiłam jeszcze raz spojrzeć na portret - ciągnęła Sydney. - Wtedy właśnie Laureen powiedziała mi, że cała ta posiadłość należała kiedyś do rodziny Mary. Powiedziała, że Samuel wydziedziczył Claya i że nigdy nie chciał mieć z nim nic wspólnego.

- To prawda. O ile pamiętam, zaraz po śmierci Samuela próbowano zrobić coś w sprawie spadku, ale się nie udało.

Stał z jej policzka trochę pachnącej piany.

- Ciekawe, dlaczego Laureen wspomniała ci o tym. - Oparł głowę o brzeg wanny. - Może chce cię zniechęcić do zajmowania się tą sprawą.

- Myślisz, że świadomie skierowała mnie na fałszywy trop? Ale dlaczego? W jakim celu? Co jej może zależeć na tym, czy coś znajdę, czy nie? Wiedzą o mnie chyba wystarczająco dużo, by mieć pewność, że nawet jeśli coś znajdę, nie wykorzystam tego przeciwko senatorowi.

Uniósł głowę i spojrzał na nią.

- Co oni takiego o tobie wiedzą?

- Nie mówiłam ci, bo nie chcę o tym nawet myśleć. Próbowałam zapomnieć. John powiedział, że wiedzą, kim jest mój ojciec i że tylko dlatego zgodzili się, abym robiła ten wywiad. Moje pochodzenie jest dla nich gwarancją mojej fachowości.

Parsknęła jak rozzłoszczona kotka.

- Widzę, że nieźle ci się narazili. Cóż, brak wycucia sytuacji; zdarza się. To świadczy tylko o tym, że są mniej sprytni, niż im się wydaje. W sumie można się nawet pośmiać. Cha, cha, cha. Doprawdy, komiczne.

- Szkoda, że nie widziałeś, jakie mieli miny, kiedy poprosiłam, żeby mi pokazali pamiętniki.

- Jakie pamiętniki?

Nie zwróciła uwagi na ton jego głosu, jeszcze raz przeżywając w wyobraźni całą scenę.

- James był po prostu zdziwiony, ale John wyglądał na lekko przerażonego, a Laureen... chyba nawet zbladła. Zupełnie jakbym poprosiła nie wiadomo o co.

- O jakich pamiętnikach mówisz?

- Nie wiesz? Dzisiaj nad ranem porządkowałam trochę te papiery, które dostałam od Claya. Przy okazji jeszcze raz je przejrzałam i coś zwróciło moją uwagę. Jest tam zapis rozmowy z kobietą, córką kucharki. W tamtych latach była jeszcze dzieckiem. Jej matka pracowała u Fowlerów. Otóż ta kobieta wspomina, że ci panowie coś tam stale wieczorami pisali w takich kajetach. No wiesz, w zeszytach.

Odsunęła się od niego i wyprostowała.

- Drew, prawie wszyscy politycy, nie bardzo wiadomo dlaczego, namiętnie pisują pamiętniki albo prowadzą dzienniki. Zwykle, kiedy coś takiego wpada w niepowołane ręce, wybucha skandal i kończy ich karierę. Mimo to politycy nie przestają pisać. Może to megalomania, a może przekonanie o tym, że wydarzenia będące ich udziałem mają wartość historyczną. Trudno powiedzieć, ale tak już jest. Zawsze to robili, robią i pewnie już tak zostanie. Natura ludzka się nie zmienia. Zapytałam, czy Darcy albo sędzia Jacob prowadzili dzienniki i James powiedział, że tak. Zaproponował nawet, że da mi je do przeczytania, kiedy je znajdzie.

- A czy Laureen uraczyła cię tą rewelacją dotyczącą naszych zakusów na Rosehill przedtem czy potem?

- Potem. Już po rozmowie o pamiętnikach.

Sydney zapatrzyła się w biały marmur na ścianie.

- Próbowała mnie skierować na fałszywy trop...

- Chytrze...

- Owszem.

Poczuła, jak zdenerwowanie i gniew budzą się w niej na nowo. Nie myśląc o tym, co robi, wyskoczyła z wanny. Dopiero pytanie Drew uświadomiło jej cały absurd tego, co zrobiła.

- Dokąd się wybierasz?

- Nie mam pojęcia.

Wróciła do wanny i położyła się.

- Nie znoś, kiedy się ze mnie robi idiotkę.

- Domyślam się.

Drew ujął leżącego przy wannie pilota. Po chwili popłynęły dźwięki muzyki. Wymienił nazwę nie znanego jej utworu.

- To też jakieś dawne czasy?

- Też. - Roześmiał się cicho.

- Piękne i romantyczne.

- Kochane stare lata sześćdziesiąte.

Powiedział to tak serio, jakby nie wyczuł ironii w jej głosie. A może tylko udawał.

- Znam jeszcze lepszy kawałek z lat sześćdziesiątych - rzuciła od niechcienia.

- Jaki?

- „Purple People Eaters”.

- To są lata pięćdziesiąte. - Drew spojrział na Sydney ze zdziwieniem.

- Możliwe.

Przeciągnęła się leniwie, próbując nie wybuchnąć śmiechem. Tego ranka, zanim pojechała do Fowlerów, kazała sobie za pośrednictwem modemu przekazać z redakcji „Washington Post” listę przebój ów z lat sześćdziesiątych. Tytuły i wykonawców, wszystko.

- A co myślisz o „My Ding-a-Ling”?

- Cooo?

Drew usiadł gwałtownie, rozchlapując wodę.

- A te niezapomniane kawałki: „Yakety Yak” albo „Charlie Brown”... - ciągnęła z kamienną twarzą. Drew patrzył na Sydney w osłupieniu.

- Albo chociaż „Little Egypt” czy „The Streak”, też niezłe... No, co o tym sądzisz?

Wyraz jego twarzy był teraz wart każdych pieniędzy. W końcu nie wytrzymała i wybuchnęła śmiechem. Drew jej zawtórował. Kiedy się uspokoił, spojrział na Sydney podejrzliwie.

- W porządku, może niektóre z nich nie są dziełami sztuki, ale powiedz mi, jak osoba nie mająca pojęcia o rocku i o muzyce rozrywkowej może znać te wszystkie tytuły?

- Nie sztuka wszystko wiedzieć; wystarczy wiedzieć, gdzie szukać - odpowiedziała sentencjonalnie, wstała i otuliwszy się ręcznikiem, wyszła z wanny.

Kiedy Drew pojawił się w sypialni, rozgarniała właśnie pościel w poszukiwaniu poszczególnych części swojej garderoby.

- Zamierzasz jeszcze raz odwiedzić Fowlerów?

- Dzisiaj już nie.

Mimo że pamiętała o jego wcześniejszym zaproszeniu na kolację, nie chciała mu o tym przypominać. Nie była pewna, czy Drew chce, żeby została.

- Wrócę do domu i spróbuję trochę popracować. Powiedziała to bez entuzjazmu. Zauważył zniechęcenie brzmiące w jej głosie.

- Przecież możesz być tutaj. Zaraz przygotuję nam lunch, a później możesz mi trochę pomóc. Mam w planie rozwalanie ściany.

Rzucił jej stare, sprane dzinsy.

- A to po co?

Dorzucił płócienną, męską koszulę.

- Nie zamierzasz chyba bawić się w robotnika w swoich szatkach. - Złapała w locie spodnie i koszulę. - Robocze ubranie. Będzie ci się w nim lepiej pracowało.

Pogrzebał w jej rzeczach i wyjął chusteczkę.

- To możesz nałożyć na głowę, żeby osłonić włosy. Sydney zawahała się. Naprawdę chciała zostać, ale miała też inne obowiązki. Emma może potrzebować samochodu.

- Nie wiem, czy powinnam tu zostawać. Emma jest bardzo miła, ale nie chciałabym nadużywać jej uprzejmości. Nie wiem, do której będzie w pracy. Nie mogę zabierać jej samochodu na cały wieczór.

Drew nie wyglądał na przekonanego.

- Nie przejmuj się, wszystko załatwimy. Zaraz zadzwonię do Emmy, może będzie chciała przyjść tutaj z Paulem. Zrobię kolację i zjemy wszyscy razem.

Lunch i kolacja. Pokusa była zbyt silna.

- Ale ja nie mam pojęcia o stolarce ani o budownictwie. Nigdy nic takiego nie robiłam... - zastrzegła się na wszelki wypadek.

- W porządku. Na razie nie będziemy nic budować, będziemy burzyć. To znacznie łatwiejsze. Chyba wiesz, jak się posługiwać młotkiem i łomem. A poza tym ściana jest gipsowa.

Zniknął za drzwiami, zanim zdążyła odpowiedzieć. Stała przez chwilę, patrząc za nim, a potem zaczęła się ubierać, zerkając od czasu do czasu w wielkie lustro. W chusteczce na głowie wyglądała jak sprzątaczką. Koszula sięgała jej do kolan, a spodnie... O spodniach lepiej nie mówić. Ze spodniami trzeba coś natychmiast zrobić. Były o wiele za długie i za szerokie. Podwinęła nogawki i rozejrzała się w poszukiwaniu jakiegoś paska. Nie znalazła. Zebrała spodnie w pasie, przytrzymała w garści, i znowu zerknęła do lustra. Trudno. Nie idzie na bal ani nie wybiera się na konkurs piękności.

Przytrzymując spodnie, poszła do kuchni.

- Masz może pasek albo coś takiego?

Drew mozolił się właśnie nad krojeniem mięsa i serów.

- Oczywiście, poczekaj. Zaraz ci coś dam. Nie robił wrażenia człowieka zaskoczonego jej wyglądem.

Zniknął na chwilę w pakamerze i wyłonił się z kłębkim konopnego sznurka. Odciał kawałek.

- Masz.

Sydney przewiązała się w pasie sznurkiem i zawiązała go z przodu na gustowną kokardkę. Ciekawie zerknęła na blat kuchennego stołu.

- Co będziesz robił?

- Tajemnica. Specjalność domu. Nic nie mów, tylko patrz, jak mistrz pracuje.

Nie wdając się w bardziej szczegółowe wyjaśnienia dotyczące przygotowywanego dania, podał jej główkę sałaty i dużego pomidora.

- Pokrój go, tylko nie za cienko. Plastry mają być dość grube, a sałatę umyj. Rozmawiałem z Emmą, przyjadą tu na kolację, więc nie musisz martwić się o samochód.

- Doskonale.

Obserwowała go spod oka, ryzykując, że obetnie sobie palec wielkim nożem, ale nie mogła się powstrzymać. Drew w roli kucharza wyglądał bardzo interesująco. Kto wie, czy naprawdę nie jest wszechstronnie utalentowany. Energicznie przygotowywał gigantycznych rozmiarów sandwicza. Przekroił na pół długą bułkę, posmarował ją masłem, polał jakimś tajemniczym sosem i zaczął ładować do środka plastry mięsa, sera i małe korniszony. Sydney poczuła ssanie w żołądku. Podsunęła mu deskę z plasterami pomidora i liśćmi sałaty. Drew włożył je do lodówki, owinął kanapkę w folię i odstawił na bok. Sydney przełknęła ślinę. Od rana nic nie jadła. Spojrzała na niego wymownie.

- Jestem koszmarnie głodna.

Pokręcił głową. Zrozumiała, że nic nie wskóra.

- Nic z tego. Najpierw trochę popracujemy. Wysilek fizyczny zaostry ci apetyt i pozwoli właściwie docenić mistrza.

Sydney tęsknym wzrokiem spojrzała na ogromną kanapkę.

- Chcesz przez to powiedzieć, że muszę zapracować na swoją kolację?

- Ależ nie, kolacja jest za darmo. Musisz zapracować na lunch.

Sytuacja wyglądała beznadziejnie. Nie pozostało nic innego, jak wziąć się do roboty. Mruczając pod nosem, poszła za Drew do salonu. Kiedy wręczył jej sporych rozmiarów łom, opanowała ją nieprzeparta chęć ucieczki. Obawa przed śmiesznością i strach, że okaże się niezdarna, lekko ją sparaliżowały. Przez chwilę stała nieruchomo, ważąc w dłoni ciężkie narzędzie. Na szczęście Drew nie asystował przy jej wewnętrznych zmaganiach: na chwilę gdzieś zniknął. Wrócił, niosąc parę starych mokasynów i grube skarpety.

- Nie możesz tu chodzić na bosaka. Jest pełno gwoździ, a kiedy to zwalimy, będzie na dodatek kupa gruzu. Masz.

Z ulgą odłożyła łom na podłogę i przysiadła na niej, żeby włożyć skarpety i buty. Tak jak się domyślała, tym razem przydzielono jej obuwie o trzy numery za duże. Wstała i usiłowała przejść kilka kroków.

- Dobrze?

- Świetnie, to twoje?

- Tak. Nie są trochę za duże?

- Może troszeczkę, ale i tak nie będę w nich przecież spacerować.

Włożyła plastikowe ochronne okulary, ścierką do naczyń osłoniła od kurzu nos i usta. Sięgnęła po łom.

- Powiedz mi, co mam robić.

Drew wszedł na drabinę i popatrzył na nią z góry.

- Ja będę działał tutaj, a ty zajmij się dołem. Nigdy nie przypuszczała, że niszczenie czegoś może być tak przyjemne, wręcz wyzwalające. Rozwalając ścianę ciężkim narzędziem, poczuła się nagle silna i wszechmocna. Nieomal wolna. Tak jakby każde uderzenie unicestwiała wroga, raz na zawsze rozwiązując rzeczywiste i urojone problemy. Wszystko, co ją dręczyło, rozpadało się w proch i pył, a właściwie kurz i gruz, pod ciosami jej własnych rąk. Nie spodziewała się, że podobna czynność może być tak oczyszczająca.

Przerwała na chwilę, żeby otrzeć pot z czoła. Wprostowała się. Poczula na sobie spojrzenie Drew, który patrzył na nią z wysokości drabiny i uśmiechał się.

- Nie rozpędzaj się tak, Sydney. Mamy zburzyć tę ścianę, a nie rozwalić dom.

Roześmiała się.

- To cudowne, niesamowite uczucie. Każdy powinien spróbować czegoś takiego. Nie ma lepszej terapii. Kilka uderzeń łomem i po stresie, frustracji i zdenerwowaniu. Trzeba to opatentować. Nigdy nie przypuszczałam, że to tak działa.

- Wiem, wypróbowałem to na sobie. Kiedy mi coś nie idzie z Merlinem, chwytam za młotek albo za hebel i biorę się do roboty.

Zamachnęła się, runął kawał ściany.

- Słuchaj, Sydney - powiedział Drew tonem uprzejmej konwersacji, tak jakby w fakcie, że przemawia z wysokości drabiny, nie było nic dziwnego - co ty właściwie zamierzasz dalej robić? Mam na myśli: w życiu. Czy w dalszym ciągu chcesz być dziennikarką? Nie znudziło ci się to po tylu latach? Chcesz zawsze pracować dla jakiejś gazety?

Wsparała się o łom. Pytań było sporo, ale na szczęście odpowiadając na jedno, odpowiadało się na wszystkie. Zamyśliła się. Sama chciała znać prawdziwą odpowiedź na to pytanie. Nadarzała się okazja, żeby ją sformułować.

- Kocham mój zawód - odparła po chwili. - Bardzo lubię tę pracę, a zwłaszcza lubię pisać o polityce. I o ludziach, którzy się nią zajmują. O politykach. Interesuje mnie zbieranie informacji o politykach, bo są ludźmi, których życie wpływa na losy innych ludzi. Taka rola jednostki w historii, rozumiesz. To, co robią i to, co mówią, ma znaczenie nie tylko dla teraźniejszości, ale i przyszłości. Nie mówiąc o tym, że ich działalność jest uwarunkowana przeszłością. Wszystko tu się łączy, jedno wypływa z drugiego: taki logiczny ciąg przyczyn i skutków. Tak to pojmuję. To wszystko jest bardzo skomplikowane, ale dlatego właśnie tak bardzo mnie fascynuje. Myślę, że nie mogłabym w życiu robić czegoś innego.

Ujęła młotek i zaczęła nim opukiwać pękającą ścianę.

- Nic tak jak dziennikarstwo nie sprawia, że człowiek ma poczucie, iż w jakiś sposób uczestniczy w grze sił, które o wszystkim decydują. Na jego oczach rozgrywają się losy świata. Pod względem politycznym, gospodarczym, społecznym. Każdy polityk jest innym człowiekiem, nieznanym ładem. Kiedy go odkrywasz, odkrywasz jednocześnie mechanizmy, które nim kierują. Nieraz to łatwe, czasem bardzo trudne, a nieraz - zupełnie niemożliwe. Są wśród nich ludzie mądrzy i uczciwi, ale nie brak głupków i zwyczajnych łobuzów. Są ludzie wielkiego formatu, osobowości i nędzne kreatury. Tak jak wszędzie, we wszystkich środowiskach i we wszystkich zawodach. Nigdy w życiu nie czułam się tak potrzebna jak wtedy, kiedy przez te wszystkie lata redagowałam moją kolumnę dla „D.C. Watch”. Ale... - opuściła młotek i mówiła dalej, patrząc gdzieś przed siebie - jednocześnie te lata oddaliły mnie od... domu, od Teksasu. Czasem bardzo za nim tęsknię.

- Przecież to, co powiedziałaś, odnosi się nie tylko do polityków skupionych wokół Kapitolu; to nie jest wyłączna specyfika Waszyngtonu, stolicy. W Teksasie też można znaleźć niezłe okazy. W każdej chwili możesz tu wrócić.

- I co mam robić? Pracować u ojca? A może u kogoś innego, kto przyjmie mnie do swojej gazety, bo zna mojego papę, albo przeciwnie, nie chce go znać i pragnie mnie wykorzystać przeciwko niemu?

- Co to jest „D.C. Watch”?

- Kwartalnik zajmujący się politykami. Umieszcza się tam artykuły o ich życiu, poglądach, o tym jak głosują, na co wydają pieniądze, jak żyją. Porównujemy ich przedwyborcze obietnice z aktualną działalnością polityczną. W jaki sposób je realizują, jeśli w ogóle to robią. Obserwujemy, jakim wpływom ulegają, jakie grupy wywierają na nich naciski, co dzieje się z ich zwolennikami, kto próbuje ich przeciągnąć na swoją stronę. Jest to rodzaj kontroli, takie kwartalne sprawozdanie. Bardzo się cieszyłam, że będę teraz mogła coś napisać o polityku z Teksasu. Fowler miał być pierwszy. Chciałabym zrobić całą serię takich artykułów.

- No to zrób. Co ci stoi na przeszkodzie?

- To nie takie proste. Po pierwsze muszę znaleźć gazetę, która zechce je drukować, a nie ma znowu tak wielu chętnych na tego rodzaju artykuły. Ludzie są tym trochę znudzeni. Nie znam nikogo, kto by się zgodził.

- Każde marzenie kiedyś się spełni. Po to jest marzeniem. Trzeba mu tylko trochę pomóc. Rozejrzę się za czymś.

Znowu zabrali się do roboty. I pracowali tak w zgodzie i harmonii - Drew na drabinie, Sydney na dole - aż cała ściana legła w gruzach. Potem Drew, nie schodząc z drabiny, zapytał, czy jest gotowa jeszcze trochę popracować, tym razem na serio. Sydney zsunęła ochronne okulary na tył głowy, zdjęła ścierkę osłaniającą usta i nos, i spojrzała w górę.

- Tylko bez wchodzenia na drabinę.

- W porządku. Po prostu uprzątaj gruz, w miarę jak będę rozwaliał sufit. Chcę zbić z niego tynk.

Drew doskonale nadawał się na nadzorcę niewolników. Był bezlitosny. Sydney myślała, że padnie ze zmęczenia i głodu, kiedy rozległ się dzwonek do drzwi. Przekonana, że to Emma i Paul nadchodzą jej na ratunek, wybiegła na korytarz.

Gość, który stał w progu, był tak nieoczekiwany, że przez chwilę nie mogła złapać tchu. James Fowler! Senator wyglądał na równie zdumionego. Stał wpatrując się w nią, jakby zobaczył ducha. Wyraźnie nie poznawał zamaskowanej osoby, którą miał przed sobą. Po chwili uniósł ręce do góry.

- Poddaję się - powiedział.

Sydney ściągnęła ścierkę z twarzy i roześmiała się.

- To pani, Sydney?

- To pan, senatorze? - zawtórowała mu echem, naśladując jego zdumienie.

Jego również niełatwo było rozpoznać. James Fowler, zwykle odziany w nieskazitelnie skrojony garnitur, miał na sobie strój do joggingu: spłowiałe szorty i sprany podkoszulek. Jego buty nosiły ślady przemierzonych szlaków. Były stare i znoszone; z jednego wystawał nawet palec.

- Zadzwoiłem do Emmy, żeby zapytać, gdzie pani jest. Mam nadzieję, że się pani nie gniewa, że panią wytropiłem.

- Pewnie, że nie. Dlaczego mnie pan szukał?

- Jak mnie pani wpuści do środka, to powiem. Roześmieli się oboje i Sydney odsunęła się z przejścia. Na korytarzu pojawił się Drew.

- To ty, Grubasku? Witaj. Rany boskie, nie powiesz mi chyba, że Laureen pozwala ci pokazywać się w tym stroju w miejscach publicznych?

- Laureen nic nie wie. Kiedy wychodziłem, była u mojego ojca.

Uścisnęli sobie dłonie. James wszedł do salonu i przez chwilę kontemplował stan robót.

- Nieźle. Przerwałem wam?

- Nie. Właśnie miałem zamiar dać jej lunch. Zjesz z nami?

- Nie, dziękuję, ale chciałbym zamienić z wami kilka słów. Możemy chwilę porozmawiać?

Drew starł tynk z gołego torsu i spojrzał na Sydney.

- Poczekaj na nas w kuchni, Grubasku. Musimy się umyć.

Kiedy znaleźli się w łazience, starannie zamknął drzwi.

- Ciekawe, czego on chce?

- Jak rozumiem, nie bywa tutaj częstym gościem...

- O ile wiem, nigdy nie przekroczył progu tego domu. - Drew puścił ostry strumień wody. - Musi mieć jakąś ważną sprawę, chociaż ubrany jest raczej mało oficjalnie.

- Zupełnie jakby też coś budował albo burzył. Może przeprowadza generalny remont własnej osoby?

Sydney zdjęła koszulę, splukała z siebie kurz i włożyła ją z powrotem. Umyła twarz i ręce, i poczekała chwilę, aż Drew skończy ablucje.

Spojrzeli na swoje wymyte już twarze i wybuchnęli śmiechem. Wcale nie chciało im się opuszczać tej łazienki.

- Musimy stąd wyjść, jeśli chcemy się dowiedzieć, po co przyszedł - powiedziała w końcu Sydney.

Senator James Fowler siedział na wysokim stołku przy kuchennym blacie ze wzrokiem wbitym w ogromną kanapkę owiniętą w folię. Nerwowo przełykał ślinę. Sydney usiadła obok niego, Drew oparł się o lodówkę. Spojrzała na odciski od łomu na swojej drobnej dłoni, potem przeniosła wzrok na senatora.

- No więc, senatorze? Stało się coś?

- Nie nazywaj mnie tak, mów do mnie po imieniu. Właściwie nic się nie stało. To znaczy, nic wielkiego.

Drew sięgnął do lodówki. Wyjął sałatę i pokrojonego pomidora.

- Sydney, chcesz się czegoś napić? Senatorze, może piwo?

Podał im butelki i szklanki. James nie skorzystał ze szklanki.

- Ale dobre. Boskie...

Nie spuszczał wzroku z gospodarza, który właśnie rozpakował sandwicza i wkładał teraz do niego plastry pomidora i liście sałaty. James znowu przełknął ślinę. Sydney doskonale go rozumiała. Znała to uczucie.

- Zaraz dostaniesz, starczy dla wszystkich. James pokręcił się na stołku.

- Słyszałem, że podobno Drew robi wspaniałe kanapki. I duże. - Pociągnął łyk piwa z butelki. - Może się skuszę na... kawałek. Odkrój mi, tylko mały.

Drew pokroił olbrzymia na trzy części, podał trzy talerzyki, położył na każdym sporą garść chipsów i dużego korniszona. Nie czekając na innych, James rzucił się na swoją porcję tak łapczywie, jakby od kilku miesięcy nie miał nic w ustach. Nie przerywając jedzenia, skinął głową, kiedy Drew zapytał, czy chce jeszcze jedno piwo.

- Rany, James, czy Lauren źle cię karmi? Wygląda na to, że w twoim domu się nie przelewa.

Senator przełknął i pociągnął z butelki.

- Jestem na tej cholernej diecie. Lauren tak zarządziła. Muszę wyglądać jak człowiek. A jak wiesz, mam skłonności do tycia. Muszę bardzo uważać. Dlatego jestem trochę głodny.

Podniósł butelkę i wpatrzył się w nią rozmarzonym wzrokiem.

- Piwko... Nie macie pojęcia, jakie to kaloryczne.

Spojrzał na nich z pogardą.

- O niczym nie macie pojęcia. Wy nie musicie uważać, nigdy nie utyjecie. Choćby nie wiem co.

Sydney była zachwycona tym, że nie musi nic mówić. Panowie świetnie się rozumieli. Jadła w skupieniu, rozkoszując się wyborną kanapką i zimnym piwem. Błogostan jednak nie mógł trwać wiecznie. Trzeba było przejść do sprawy. Kiedy przekomarzania umilkły, pociągnęła łyk piwa i spojrzała na senatora.

- Co chciałeś mi powiedzieć? - zapytała i zaraz dodała: - I dlaczego masz pajęczynę we włosach? James roześmiał się i przeczesał ręką czuprynę.

- Zupełnie zapomniałem. Po twoim wyjściu buszowaliśmy po strychu. - Wsparł się o blat i spoważniał. - Możesz mi wierzyć, zajrzeliśmy w każdy kąt. Ja, Lauren i John. Jest tam wszystko, co tylko człowiek może zgromadzić przez sto lat. Nawet nie będę wymieniał. Stosy rzeczy. Ubawiliśmy się przy okazji. Dawno się tak nie czułem, zupełnie jak dzieciak albo kret, co przekopuje się przez zwały ziemi.

Spostrzegł zdumione spojrzenie Drew.

- Szukałem tych papierów - wyjaśnił. - Powiedziałem Sydney, że kiedyś widziałem dzienniki, jakie prowadzili Jacob i Darcy. Próbowaliśmy je odnaleźć, dlatego przerzucaliśmy te stosy rzeczy. Nawiasem mówiąc, coś trzeba z tym zrobić. Wyrzucić te wszystkie starocie albo je komuś sprzedać. Można by zrobić wyprzedaż przed domem.

Dokończył piwo i sprawdził pod światło, czy butelka naprawdę jest pusta.

- W końcu znaleźliśmy te pamiętniki. Leżały sobie na samym dnie wielkiej góry dokumentów. - Spojrzał na Sydney. - Możesz wpaść i wszystko sobie przeczytać. Może znajdziesz coś, co wyjaśni tamtą sprawę.

- Z przyjemnością. Jest tam ta część, która dotyczy okresu śmierci Mary? Senator pokręcił głową.

- Bardzo to dziwne. Zostało dwadzieścia zeszytów zapisanych pismem Darcy'ego, ale jednego brakuje. Zdumiewające. A stary Jacob, który wszystko bardzo skrupulatnie notował, też

jakby przestał pisać w tym okresie, kiedy sądzono Andrew Joshuę. Pamiętasz, jak ci mówiłem, że kiedyś ojciec mi się skarżył, że jeden brulion gdzieś mu się zapodział? Przypomniałem sobie, że powiedział, że ktoś go ukrył. Dokładnie pamiętam; użył takiego słowa. „Schowali go”, powiedział. Dlatego posłałem do niego Laureen, może się czegoś dowie. Ojciec od czasu do czasu ma chwile przytomności i można z nim pogadać.

Oboje, Sydney i Drew, zamyślili się. James miło ich rozczarował. Nie spodziewali się takiej szczerości. Senator wyraźnie niczego nie ukrywał. Drew bez słowa sięgnął do lodówki po trzy następne butelki piwa.

- Czytałeś kiedyś te pamiętniki, James?

- Kiedyś je przeglądałem. Bardzo pobieżnie, nie interesowało mnie to. Pismo jest bardzo niewyraźne, ale po pewnym czasie człowiek się przyzwyczaja i można czytać. Chwilami nawet warto, bo to jest całkiem dobrze napisane. Co nie znaczy, że zamierzam się do tego zabrać. Chyba szkoda czasu.

Drew zebrał talerze i wstawił je do zlewu.

- A o samym procesie nic nie czytałeś?

- W pamiętnikach nie, ale czytałem o tym przedtem.

I nie sądzę, żeby Andrew Joshua zabił Mary - odpowiedział, uprzedzając następne pytanie. - Zresztą, nie znaleziono jej ciała. To był typowo poszlakowy proces. Darcy i sędzia, jako bezpośrednio zainteresowani, nie powinni byli brać w nim udziału. Z prawnego punktu widzenia roi się tam od błędów.

Dzwonek telefonu przerwał jego monolog. Drew, przeprosił ich i podniósł słuchawkę. Przez chwilę nic nie mówili.

- Naprawdę nie masz nic przeciwko temu, żebym zajrzała do tych papierów? - zapytała wreszcie Sydney.

Nie odpowiedział, bo coś w głosie Drew przykuło ich uwagę. Mimo woli zaczęli nasłuchiwać. James, zaciekawiony raczej niż zaniepokojony, Sydney - przeciwnie. Musiało stać się coś złego, w przeciwnym razie Drew nie mówiłby takim tonem, nie ściszałby głosu, nie rozmawiał tak długo.

Wreszcie skończył, wrócił do nich i nieoczekiwanie wybuchnął śmiechem. Zarówno Sydney, jak i senator spodziewali się czegoś zupełnie innego.

- Dzwoniła Rosa - wyjaśnił. - Chciała mi powiedzieć, że Clay cały dzień spędził w lesie, skradając się dokoła domku i wywołując ducha swojego ojca. - Znowu się roześmiał. - Przepraszam, może nie powinienem, ale kiedy sobie wyobrażę dziadka, jak wali w bęben i śpiewa, żeby przywołać duchy przodków, to się nie mogę powstrzymać.

- Na pewno nic takiego nie robił - powiedziała z oburzeniem Sydney i mężczyźni wybuchnęli śmiechem.

- Nie, ale gdyby na to wpadł, na pewno by się nie zawahał. Rosa mówi, że oszalał na tym punkcie. Powiedział, że nie spocznie, póki się nie dowie, co Andrew

Joshua chciał nam zakomunikować. Jego zdaniem ukazanie się ducha jego ojca jest dowodem na to, że to nie on zabił Mary. Oczywiście, jak zwykle, myśli tylko o sobie. Rosa o mało co nie umarła ze strachu, że się przewróci albo dostanie wylewu. Nie należy zapominać, że Clay ma

dziewięćdziesiąt trzy lata, a dzisiaj był spory upał. Oświadczył Rosie, że skoro Andrew już raz ukazał się w pobliżu swojego domu, to na pewno tam wróci.

- On może mieć rację. Posłuchaj, Drew. - James podniósł rękę i zaczął wyliczać na palcach.

- Założmy, że to nie on zabił Mary, jej ciała nigdy nie znaleziono, jego powieszono, czyli zginął gwałtowną śmiercią. Jego dusza, czy jak to nazwać, nie może zaznać spokoju. Może to brzmi trochę niepoważnie, ale nagle pojawia się Sydney i okazuje się, że możliwe jest nawiązanie kontaktu z tym światem tutaj, więc duch chce coś przekazać. Mogę się założyć, o co chcecie, że Clay ma rację. Andrew Joshua wróci, żeby wszystko wyjaśnić.

Sydney oderwała od niego zdumiony wzrok i przeniosła go na Drew. Po nim mogła się spodziewać czegoś podobnego, ale po senatorze... Po człowieku, który piastuje ważne państwowe stanowisko? Po kimś, kto pewnego dnia ma szansę zostać prezydentem Stanów Zjednoczonych?

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że wierzysz w duchy? Wierzysz, że to był naprawdę Andrew Joshua? - spytała zszokowana.

Spojrzał na nią, jakby pytała o rzeczy zupełnie oczywiste.

- Pewnie, że wierzę. A ty nie?

- Ja też. - Zerknęła na Drew. - To znaczy, ja nie, ale chciałam powiedzieć, że może.

Drew zacisnął usta, żeby się nie uśmiechnąć.

- Ona jest bardzo rozsądna, Grubasku - powiedział tonem wyjaśnienia. - Nie to co my. - Pociągnął łyk piwa prosto z butelki. - Clay zapowiedział, że jutro też tam pójdzie. W tym samym czasie, na to samo miejsce, tam, gdzie miałś wypadek.

James wstał, zbierając się do wyjścia.

- Następnym razem, Sydney, jak będziesz jechała do jakiegoś miasteczka, uprzedź tych biednych ludzi, że się zbliżasz.

Podziękował za ucztę i raz jeszcze zaprosił Sydney do Rosehill na lekturę pamiętnika Fowlerów. W drzwiach spojrzał na Drew.

- Jutro jest rocznica?

Drew skinął głową.

- Gdybyś miał kiedyś ochotę na piwo i kanapkę, to wpadnij, Grubasku - powiedział na pożegnanie. Senator wybuchnął śmiechem. Drew zamknął za nim drzwi i wrócili do kuchni.

- O jakiej on mówił rocznicy?

- Jutro mija dziewięćdziesiąt dziewięć lat od chwili, kiedy powieszono Andrew Joshuę. Pożałowała, że zadała to pytanie.

Stare prawdy okazały się aktualne, bo noc, jak wiadomo, przynosi radę. Zwłaszcza długa, dobrze przespana albo miło spędzona noc. Fizyczna praca, smaczne jedzenie i dobre wino świetnie człowiekowi robią. Wszystkie te magiczne zabiegi z powodzeniem sprawdziły się w przypadku Sydney.

Nie bez znaczenia był przy tym fakt, że pół nocy spędziła na przyjacielskiej pogawędce z Emmą i doktorem. Kolacja w Kasztanowym Dworze wypadła znakomicie.

Sięgnęła teraz po kubek z kawą. W kuchni było pusto i cicho. Obudziła się wcześniej i ostrożnie, żeby nie zbudzić Emmy, zeszła na dół. Usadowiła się z komputerem przy dużym stole i trochę popracowała. Emma jeszcze smacznie spała, kiedy na dole w jej kuchni powstała spora część artykułu poświęconego senatorowi Fowlerowi.

Sydney usłyszała na górze kroki Emmy. To sygnał, że trzeba się zbierać. Zabrać komputer i notatki. Praca w Wallace dobiegła końca. Należy jeszcze ustalić kilka szczegółów i można zaraz ruszać w drogę. Dość przygnębiające.

Sydney powtórnie napełniła kubek kawą i podeszła do kuchennego okna. Kiedy ostatnim razem było jej tak dobrze? Dawno, bardzo dawno temu. Właściwie nie pamiętała. Z biegiem lat praca tak bardzo ją pochłonęła, że nie miała czasu na przebywanie z ludźmi. Nie bardzo wiedziała, dlaczego tak się stało. Przecież nie chodziło jej o pieniądze. Pogoń za mamoną nie była jej specjalnością.

Przed czym więc tak długo uciekała? Przed cieniem ojca? Po co? Czas uciekał jeszcze szybciej i miała teraz wrażenie, że mimo intensywnej pracy i jej konkretnych efektów straciła mnóstwo czasu. Może nadeszła chwila, żeby się zatrzymać, przystanąć w biegu i rozejrzeć. Ale w poszukiwaniu czego? Prawdziwej Sydney Tanner, Sydney Shannon Tanner, o ile jeszcze ktoś taki istnieje. Może to właściwy moment, żeby się zastanowić nad sobą, nad przyszłością, nad tym, jak właściwie ta przyszłość ma wyglądać.

- Dzień dobry - usłyszała. W drzwiach kuchni stała Emma.

- Bardzo wcześnie dziś wstałaś. - Emma sięgnęła po kubek z kawą i opadła na najbliższe krzesło. - Boże, ale mnie boli głowa. A Ciebie? Nie, Ciebie nie ma po czym - odpowiedziała sobie sama. - Przecież ty wypijaś tylko dwa kieliszki wina.

Sydney parsknęła śmiechem i sięgnęła po buteleczkę z aspiryną.

- Owszem, ale za to ja cały czas piłam piwo do lunchu.

Emma przyjęła ofiarowaną jej tabletkę.

- A jak się miewa cała reszta twojej osoby?

Sydney wyciągnęła rękę, wyprostowała się.

- Mięśnie trochę mnie bołą.

Przyjaciółka pokręciła głową.

- Nie mogłam uwierzyć, kiedy zobaczyłam, co zrobiliście w salonie. Odwaliliście kawał roboty. Od razu widać, że dobrze wam się razem pracuje. Można powiedzieć: zgrany z was zespół. Gratuluję.

Sydney udała, że nie zauważa znaczącego tonu jej głosu.

- Ale gdybyście nam nie pomogli w wyrzuceniu gruzu, bylibyśmy w lesie. Wam też nieźle wychodzi współpraca. Też jesteście dość dobrze zgrani.

- Robimy, co w naszej mocy. Emma pokręciła bolącą głową, a potem oparła się o stół.

- Drew nie przestaje mnie zdumiewać. Czy to normalne, żeby umieć wszystko? Czego się dotknie, zamienia się w złoto. Czy myślisz, że to naturalne?

- Nie - roześmiała się Sydney. - Oczywiście, że nie ma w tym nic normalnego. - Obrzuciła przyjaciółkę spojrzeniem. - A ty co? Nie idziesz dziś do pracy? Sądząc po stroju, zamierzasz grać w hokeja...

- Mam dwa dni wolne. Zabiorę się do mojej drugiej pracy, tej w garażu. Trzeba coś niecoś pospawać. - Spojrzała na komputer. - A ty co? Skończyłaś ten artykuł o senatorze?

- I tak, i nie. Emma skrzywiła się.

- Doskonała odpowiedź na taki dzień jak dzisiaj. Bardzo do niego pasuje. Moja głowa... Kiedy chcesz wyjechać? Nie pytam dlatego, że chcę cię wyrzucić. Jeśli o mnie chodzi, możesz tu zostać na zawsze.

Sydney odeszła od okna i usiadła naprzeciw Emmy.

- Mam jeszcze parę drobnych spraw do wyjaśnienia.

- Mówisz to tak lekko, jakby nie były zbyt ważne. Może po prostu szukasz pretekstu, żeby stąd nie wyjeżdżać.

- Darcy i Jacob Fowler pisali dzienniki. James powiedział, że będę mogła do nich zajrzeć.

- A ty swoje! Ta historia zupełnie cię opętała. Przecież sama wczoraj wieczorem powiedziałaś, że twój artykuł nie ma nic wspólnego ze sprawą Andrew. Daj spokój, Sydney, po prostu wpadłaś, ot co!

- Wpadłam?

- Nie udawaj głupiej, przecież rozumiesz. Po prostu zakochałaś się w Drew.

Ruchem ręki nakazała jej milczenie.

- Lepiej nic nie mów. Sama sobie odpowiedz, czy możesz stąd wyjechać ze świadomością, że nigdy go już nie zobaczysz? Czy łatwo przychodzi ci myśleć, że to koniec, ostateczny koniec waszej znajomości? Pomyśl, co jest naprawdę ważne w całej tej historii Mary i Andrew. Przypomnij sobie, o co tam chodziło. Przecież to jasne jak słońce: najważniejszą rzeczą na świecie jest miłość.

Sydney przetarła ręką czoło.

- Przestań. I tak jestem wykończona. Nie dokładaj mi jeszcze.

Emma uśmiechnęła się.

- I bardzo dobrze - powiedziała z nie ukrywaną satysfakcją. - Jak na początek, wcale nieźle. A teraz chodź, chcę ci coś pokazać, zanim miasto się obudzi. - Odstawiła kubek i sięgnęła po torebkę. - No, chodź, nie marudź.

Sydney nie oponowała. Pozwoliła wyprowadzić się z domu i poszła za Emma do samochodu. Poranne słońce musnęło jej twarz, zapowiadając nowy upalny dzień. Emma przez chwilę zmagiała się z silnikiem. Wreszcie samochód dał się namówić i ruszyły. Obie niemal jednocześnie włożyły ciemne okulary.

Po chwili znalazły się w centrum miasta. Główna ulica była pusta, jeśli nie liczyć kilku samochodów zaparkowanych przed miejscowymi lokalami. Emma zahamowała.

- Szybko, wysiadaj. Chcę, żebyś to zobaczyła, póki nikogo nie ma.

Wyskoczyła z samochodu. Sydney zrobiła to samo nieco wolniej. Szły przez trawę w stronę wysokich dębów.

- Dokąd idziemy?

Emma nagle się zatrzymała.

- Patrz.

Stały pod drzewem, na którym powieszono Andrew Joshuę. Sydney poczuła łzy napływające jej do oczu i zamrużyła powiekami. Trawa wokół dębu usłana była kwiatami. Wielkimi bukietami oryginalnych, świeżych kwiatów.

- Kto to zrobił?

Emma przez chwilę milczała.

- Co roku tego dnia ktoś kładzie tutaj kwiaty. Nie pochodzą z miejscowej kwiaciarni. Znam dobrze Marthę, właścicielkę. Mówiła mi, że nie wie, kto je przynosi ani skąd pochodzą. U niej nikt ich nie zamawia.

- Tylko mi nie mów, że pojawiają się znikąd. Ktoś musi je przynosić, ktoś musi wiedzieć, kto to robi, ktoś musi wiedzieć, kto to jest.

- Pewnie masz rację, ale od wielu lat tak jest i nikt nic nie wie. Ludzie to widzą, ale nikt nie docieka, skąd biorą się kwiaty, bo jest to rodzaj wyzwania. Takie przypomnienie, że przodkowie mieszkańców tego miasta wzięli sprawiedliwość w swoje ręce i zgładzili w tym miejscu niewinnego człowieka. - Ściszyła głos. - Wyobrazasz sobie, co to by był za szum, gdyby tak udowodniono, że to nie Andrew Joshua zabił Mary?

Sydney poczuła dławienie w gardle. Podeszła do drzewa i dotknęła jego pnia. W szorstkości kory było coś ciepłego. Jakby prąd przebiegł jej przez ramię.

- Emma, czujesz to? Dotknij.

Emma podeszła i wyciągnęła rękę. Sydney, nie mogąc się opanować, krzyknęła przerażona. Emma jej zawtórowała i odskoczyła od drzewa, jakby coś ją poraziło. Spojrzały na siebie przestraszone i wybuchnęły histerycznym śmiechem.

- Przepraszam - wykrztusiła Sydney - ale nie mogłam się powstrzymać... To wszystko jest...

- To ty jesteś niesamowita. To z ciebie emanuje coś takiego...

Już miała znowu krzyknąć, kiedy zza drzewa rozległ się głos:

- Nie wolno kpić z duchów, moje panie. - Za głosem wyłonił się Drew. - Co wy tu robicie o tej porze?

Postawił pod drzewem wazon z kwiatami i spojrzał na nie rozbawiony.

- Chodź stąd, Sydney. Wracamy do domu - sarknęła Emma. - To on sobie z nas zakpił.

Sydney poszła za nią do samochodu. Czowała, że nie powinna nic mówić. Najlepiej posłuchać Emmy. Przyjaciółka wie, co robi.

Drew wsiadł do swojego samochodu i pojechał za nimi. Kiedy zatrzymali się przed domem, wyskoczył, podbiegł do drzwi i skłonił się przed nimi w progu.

- Wybaczcie mi. Nie chciałem was przestraszyć, po prostu nie mogłem się powstrzymać. Powiedzcie chociaż słowo. Odezwijcie się do mnie.

Sydney spojrzała na Emmę energicznie podążającą w stronę prowadzących na górę schodów. Zrobiło jej się żal przyjaciółki.

- Nie powinieneś tego robić, Drew. Emma bardzo się tym przejmuję. Nie trzeba było jej straszyć.

- Ja ją nastraszyłem? A ty co, może nie?

- Wiem i dlatego strasznie mi przykro.

Mimo woli wybuchnęła śmiechem. Drew też się roześmiał.

Na podeście ukazała się Emma.

- Wszystko słyszę.

Zeszła i skierowała się w stronę wyjścia.

- Pójdę do mojej pracowni.

Drew zabiegł jej drogę.

- Strasznie cię przepraszam, nie chciałem.

Emma zatrzymała się i zmarszczyła czoło.

- Od biedy na przeprosiny możesz mi powiedzieć, kto stawia tam te kwiaty.

- Nie udawaj. Wszyscy w miasteczku wiedzą, że nie ma tu wielu takich ogrodów czy oranżerii, z których mogłyby pochodzić takie bukiety. Przynosi je moja babka.

- Co takiego? Rosa? - Emma uśmiechnęła się udobruchana. - Nigdy bym na to nie wpadła.

Drew zerknął na Sydney, siłą powstrzymując się od śmiechu. Emma wyglądała jak dziecko, które dostało cukierka.

- Może byśmy się napili kawy - zaproponował nieśmiało.

- A jadłeś już śniadanie? - Emma nagle okazała się bardzo gościnna. Rozchmurzyła się całkowicie i wciągnęła go do kuchni.

Po chwili rozszedł się smakowity zapach smażonego boczku i jajek.

- Proszę, oto prawdziwie dietetyczne jedzenie. Mrugnęła do nich okiem, a po śniadaniu wyszła. Sprzątając później talerze, Sydney zastanawiała się nad zachowaniem Drew. Podczas posiłku właściwie nic nie mówił. Poprzedniego wieczoru, kiedy się zegnali, ani słowem nie wspomniał o następnym spotkaniu. Po prostu odprowadził ją do samochodu i pożegnał się. Spojrzała na niego.

- Stało się coś złego?

- Nie. Zastanawiam się po prostu, dlaczego wczoraj wieczorem pozwoliłem ci odejść. Byłoby cudownie obudzić się razem.

- Więc dlaczego nie poprosiłeś, żebym została?

Włożyła naczynia do zmywarki i oparła się o blat.

- Chyba nie chciałem mówić tego w obecności Emmy i Paula. Nie chciałem, żebyś się czuła skrępowana.

- Myślisz, że oni nie wiedzą, co jest między nami?

Podeszła do stołu.

- Wiem, że się domyślają, ale nie byłem pewien, czy nie chcesz zachować pozorów. Nie wiedziałem, co czujesz.

Stała za nim i zaczęła głaskać jego włosy.

- Nic mnie nie obchodzi, co sobie myślą. Zostałabym z tobą,

Uśmiechnął się.

- Czy to znaczy, że lubisz być ze mną?

Ona też się uśmiechnęła.

- Tak.

- To już coś. Zmierzamy w dobrym kierunku.

Spojrzał na komputer stojący na stole.

- Skończyłaś swoją sagę o Grubasku?

- Prawie.

Odłożyła ściereczkę i usiadła przy stole.

- To znaczy, że zbierasz się do wyjazdu?

- Tak - odparła z wysiłkiem.

- Wracasz do Waszyngtonu?

- Nie, mam jeszcze kilka dni wakacji - powiedziała z wahaniem, jakby czekała nie wiadomo na co. Sama nie miała pojęcia, czego właściwie się spodziewa.

Drew milczał, a z jego twarzy nie można było nic wyczytać. Sydney poczuła, że jest bardzo zdenerwowana.

- Nigdy cię nie pytałem, co masz takiego w Waszyngtonie. Czy ktoś na ciebie czeka? Ktoś, z kim możesz się pośmiać albo popłakać, ktoś, kogo kochasz...

Nie mogła odwrócić wzroku od jego szmaragdowych oczu. Nawet gdyby chciała to zrobić.

- Nie ma nikogo takiego.

- To po co tam wracać? Z tego, co powiedziałaś i z tego, czego się domyśliłem, wnioskuję, że potrzebna ci zmiana. Nie wracaj do Waszyngtonu. Po co masz być gdzieś, gdzie nie czujesz się szczęśliwa?

- Bo nie mam nic innego.

Nadeszła chwila szczerości. Nie w stosunku do niego, lecz do samej siebie. Tak jakby nagle postanowiła spojrzeć prawdzie w oczy.

- Zanim tu przyjechałam, sądziłam, że jestem szczęśliwa.

Spostrzegła błysk w jego oczach, delikatny zarys uśmiechu.

- Wydaje mi się, że mam swój mały udział w zmianie twojego myślenia.

- Tak.

- Co w takim razie zamierzasz dalej robić?

Był mistrzem w zadawaniu pytań, ale nie ułatwiał odpowiedzi. Sydney milczała. Zwykle nie miała kłopotów z reagowaniem na werbalne wyzwania. Była do nich przyzwyczajona. Zwykle wiedziała, co myśli i nie miała kłopotów z wyrażeniem tego słowami. Teraz było inaczej. Nie chodziło o słowa. Chodziło o uczucia, a tych nie potrafiła określić. To było zupełnie nowe i nieoczekiwane. Nie wiedziała, co czuje, prócz mieszaniny i niepewności. Jeden głos mówił jej, żeby

się nie wahała i skorzystała z okazji, drugi ostrzegał przed pochopnymi decyzjami i popełnieniem głupstwa. Wzięła głęboki oddech.

- Może lepiej zapytaj, co my zamierzamy robić?

Drew roześmiał się, jakby podobał mu się sposób, w jaki odrzuciła piłeczkę, skazując go na zrobienie następnego ruchu.

- Myślę - powiedział powoli - że mogłabyś zostać.

- I co robić?

- Co tylko zechcesz.

- Łatwo ci mówić. Masz tu wszystko: pracę, rodzinę, dom. Żyjesz własnym życiem. A ja co? Cała ta historia jest jakaś zwariowana. Przecież nawet gdybym tu nie przyjechała, też bym coś zrobiła ze swoim losem. Muszę coś zrobić. Nie wiem co, bo zawsze kiedy zdarza mi się coś dobrego, to długo nie trwa. Może stałam się cyniczna, ale zaczynam wierzyć, że nie ma nic trwałego na tym świecie.

- Jesteś pewna? Absolutnie pewna?

- Tak. Nie mam wątpliwości. - Zerwała się z krzesła. - Nie zwracaj na mnie uwagi. Jestem bardzo zdenerwowana, a ty nie bardzo mi pomagasz.

- Czekasz na słowa, na wyznanie miłości, na deklaracje? Przecież musisz wiedzieć, że na coś takiego trzeba odpowiedzieć. Jesteś gotowa na odpowiedź?

- Nie.

Rozegrał to po mistrzowsku. Nie zaszkodził, ale i nie pomógł.

- Nie jestem gotowa. To by tylko wszystko jeszcze bardziej skomplikowało.

Drew przechylił się, objął ją i pocałował w usta.

- Idziemy? Chcesz się przebrać?

Spojrzała na niego, nic nie rozumiejąc. Była strasznie rozczarowana.

- Dokąd mamy iść?

- Gdzieś, gdzie jest chłodno, miło i zabawnie. Powoli poszła na górę. Wróciła ubrana we własne dzinsy i jedwabną bluzkę matki Emmy z koronkowym kołnierzykiem. Pomału przyzwyczajała się do tego stylu. Usiadła i zaczęła wkładać różowe tenisówki.

- To dokąd idziemy?

- Do Grubaska. - Złapał jej torbę i już był przy drzwiach. - Zapomniałaś, że zaprosił nas na czytanie dzienników Fowlerów?

Sydney nie ruszyła się z miejsca.

- Nie. Powiedział, że to ja mogę przyjść je przejrzeć. O tobie wcale nie było mowy.

Drew podszedł i wziął ją pod rękę.

- Idziemy. Grubasek na pewno mnie nie wyrzuci. Ma u mnie pewien dług.

- Jaki?

- Jest mi winien trzy piwa i całkiem sporą, dość urozmaiconą kanapkę.

Nie oponowała. Usiadła obok Drew w jego przestronnym samochodzie. Jakiś kilometr od Rosehill spotkali senatora. Trenował jogging. Drew zwolnił.

- Strasznie gorąco, James.

Spojrzał na nich umęczonym wzrokiem.

- Co ty powiesz! Nie zauważyłem.
- Witaj.
- Tak lepiej.

James jedną ręką schwycił się samochodu. Wyglądał teraz jak wieloryb holowany przez statek.

- Co was tu sprowadza o tak wczesnej porze?

Sydney postanowiła zabrać głos. Przecież sprawa dotyczy przede wszystkim jej.

- Postanowiłam skorzystać z twojego zaproszenia i przejrzeć te dokumenty Fowlerów.
- Świetnie - sapnął James. - A Drew?

- Postanowił udawać, że też go zaprosiłeś. Drew zwolnił jeszcze bardziej, dostosowując się do kroku senatora.

- I na pewno powie Laureen o piwie i kanapce.
- James ulokował się z trudem na tylnym siedzeniu.

- Trudno. Chcę tylko, abyście wiedzieli, że nie próbuję udawać męczennika. Laureen doskonale wie, co robi, wydzielając mi jedzenie. Zresztą czasem pozwala mi coś skubnąć między posiłkami, to znaczy, mam na myśli te moje potrawy jak dla chorego kota. Laureen troszczy się o mnie i wie, czego mi potrzeba. Jest bardzo wyrozumiała.

Mina, jaką zrobiła Laureen na widok ich trójki wkraczającej do gabinetu Jamesa, nie potwierdziła tej opinii. Była mieszaniną zdziwienia i niezadowolenia. Kiedy James wyjaśnił powód przybycia nieoczekiwanych gości, twarz Laureen stężała we wrogą maskę.

- Najpierw musisz się przebrać, James - powiedziała sucho i razem z mężem wyszła z gabinetu.

- Chyba nie jest zachwycona, że tu przyszedłem - rzekł Drew, kiedy drzwi się zamknęły.

- Na pocieszenie powiem ci, że i mój widok jej nie zachwycił - szepnęła Sydney. - To bardzo ładnie, że tak o niego dba, chroni go i o wszystkim myśli, ale chyba trochę przesadza. Jest nadopiekuńcza.

Drew sięgnął po leżącą na biurku starą księgę, oprawną w zniszczoną skórę, i zaczął od niechcienia przeglądać pożółkłe kartki.

- Czym ona się tak przejmuje? Co tu może być?

- Raczej co ukrywa. Zachowuje się tak, odkąd tu przyjechałam. Już pierwszego dnia taka była.

Sydney rzuciła okiem na biurko senatora. Leżące na nim stare bruliony mogły być pamiątkami Fowlerów.

Drew usiadł na krześle i rozejrzał się.

- Ciekawe, gdzie schował się Johnenstein. Zwykle chodzi za senatorem krok w krok.

Przysiadła na podłodze obok krzesła Drew i sięgnęła po pożółkłą księgę.

- Dlaczego go tak nazywasz? Co ci w nim przypomina Frankensteina? - Drew podniósł oczy znad lektury.

- John Laker wygląda jak cyborg. Taka sztucznie skonstruowana, bezduszna istota. Zauważ, chodzi za Jamesem jak automat, powtarza wszystkie jego ruchy. Jest gotów zrobić wszystko za

naciśnięciem guzika. Rusza się powoli, jakby miał buty obciążone metalem. Lekko pociąga nogą. Nic nikomu nie mów, ale pomocnika złej czarownicy Morgany zrobiłem właśnie na wzór Johna.

Słumiła śmiech i zaczęła czytać jeden z ręcznie zszytych tomów. Po chwili drzwi się otworzyły i pokój wypełnił zapach drogich perfum. Uniosła głowę po to, żeby spotkać lodowate, wrogie spojrzenie Laureen. Gospodarze ubrani byli bardzo swobodnie. Senator miał na sobie pomarańczowy płócienny komplet, a Laureen dzinsy i bawełnianą koszulkę. Dopiero po dokładniejszych oględzinach można było stwierdzić, że spodnie Laureen szyte są na miarę, a koszulka pochodzi z najwytworniejszej sportowej firmy. Turkusowy medalion wiszący na szyi królowej śniegu kosztował zapewne więcej, niż zwykły człowiek jest w stanie zarobić w ciągu roku.

Senator objął żonę ramieniem; z tyłu, lekko powłócząc nogą, nadciągał John Laker. Rzeczywiście kulał. Drew miał rację: podobieństwo do cyborga było uderzające. Sydney poczuła porozumiewawcze dotknięcie i siłą opanowała śmiech.

- Wzięliśmy na serio twoje zaproszenie do lektury i zaczęliśmy przeglądać te papiery, James.

Senator usiadł przy niej na podłodze.

- Bardzo dobrze zrobiliście. - Spojrzał Sydney przez ramię na datę czytanego przez nią fragmentu. - W tym nie znajdziesz nic ciekawego. Przejrzyj raczej ten.

Podał jej inny, równie podniszczony plik zeszytów.

- Tutaj masz okres poprzedzający zniknięcie Mary.

- Czy znalazłeś tamten brakujący pamiętnik? - zapytał Drew. - Ten, który zginął.

- Nie, ale on nie zginął. Ktoś go schował. Musi być gdzieś tutaj, w tym domu. Laureen nie mogła wczoraj porozmawiać z ojcem, bo był w nie najlepszym stanie, ale pójdzie do niego dzisiaj i znowu spróbuje. Może ojciec będzie miał przebłysk świadomości i naprowadzi nas na jakiś ślad.

Sydney zauważyła, że Laureen i John zasiedli w fotelach, nie zdradzając najmniejszego zainteresowania rozmową dotyczącą pamiętników. Zachowywali się tak, jakby przebywali tu jedynie w roli strażników, w milczeniu i z widoczną dezaprobatą czuwających nad resztą. Senatorowi to nie przeszkadzało.

- Darcy Fowler nie był zakochany w Mary - powiedział Drew, unosząc głowę znad dziennika. - To było coś więcej, prawdziwa obsesja. Przeczytałem dziesięć stron. Píše na nich wyłącznie o „swojej ukochanej Mary”.

Sydney uniosła głowę znad lektury.

- A tutaj wspomina o tej przestrzelonej monecie. To, że był lepszy w strzelaniu niż Andrew Joshua, wyjątkowo go cieszyło.

Przewróciła kartkę.

- Tutaj też o tym píše, ale jakoś dziwnie. Posłuchajcie: „Ojciec powiedział, że to nie jest fair stale mu to wypominać, mówić, że przegrał ze mną”. - Spojrzała na senatora. - Wiesz, o co mu chodzi?

Drew chciał coś powiedzieć, ale ruchem ręki poprosiła, żeby tego nie robił. Chciała usłyszeć wyjaśnienie senatora. Rodzinna tradycja nieraz upiększa dawne wydarzenia. Chciała usłyszeć

wersję obowiązującą u Fowlerów. Ciekawe, czy jest podobna do tego, co na ten temat mówi Clay James uśmiechnął się.

- To było w czasie jarmarku. Jak zwykle przy takich okazjach mężczyźni popijają, a potem starają się dowieść, który z nich jest lepszy. Z tego, co słyszałem od mojej rodziny, Andrew był lepszy od Darcy'ego w strzelaniu, co tego drugiego bardzo rozzłościło. Wyzwał go, żeby spróbowali, który z nich potrafi przestrzelić złotą monetę. Andrew przegrał. Od tej pory Darcy nigdy nie rozstawał się z dowodem swojej wyższości. Nosił tę monetę przy sobie i wszystkim ją pokazywał. Sądzę, że była to po prostu jedyna rzecz, która mu się udała, jeśli chodzi o konkurowanie z Andrew Joshua. Andrew we wszystkim był lepszy i ta nieszczęsna moneta była jedynym dowodem na to, że Darcy też coś potrafi. Słyszałem jeszcze, ale nie wiem, ile w tym prawdy, że Andrew specjalnie pozwolił mu zwyciężyć, a może nie dość starannie celował, bo coś odwróciło jego uwagę.

Laureen podeszła do nich i przykucnęła na podłodze za plecami męża. Spojrzała na Sydney.

- Jak rozumiem, nie wierzysz w to, że Andrew Joshua pomógł ci wtedy po wypadku. Nie wierzysz przecież w duchy?

Było w jej głosie coś, co pozwalało przypuszczać, że Laureen po raz pierwszy próbuje nawiązać nić porozumienia.

- Gdybyś mnie o to zapytała przed moim przyjazdem do Wallace, odpowiedziałabym, że oczywiście nie. Teraz sama nie wiem. A ty, Laureen, wierzysz w duchy i zjawy?

- Oczywiście, że nie.

Laureen roześmiała się, popatrzyła na męża, potem na Drew, a potem znowu na Sydney.

- Boże! Widzę, że wy wszyscy serio traktujecie to, co ona mówi. Ale dlaczego?

John Laker poruszył się w fotelu. Widać było, że ta cała rozmowa wyprowadza go z równowagi.

- Uważam, że to absurd, chyba zwariowaliście. Jeśli panna Tanner zdecyduje się napisać, że kandydat na prezydenta wierzy w duchy, pograży pana, senatorze. Nie będzie pan miał żadnych szans. Opinia publiczna ma, niestety, dobrą pamięć, prasa też. Wszystko, co pan teraz powie, może panu zaszkodzić w przyszłości.

- Przestań krakać, John - burknął senator.

- Zresztą ja nie jestem tu dzisiaj jako dziennikarka. Nie przejmuj się, John - dodała Sydney.

John wykrztusił jakieś mocne, niezbyt parlamentarne słowo i senator ostrym tonem przywołał go do porządku. Potem wysłał doradcę na strych, by jeszcze raz przeszukał jego zawartość.

- Bardzo cię przepraszam, Sydney - powiedział, opanowując gniew. - To dobry i lojalny człowiek. Nieoceniony, jeśli chodzi o sprawy zawodowe. Takich profesjonalistów nie spotyka się zbyt często. Stara się mnie chronić i zapomina przy tym, że ja też jestem człowiekiem. Że mogę mówić we własnym imieniu, że mogę mieć własne zdanie, że nie zawsze rzecznik musi się za mnie wypowiadać. Nie mieści mu się w głowie, że mogę powiedzieć coś tak, od siebie, a nie z kartki, i że mogę sam decydować o pewnych sprawach, nie odwołując się do swoich doradców.

Zapanowała cisza. Przerwała ją Laureen.

- Przypuśćmy, że to, co powiedziała Sydney, jest prawdą. Dlaczego w takim razie Andrew ukazał się właśnie jej i czego właściwie chciał?

Nikt nie odpowiedział. Pani domu spojrzała na nich z wyższością.

Drew odłożył na chwilę swoją część pamiętnika.

- Nie wiem, dlaczego ukazał się właśnie Sydney. Może to miało coś wspólnego z burzą.

Wszyscy świadkowie tamtych wydarzeń wspominają straszną burzę, jaka spustoszyła okolicę. Na przykład Jim Ransom mówi...

- Jim Ransom to wariat - przerwała mu Laureen.

- Mówi, że ma sto lat, co nawet może być prawdą. Ale mówi też, że brał udział w wojnie domowej, co już jest przesadą. Jak się rozpędzi, to może powiedzieć, że pomagał Noemu budować arkę.

- Po prostu czasem trochę mu się mąci w głowie.

- Senator był bardziej wyrozumiały. - W wojnie domowej walczył jego ojciec. Jim nasłuchiwał się w domu opowieści o tamtych wydarzeniach i trochę mu się pomieszało. - Pocałował Laureen w policzek. - Opowiadaj, Drew, co Jim ci powiedział.

- Mówił, że w tysiąc dziewięćsetnym był małym chłopcem, ale doskonale pamięta tamtą burzę. Opisuje wszystko zgodnie z relacjami innych osób. Ta burza, która była w zeszłym tygodniu, przypomniała mu tamtą sprzed lat. Wszystko do niego wróciło. Zadzwoił do Claya i przez godzinę opowiadał mu o tamtych sprawach. Powiedział, że ta burza była zupełnie identyczna jak tamta, w czasie której zginęła Mary. A ponadto nie zapominajmy, że Sydney miała dokładnie taki sam wypadek jak Andrew. Jego wóz też stoczył się do rowu, kiedy wracał do domu i do Mary.

Sydney chciała się uszczypnąć. To nie do wiary! Cztery dorosłe osoby, w biały dzień, rozmawiają sobie o duchach, jakby nigdy nic! A co gorsza, najbardziej dotąd nieprzejednana z nich też zaczyna wierzyć, że duchy istnieją... Spojrzała z uśmiechem na Laureen. Ta odwzajemniła jej uśmiech i skinęła głową, jakby czytała w jej myślach.

- One myślą, że zwariowaliśmy, Drew - powiedział James. - Drogie panie, pozwólcie sobie coś powiedzieć. Gdybyście chociaż raz w życiu znalazły się nocą w tutejszych lasach, zrozumiałybyście, o co chodzi. Nie takie rzeczy się zdarzają w tej okolicy. Nie wszystko można wytłumaczyć racjonalnie. Opowiedz im, Drew, ty znasz te bory. Nieraz tu polowałeś i łowiłeś ryby. Powiedz im, co widziałeś, kiedy zapada zmrok.

- James ma rację. - Drew złowrogo ściszył głos. - Pamiętam, jak pewnej nocy... Laureen zasłoniła sobie uszy.

- Nie chcę tego słuchać!

Sydney roześmiała się wspólnie z mężczyznami, ale sercem była po stronie Laureen. Drew spoważniał.

- Coś wam powiem. Mój dziadek przywiązuje wielką wagę do tego wydarzenia. Uważa, że Andrew chce nam coś przekazać. Cały wczorajszy dzień spędził w okolicy domu, w lesie. Dziś po południu też zamierza tam być, mimo że Rosa go błaga, żeby tego nie robił. Stale powtarza, że jego ojciec przybył, żeby nam coś powiedzieć i posłużył się pośrednictwem Sydney. Wierzy, że Andrew Joshua pokaże mu, gdzie jest Mary i wtedy wyjaśni się, kto ją zabił.

- Nigdy nie słyszałam czegoś podobnie absurda! - zawołała Laureen. - Chyba nie mówisz tego poważnie!

James nie zwrócił uwagi na wzburzenie żony. Nie odwracał wzroku od Drew.

- Czy wczoraj zdarzyło się tam w lesie coś niezwykłego?

- Nie.

Pograżyli się w rozważaniach, co by było gdyby. Sydney, zatopiona w czytaniu pamiętnika, słuchała ich niezbyt uważnie. Nagle podniosła oczy znad papierów.

- Może Clay był tam w niewłaściwym czasie?

Umilkła, jakby zdumiona swoimi własnymi słowami.

- Co masz na myśli? Poszedł tam o tej samej porze, o której wydarzył się twój wypadek i - przed laty - wypadek, który miał Andrew. Był tam dokładnie o tej samej godzinie.

Wzdrygnęła się przed tym, co miała powiedzieć.

- Owszem, ale poszedł tam w biały dzień, Drew. A w czasie tej mojej... przygody było zupełnie ciemno. Ciemno jak w nocy, z powodu burzy. Może Clay powinien pójść w nocy.

- Ona ma rację - zapalił się James. - Kto słyszał, żeby duch ukazywał się w świetle dziennym? Clay musi tam koniecznie pójść w nocy. I to dziś w nocy. Przecież dzisiaj przypada rocznica śmierci Andrew.

Nagły odgłos ciężkich, dochodzących gdzieś z góry kroków sprawił, że wszyscy drgnęli. Senator popatrzył na sufit i westchnął.

- Cholerny John, jak zwykle w samą porę... Mogę się założyć, że robi to specjalnie.

Tym razem nie wytrzymała Laureen.

- Chyba powariowaliście. Mam tego dość. Zerwała się z podłogi, obciągnęła spodnie, poprawiła koszulkę, odrzuciła do tyłu włosy.

- Idę teraz do ojca, James. Zobaczę, co się da zrobić. Skoro tak się uparliście, żeby czytać te dzienniki... Ale to będzie wszystko, co zrobimy w tej sprawie. I tak już zbyt dużo czasu poświęciliśmy jakiejś starej historii sprzed stu lat. Dość tego, zostawmy zmarłych w spokoju.

Senator wyszedł za żonę, a Sydney wróciła do lektury.

- Które z nich mogło się włamać do domu Emmy i ukraść twoje dyskiety, jak sądzisz?

Spojrzała na niego z uśmiechem. Właśnie o tym myślała.

- Moim zdaniem, to sprawka Johna.

- Moim też. Oczywiście królowa śniegu... - urwał, widząc, że Sydney przestała aprobować to przezwisko - to znaczy Laureen, też miała powody. Jak wiesz, bardzo przejmuje się wszystkim, co dotyczy Grubaska.

- Może, ale nie należy do osób, które włamywałyby się nocą do cudzego domu. To nie w jej stylu, zbyt pospolite. A co myślisz o senatorze? Czy ciekawość mogłaby go skłonić do takiego postępuku?

Odłożyła dziennik.

- Nie sądzę. Drew zamyślił się.

- Grubasek nie jest do tego zdolny. Oczywiście, zawsze mógłby kogoś w tym celu wynająć.

- Chyba nigdy się nie dowiemy, kto to był. Może i lepiej. Wcale nie chcę tego wiedzieć.

Wstała z podłogi i zaczęła składać papiery.

- To fascynujące, te ich zapiski. Mogłabym to czytać bez końca. Wspaniały dokument tamtych czasów. Opowieść i źródło historyczne jednocześnie. Ale nie mogę dać się wciągnąć, zaprowadzi mnie to donikąd. Potrzebna nam jest tylko tamta część, pisana w okresie, kiedy zamordowano Mary. Ten pamiętnik, który zaginął.

- Ukryto go - poprawił ją Drew. - Tak powiedział ojciec Grubaska. - Wstał i spojrzął na zegarek. - Chodźmy teraz do Rosy na lunch. Przy okazji pogadamy sobie z Clayem.

Poczekali chwilę na Jamesa, a kiedy przyszedł, pożegnali się i poszli razem korytarzem w stronę wyjścia. Mijając salon, Drew zatrzymał się w progu.

- Nigdy nie widziałeś tego portretu, prawda? - James popatrzył za wzrokiem Drew.

- Nie, nigdy. Widziałem stare fotografie, ale tego nigdy. Drew powoli, jak we śnie, podszedł do kominka. James i Sydney poszli za nim.

Była niezwykle piękna; nie mógł od niej oderwać wzroku. Hipnotyzowała go spojrzeniem niezwykle, cudownych oczu. I uśmiechem. Oczy miała doprawdy niezwykle, zupełnie jak... Oderwał wzrok od portretu i spojrzął na stojącą obok kobietę.

- Ma oczy zupełnie jak... ty. Sydney podskoczyła.

- Co ty mówisz? Moje oczy są niebieskie. Ona ma raczej zielonkawę, szmaragdowe.

- Nieważne. Na jedno wychodzi.

- Właśnie, że ważne - odparła i szybkim krokiem wyszła z pokoju.

- Sydney, on się chyba z tobą droczy. Przynajmniej na to wygląda - zdążył wtrącić senator.

- Dajcie mi spokój, przestańcie. To wcale nie jest zabawne.

Nie mogła im powiedzieć, że nie ma ochoty żartować z czegoś, co dotyczy portretu Mary. Mary stała się w jej życiu kimś niezwykle ważnym i nie zamierzała z niej drwić. Wszystko, co dotyczyło Mary, dotyczyło jej samej i dlatego tak bardzo bolało. Mogła pozwolić, żeby sobie w jej obecności żartowali z duchów, nawet z Andrew, ale z Mary - nigdy.

Od pierwszej chwili, kiedy zobaczyła jej portret w tamtym domku w lesie, uderzył ją smutek Mary Clayton-Wallace. Ciekawe, dlaczego nikt nie zwrócił uwagi na przygnębienie malujące się na jej twarzy. Czyżby nikt tego nie dostrzegł? Nagle zdała sobie sprawę, że tylko ona jedna widzi we wzroku Mary rozpacz i ból. Mary stała się dla niej kimś tak rzeczywistym jak Emma. Musiała być niezwykle wrażliwą istotą. I jak wszystkie kobiety tego rodzaju stała się ofiarą. Zabiła ją miłość dwóch mężczyzn. Padła niewinną ofiarą miłości i zazdrości. Kochało ją dwóch mężczyzn i jeden ją zniszczył, a drugi zapłacił za swoją miłość własnym życiem. To Mary potrzebowała pomocy, właśnie ona, a nie Andrew Joshua. Trzeba ją odnaleźć i Sydney wiedziała, że zrobi wszystko, żeby to uczynić i wyjaśnić tajemnicę do końca.

Słońce świeciło jej prosto w głowę, jakby chciało roztopić mózg. Gorące podmuchy muskały rozgrzaną twarz i rozwiewały mokre od potu włosy. Sydney myślami była jednak tak daleko, że nie zwracała uwagi ani na upał, ani na rozedrgane żarem powietrze, ani na siedzącego obok niej w samochodzie mężczyznę.

Drew spojrzął na nią kątem oka. Zobaczył tylko tył głowy. Sydney udawała, że uważnie wpatruje się w mijany krajobraz.

- Jeszcze się na mnie gniewasz? Dlaczego?

Nie odpowiedziała. Odwróciła głowę i widział teraz jej profil. Po policzku Sydney wolno spłynęła łza. Drew zjechał na pobocze i stanął. Przysunął się bliżej i objął ją.

- Sydney, nie płacz, bardzo proszę. Przepraszam, że zrobiłem ci przykrość. Naprawdę nie chciałem.

Nagle zatrzymanie się samochodu wyrwało ją z zamyślenia. Spojrzała prosto w jego szmaragdowe oczy i ześliznęła się wzrokiem na usta.

- Dlaczego stoimy?

Nic nie powiedziała, kiedy dotknął jej policzka i delikatnym ruchem starł łzę. Nie wiedziała, że płacze.

- Dlaczego płakałaś?

- Nie wiem.

Nie bardzo uwierzył.

- Dlatego, że powiedziałem, iż jesteś podobna do Mary. Nieświadomie zrobiłem ci przykrość.

W oczach Drew było tyle smutku, że oparła głowę na jego ramieniu.

- Myślałam o niej. Nie mogę przestać o niej myśleć, Drew. Próbowałam sobie wyobrazić, co ona przeżyła tamtego dnia. Sama w lesie z malutkim dzieckiem podczas tej potwornej burzy. Musiała się strasznie bać.

Przebiegł ją dreszcz, jakby miała wysoką gorączkę.

- Nie wiem, kto ją zabił, ale jestem pewna, że w ostatniej chwili myślała tylko o Andrew i Clayu.

- Nie wierzysz, że mąż mógł ją zabić? Przymknęła oczy i znowu znalazła się w tamtym domku w lesie.

- Kiedy byłam z Andrew, czułam, że jest bardzo silny i stanowczy, ale szlachetny i dobry. Było w nim tyle czułości i współczucia. Nigdy nie uwierzę, że mógł zabić Mary.

Drew odetchnął z ulgą na myśl, że to nie on był przyczyną jej łez. Zapragnął mocno ją objąć, przytulić, pocałować. Rozżarzona droga w środku Teksasu nie nadawała się jednak na parking. Jedną ręką objął Sydney, drugą ujął kierownicę.

- To musiał być Darcy.

- A może jakiś włóczęga?

- Gdyby zabił ją włóczęga, nie ukryłby ciała. Myśl, że mordercą mógł być Darcy, była bardzo prawdopodobna, wymagała jednak potwierdzenia. Nie można Fowlerów obarczać

domniemaną winą. Sydney wytarła spoconą twarz chusteczką. Samochód jechał teraz szybciej i powiew wiatru był mniej gorący.

- Czytałaś ten fragment pamiętnika, który poprzedza zaginioną część?

- Tak i wiem, o czym myślisz. Darcy kochał Mary do szaleństwa, to uczucie go opętało. Nie mógł znieść myśli, że jest żoną innego mężczyzny, zwłaszcza jeśli tym mężczyzną był Andrew Joshua. Napisał, że na samą myśl o tym, że Mary ma dziecko z kimś innym, jest fizycznie chory. Chyba mógł ją zabić. Myślę, że tak, ale dlaczego? Dlaczego zamiast niej nie zabił jej męża? Przecież zabijając ją, zabił jedyną osobę, którą kochał.

Podjechali pod rezydencję Claya i Rosy. Sydney nie od razu wysiadła z samochodu.

- Drew. - Zwróciła ku niemu twarz noszącą jeszcze ślady łez. - Myślisz, że uda nam się dowiedzieć, co się wtedy naprawdę stało? Nie będę mogła tutaj żyć, jeśli się tego nie dowiem.

Drew uniósł oczy do nieba.

- Dzięki ci, Joshua - powiedział uroczyście. Wziął Sydney za rękę i razem poszli w górę po schodach. Drew otworzył drzwi i głosem, który mógłby obudzić zmarłego, zawołał na cały dom:

- Clay! Rosa! Jesteśmy!

Rosa szybkim, drobnym kroczkiem wyszła z kuchni, wycierając ręce o fartuch. Odrzuciła z czoła niesforny kosmyk siwych włosów.

- Musisz tak krzyżeć? Co za niewychowane chłopaczysko... - Pozwoliła pocałować się w policzek i spojrzała na zegarek. - Rozumiem, dlaczego się zjawiliście. Pora na lunch.

- Znajdzie się coś dla nas, babciu?

- Chyba tak. Właśnie zaczęłam piec kurczaka. Drew oblizwał się, cmoknął i objął babkę ramieniem.

- Udało ci się, Sydney. Nikt tak nie robi kurczaka jak moja babcia. - Pociągnął nosem jak ogar węszący zwierzynę. - Czuję, że piekłaś dzisiaj chleb.

Rosa Wallace objęła Sydney i pociągnęła ją za sobą do kuchni.

- Chodź ze mną, dziecko. Wyglądasz tak, jakbyś go miała w tej chwili dosyć. Drew nie dał się zgubić.

- A gdzie się podziewa staruszek? Chyba nie wybrał się w ten upał do lasu?

- Twój dziadek - z powagą odparła Rosa - przebywa obecnie w garażu, gdzie poszukuje nożyc ogrodniczych. Powiedział, że albo sam sobie zdejmie ten cholerny gips, albo utnie nogę. Dłużej tak nie wytrzyma.

Wybuchnęła śmiechem i ciągnęła:

- Do późna w nocy siedział przed telewizorem i drapał się starym wieszakiem. Mówił, że pod gipsem strasznie go swędzi. Wiesz, że nieraz zachowuje się jak małe dziecko. Drew, musisz coś zrobić, musisz go przekonać, że nie może iść dzisiaj do lasu. Miał silne bóle głowy, ciśnienie znowu mu podskoczyło.

Widać było, że mimo żartobliwego tonu bardzo się o męża niepokoi.

- Idź do niego, porozmawiaj z nim, zrób coś, żeby tam dzisiaj nie chodził.

Drew posłuchał natychmiast. Rosa ze zdumieniem patrzyła, jak wychodzi z domu.

- Niesamowite. Zwykle trzeba mu wszystko powtarzać po sto razy, zanim się ruszy. - Spojrzała domyślnie na Sydney. - Bardzo mu z tobą dobrze. Od dawna nie widziałam go w takim nastroju. Musi być bardzo szczęśliwy.

Otworzyła drzwi prowadzące z kuchni do ogrodu.

- Kurczak musi się jeszcze popiec z godziną. Chodźmy do oranżerii ściąć trochę kwiatów do ozdobienia stołu. Opowiesz mi, co planujecie na dzisiejszy wieczór.

Rosa Wallace potrafiła słuchać. Sydney ze szczegółami opowiedziała jej o wizycie u Fowlerów i o tym, czego się dowiedzieli ze starych dzienników.

- Myślisz, że kiedy się ściemni, coś się wydarzy?

- Nie wiem, Roso. Ja nawet nie wiem, czy wierzyć, że to naprawdę duch uratował mi życie. To trochę dziwne, prawda?

- Nie tak bardzo, jak ci się wydaje. Andrew Joshua pewnie nie zaznał spokoju, mam na myśli jego duszę. Zginął w tak tragicznych okolicznościach... Nikt na jego miejscu nie zaznałby spokoju. Ale kiedy o tym myślę, głównie myślę o Mary. Jestem matką i babką. Gdyby spotkało mnie coś bardzo złego i wiedziałabym, że świadkiem tego jest moje dziecko, bałabym się przede wszystkim o jego życie. Jestem już stara, widziałam i słyszałam rzeczy bardzo, bardzo dziwne. Dlatego tak spokojnie przyjąłem tę historię.

- Nie myślisz, że zwariowałam?

Rosa zatrzymała się i spojrzała Sydney prosto w oczy.

- Jeśli ty zwariowałaś, dziecino, to zwariowały te miliony ludzi na całym świecie, które wierzą w duchy. Postępuj tak, jak ci każe instynkt. Rób to, co czujesz, że masz zrobić. Zdaj się na swoje wycucie.

Sydney miała wrażenie, że spada z niej wielki ciężar.

Tak jakby ktoś zdjął nagle z jej ramion brzemień przekraczające jej siły. Uspokojona, rozejrzała się z ciekawością dokoła. Wyszły z ogrodu zimowego wprost na okalający posiadłość teren. W miarę jak oddalały się od domu, drzewa robiły się coraz mniejsze. Doszły w końcu do pięknego sadu, a dalej rozciągał się nieduży warzywnik.

- Uwielbiam świeże jarzyny i wszelkiego rodzaju zioła. Sama gotuję, lubię to. Lubię zajmować się domem i mężem. Może jestem trochę staroświecka? Chyba jestem bardzo, bardzo staroświecka. Teraz wszystko jest inaczej.

A widząc zmieszanie Sydney, uśmiechnęła się serdecznie.

- Jesteś bardzo wrażliwa. Musisz okrzepnąć; w tej rodzinie trzeba umieć się rozpychać łokciami. Z czasem się tego nauczysz.

Sydney nie zdążyła odpowiedzieć, bo zafascynował ją widok trzech niewielkich szklami. Wyglądały jak małe chatki.

- Tę najmniejszą nazywam moim wiosennym domkiem - wyjaśniła Rosa. - Hoduję w niej tulipany, dalie i hiacynty. Dwie pozostałe służą po trochu do wszystkiego. Mam tam różne inne kwiaty, róże i trochę warzyw, które wymagają szczególnej opieki. Kiedy nadchodzi zima, mamy wszystkie nowalijki, jakie chcemy.

- Chyba nie zajmujesz się tym wszystkim zupełnie sama?

- Nie. Nie dałabym rady. Clay nieraz mi pomaga, a od czasu do czasu udaje mi się ściągnąć Drew. Chociaż mój wnuk często bywa nieuchwytny. Obaj stale powtarzają, że nie znoszą babrać się w ziemi, ale to nieprawda. Tylko tak mówią. Ziemia ma w sobie coś kojącego. Kiedy się ją uprawia, człowiek robi się lepszy. Drew, po rozwodzie z Ellen, często tu przychodził. Nieraz w nocy widziałam, jak siedzi i patrzy w gwiazdy. Potem, kiedy zabrał się do remontu Kasztanowego Dworu, wiedziałam już, że doszedł z sobą do ładu.

Rosa otworzyła drzwi do szklanego domku i wprowadziła Sydney do środka.

- Ale nie myślałam, że kiedykolwiek zobaczę go tak radosnego jak teraz. Od twojego przyjazdu bardzo się zmienił. Jest taki sam jak dawniej.

Sydney nie była w stanie wymówić słowa. I to nie z wdzięczności. Oszłomił ją zapach i kolor kwiatów. W chłodnym pomieszczeniu klimatyzowanej szklami kwiaty, oddzielone od morderczego upału szklanymi ścianami, kwitły wspaniale, mieniąc się barwami wiosennej świeżości.

- Właśnie takie kwiaty widziałam dzisiaj pod tym drzewem, gdzie powieszono Andrew.

- Tak. To moje. Bardzo lubię świeżo ścięte kwiaty. Nie żyją długo, ale przez moment robią wrażenie czegoś naprawdę pięknego i niebanalnego. Nie można obok nich przejść obojętnie.

- Tak. I są dowodem pamięci.

- Właśnie dlatego to robię. Mówię temu miastu, że pamiętam o tym, co się stało. Clay też czci ten dzień. Daje swoim pracownikom wolne, aby pamiętali, że to bardzo ważna rocznica.

Rosa ścięła kilka tulipanów.

- Pewnie sobie myślisz, że jesteśmy parą starych dziwaków.

Sydney wybuchnęła śmiechem.

- Prawdę mówiąc, tak. Ale to chyba musi być zaraźliwe. Ja jestem takim samym dziwakiem jak wy;

Rosa z uśmiechem ujęła ją pod ramię.

- Wracajmy do domu. Drew chyba już skończył rozmowę z Clayem. Mam nadzieję, że przekonał go, żeby nie robił głupstw. Mam też nadzieję, że za bardzo się nie pokłócili. Nie zdziw się, kiedy będą na siebie warczeć jak rozzłoszczone bulterierki.

Drew i Clay siedzieli przy kuchennym stole, patrząc na siebie bez słowa.

Na widok wchodzących kobiet, Drew wstał z krzesła.

- Jak widzicie, dziadek nie zdołał jeszcze zerwać gipsu.

- Nie krępuj się! Opowiedz paniom, jak obezwładniłeś starego, schorowanego człowieka i odebrałeś mu nożyce - sapnął ze złością Clay, energicznie drapiąc się starym wieszakiem. - Wiesz, Rosa, chyba mi się tam zagnieździło stado wróbli.

Rosa zagryzła wargi.

- Kochanie, nie myśl o tym. To przejdzie.

- Nigdy nie sądziłem, że rodzona żona może mnie tak traktować. Zdechnę, jak mnie nie przestanie swędzieć. Zadzwonź zaraz do tego doktora Doolittle i powiedz mu, żeby mi coś przysłał. A ty czego się śmiejesz?

Groźnie spojrzał na Sydney.

- Myślę, że nie czujesz się na siłach, żeby pójść z nami wieczorem do lasu - powiedziała i umilkła, bojąc się, że może kogoś z obecnych uraziły jej słowa. Zapanowało głucho milczenie.

Siwe krzaczaste brwi Claya podjechały do góry. Sydney zerknęła na Rosę i z ulgą spostrzegła, że starsza pani wbiła oczy w sufit i siłą powstrzymuje się od śmiechu. Wzruszyła nawet ramionami. Sydney spojrzała na Drew. Ten miał wzrok wbity w podłogę.

- Słyszysz, Rosa, jak ktoś się tu ze mnie nabija?

- Owszem. Widzę nawet, jak to świetnie na ciebie działa. Noga chyba już znacznie mniej swędzi...

- Do cholery z nogą.

Clay zerknął spod oka na Sydney. Na jego obliczu nie było śladu gniewu. Już był gotów się uśmiechnąć, kiedy rozległ się telefon. Clay sięgnął po słuchawkę. Przez chwilę słuchał, cicho posapując. Potem przykrył dłonią mikrofon i machnął ręką na Sydney.

- Idź do salonu - polecił szeptem. - Tam jest drugi telefon. Idź tam i słuchaj.

Drew poszedł za nią. Podczas całej rozmowy stał obok, starając się coś usłyszeć. Po chwili Sydney odłożyła słuchawkę.

- Kto to był? W jakiej sprawie?

- Dokładnie nie wiem. Jakaś kobieta coś czytała. Wrócili do kuchni. Clay właśnie skończył rozmowę.

- I co ty na to, dziewczyno? Coś ci to przypominało?

- Nie wiem... Coś jakby tekst z mojej skradzionej dyskietki - odparła z wahaniem. - Kim jest ta kobieta?

- Może mi powiecie, o co właściwie chodzi - wtrącił zniecierpliwiony Drew. - Nic nie rozumiem. Clay zachichotał.

- Dzwoniła Sally Pearson. Odczytała mi tekst artykułu Buddy'ego do jutrzejszego wydania „Wallace Morning Sun”. Ma go przed sobą w komputerze. Jest to artykuł o dziennikarce z Waszyngtonu, która miała wypadek przy Piney Creek Road, i o rodzinach Wallace'ów i Fowlerów. Sally wie, że Sydney nie rozmawiała z Buddym, nie udzieliła mu żadnego wywiadu, a ten tekst w niczym nie przypomina stylu Buddy'ego. Sally może nie należy do osób bardzo dyskretnych, ale zna granice i nie lubi nieuczciwości. Słyszała o włamaniu do domu Emmy, a ponieważ Howard, ten policjant, jest jakimś jej krewnym, dowiedziała się od niego o kradzieży dyskietek. Skojarzyła jedno z drugim i wyszło jej, że trzeba do mnie zadzwonić.

- Czy to znaczy, że to Buddy włamał się do domu Emmy?

Clay spojrzał pytająco na Sydney.

- Czy to, co ona czytała, to były twoje słowa?

- Nie jestem pewna - odparła po namyśle. - To było bardzo podobne, ale nie mogę nikogo o nic oskarżać, zanim nie zobaczę całego artykułu. To było bardzo, bardzo podobne, ale przecież Buddy nie byłby taki głupi, żeby mnie cytować dosłownie. Pewnie trochę przerobił ten tekst.

Clay sapnął.

- Nawet taki idiota jak Buddy potrafi opisać burzę własnymi słowami.

- Nie rozumiem tylko, w jakim celu miałby to robić? Clay uśmiechnął się jak stary lis.

- Ostatnia, rozpaczliwa próba uratowania gazety. Sensacyjna historia mająca przyciągnąć ludzi. A może nawet jakiegoś prasowego rekina... Na przykład ojca Sydney.

Sydney jęknęła.

- Tylko tego mi brakuje! Żeby tatuś do mnie zadzwonił i zapytał, jak mi się w Teksasie poluje na duchy. Drew podejrzliwie spojrzął na dziadka.

- Coś ty takiego zrobił, Clay? Wyglądasz na dziwnie z siebie zadowolonego.

- Dowiecie się wkrótce, a Buddy dowie się już jutro rano, jak dostanie urzędowe pismo z banku. I zobaczy szeryfa.

Rosa była bardziej stanowcza.

- Clay, masz mi zaraz powiedzieć, co zbroiłeś. Słyszysz?

Spojrzął na nią jak chłopiec, który wyjadł konfitury ze spizarki.

- Mówiłem ci, kochanie, że jest kilka sposobów złapania skunksa w pułapkę. Buddy Hilton przyczynił się do śmierci Williama. Nasz syn nie był święty, to prawda, ale Hilton to urodzony podlec. Zawsze nienawidził naszej rodziny i nigdy tego nie krył. Jest starym, wrednym hipokrytą, zasługującym na naprawdę zły los. Każdy, kto kiedykolwiek czytał jego wypociny, wie, że jest rasistą z krwi i kości. W zeszłym roku dowiedziałem się, nieważne jak ani od kogo, że należy do Ku-Klux-Klanu.

Uderzył gipsem o stół.

- Nie potrzebujemy, żeby ktoś taki w naszym mieście zatruwał swoim szmatławcem młode umysły.

- I co w takim razie zrobiłeś, ty stary lisie?

- Nic takiego. - Clay triumfalnie rozejrzał się po swoim audytorium. - Po prostu go wyeliminowałem, to wszystko.

Drew spojrzął na Sydney.

- Usiądź sobie i spokojnie czekaj. Dziadek jeszcze trochę nacieszy się w duchu swoim sukcesem i już za jakąś godzinę wszystkiego się dowiemy.

- Nie zamierzam trzymać was w niepewności. Powiem wam teraz. Oto co zrobiłem: postanowiłem zamknąć mu gębę. Okazja sama wpadła mi w ręce. Jakies dziewięć miesięcy temu Hilton postanowił wziąć pożyczkę z banku na unowocześnienie tej swojej budy. Chciał kupić komputery, drukarki, i takie tam inne. Jak wiecie John Marsh, dyrektor banku, nienawidzi go. Porozumieliśmy się i rączka w rączkę zrobiliśmy małą intryżkę. Taki cienki numer, trochę nielegalny, ale kto tam się tego dopatrzy? Dowodów nie ma. Cicho sza, a Buddy nie ma swojej budy.

- Clay - jęknął Drew - czy ty nigdy...

- Nie przerywaj, daj mi skończyć.

- Clay, kochanie. - Rosa położyła rękę na ramieniu męża. - Nie podniecaj się tak, bo jeszcze sobie zaszkodziś. Jeśli natychmiast nie przestaniesz, nie wpuszczę cię do sypialni. Będziesz spał w pokoju gościnnym, zobaczysz.

Sydney odwróciła głowę, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Nigdy nie widziała takiej rodziny. Kochającej się i nieustannie z siebie żartującej. Nigdy nie czuła się tak dobrze, nigdy nie była tak

rozbawiona. Bardzo im zazdrościła. Byli tak bardzo sobie bliscy.

Clay chrząknął i wyprostował się. Wszystko wskazywało na to, że dopiero teraz przemówi na serio.

- Jak wiesz, Drew, Buddy Hilton nie jest bezpośrednio odpowiedzialny za śmierć twojego ojca, ale niewątpliwie miał w tym swój udział. Nie musiał wypisywać tego wszystkiego o nim, o tobie, o nas. Przysięgłem sobie, że kiedyś za to zapłaci, i ten czas właśnie nadszedł. Powiedziałem Johnowi, żeby dał mu tę pożyczkę, a potem wykupiłem jego dług. W ten sposób „Wallace Morning Sun” wymknął się Hiltonowi z rąk. Zachowałem się uczciwie, dałem mu dwa razy szansę na spłacenie długu. Dwukrotnie przesuwalem termin płatności. Trudno, nie skorzystał. Jutro rano Buddy Hilton dostanie oficjalne pismo z banku, a szeryf pofatyguje się osobiście, żeby zamknąć redakcję. Następny numer się nie ukáže.

Spojrzał na ich osłupiałe miny i pokręcił się niecierpliwie na krześle.

- My tu gadu gadu, a obiadu nie ma. Jestem głodny jak wilk. Co z tym kurczakiem, Rosa?

Oczekiwanie. Zabijanie czasu. Czekanie na zachód słońca. Czekanie, aż zapadnie zmrok. Sydney nie znosiła czekania, zwłaszcza na zachód słońca. Była podniecona i potwornie zdenerwowana. Takie oczekiwanie było czymś strasznym.

Po lunchu wszyscy przeszli do salonu. Chwilę gawędzili, a potem zapadła napięta cisza. Sydney przez moment próbowała jeszcze ożywić atmosferę, pytając to o obrazy wiszące na ścianach, to kierując rozmowę na inne, równie nieistotne w tej sytuacji szczegóły. Próbowała też bez powodzenia grać rolę rozjemcy w nieustannym konflikcie między Drew a jego dziadkiem, a potem, wyczerpana, dała sobie spokój. Nieco poniewczasie zorientowała się zresztą, że ich kłótnie są w istocie rodzajem gry. Obaj w gruncie rzeczy świetnie się bawili. Ale zanim doszła do tego wniosku, potwornie rozboleła ją głowa.

W końcu usiadła obok Rosy, z dala od mężczyzn, i zaczęła przeglądać jakieś ilustrowane pismo. Nie próbowała nawet czytać. Setki razy przypominała sobie tamtą noc, setki razy widziała Andrew i słyszała jego głos: „Powiedz im, że znalazłem Mary”.

Słońce powoli zachodziło. Gasnące promienie zabarwiły ściany na czerwono. Wreszcie ostatni blask znikł i salon pogrzyżył się w ciemności. Ktoś zapalił światło. Sydney zerwała się i zasłoniła ręką oczy. Światło zgasło. W salonie znowu zapanował mrok.

Nadeszła pora. Trzeba było ruszać w drogę.

Sydney zajęła miejsce obok Drew w terenowym samochodzie Claya. Sam Clay z trudem wgramolił się na trzeciego. Nikt nie odezwał się słowem, tak jakby wszyscy się obawiali, że dźwięk może spłoszyć coś, co jak się spodziewali, może przynieść ze sobą noc. W samochodzie panowała ciężka, dręcząca cisza.

- Jaka wczoraj była droga, Clay? Dotarłeś tam bez przeszkód? - zapytał Drew.

- Jak na wóz terenowy, całkiem dobra.

- Może by jechać starą drogą drwali?

- Nie. Od wielu lat jest nieprzejezdna. Trzeba by mieć specjalne opony. - Stuknął laską w zagipsowaną nogę. - Wziąłeś dla wszystkich latarki?

- Tak.

- I coś na komary?

- Tak.

- Jest wiatr - wtrąciła Sydney, żeby coś powiedzieć. - Może komary...

- Na wszelki wypadek wziąłem coś do smarowania.

- Nie zapomniałeś o termosie z zimną herbatą? W nocy może być strasznie parno.

- Nie zapomniałem. Mam wszystko.

Drew zacisnął ręce na kierownicy. Kostki jego dłoni zbieleły.

Sydney zamknęła oczy, zastanawiając się, czy tak właśnie ma wyglądać ich nocna wyprawa. Dziadek będzie zrzędził, a Drew za wszelką cenę będzie się starał opanować, żeby go nie udusić. Była potwornie zdenerwowana. Nie mogła mu pomóc.

- Co będzie, jak on wcale nie przyjdzie? Albo przyjdzie, a ja nie będę mógł go zobaczyć? - zapytał niecierpliwie Clay.

W jego głosie było tyle nadziei, że nikt nie odpowiedział. Nie bardzo wiedzieli, co mówić. Dla Claya ich nocna wyprawa była sprawą życia lub śmierci.

- Jest pełnia księżyca - powiedziała po chwili Sydney. - Wszystko będzie bardzo dobrze widać, nawet latarki mogą się okazać niepotrzebne.

- Może on chce tylko rozmawiać z Sydney? Może tylko ona jedna jest w stanie go zobaczyć...

- Clay - odezwał się cicho Drew - jeśli przyjdzie, na pewno go zobaczysz.

- Mam nadzieję... To byłoby...

Clayowi załamał się głos i nie powiedział nic więcej. W milczeniu skręcili z szosy na Piney Creek Road, a potem jeszcze raz w dróżkę prowadzącą do domku w lesie. Sydney ze zdziwieniem spostrzegła, że spodziewane wspomnienie nie nadeszło. Wszystko teraz było inaczej. Nie czuła ani powiewu tamtego wiatru, ani kropli deszczu na twarzy. Pamiętała jedynie ból głowy przy każdym ruchu konia, ciepło narzuty i poczucie bezpieczeństwa, jakie ją ogarnęło w ramionach Andrew. Czekala na jakiś znak, na coś, co pozwoliłoby jej wierzyć, że wszystko, czego doświadczyła, nie było tylko urojeniem. Dokoła miała jednak tylko noc i dwóch podenerwowanych mężczyzn. Dojechali do miejsca, w którym drzewo tarasowało dalszą drogę.

- Musimy wysiąść - powiedział Drew. - Resztę drogi przejdziemy pieszo.

Obaj z dziadkiem wysiedli, Sydney jednak nie ruszyła się z miejsca. Odeszli kawałek, po czym Drew, zostawiwszy dziadka na ścieżce, wrócił do samochodu. W rękach miał latarki i termos.

- Nie idziesz?

- Drew, ja nie wiem, co mam robić. Twój dziadek myśli, że ja, ot, tak zwyczajnie, przywołam tu Andrew - powiedziała, wyłamując sobie palec. - Sam widzisz, jak bardzo jest podniecony. Dla niego to wszystko jest niezwykle ważne. Nie wiem, co robić. Mam go wołać?

Czy może się modlić? Sama nie wiem, czy naprawdę chcę go znowu zobaczyć...

- Boisz się.

Otworzył drzwiczki samochodu i Sydney z ociąganiem wysiadła.

- Powiem ci szczerze, ja też się boję. Podał jej latarkę.

- Wiem, ale dla ciebie to jest po prostu ciekawe doświadczenie. Fascynująca przygoda. A ja.... ja widziałam już dosyć. To zupełnie co innego.

- Sydney, jeśli jesteś pewna, że nie chcesz, nie będę cię zmuszał. Jedno słowo i odwiozę cię z powrotem do domu. Zastanów się.

Podniosła oczy na rozgwieżdżone niebo. Wokół panowała cisza. Jasno świecił księżyc. Było ciepło i spokojnie. Chciała tu zostać i jednocześnie chciała stąd uciec. Przymknęła oczy i głęboko odetchnęła.

- Chodźmy.

Delikatny wiatr podmuchem owiał jej twarz. Czubki drzew zakołysały się, jakby dawały znak.

Przekroczyli zwalone drzewo i poszli dalej w las. Żółtawe światło latarki ślizgało się po mchu, skałach, pniach starych drzew. W końcu zatrzymało się na zniszczonym froncie domu. Usłyszeli głos Claya. Wołał ich, mówiąc, że znalazł dobre miejsce na czekanie. Ruszyli w kierunku jego głosu po wilgotnym mchu.

Sydney rozejrzała się, zanim usiadła między nimi na czymś, co przypominało kupę gruzu. Znajdowali się w środku zrujnowanego domu. Ściany były zniszczone i osmalone dymem, a zapadnięty, dziurawy dach od dawna przestał już być osłoną przed deszczem. Czowała gęstniejącą dokoła ciemność. Nagle zerwał się wiatr. Poczwała,

jak jej ciało pokrywa się gęsią skórką. Jakiś cień mignął pomiędzy drzewami. Zerwała się.

- Co to było?

- Jakieś leśne zwierzę - wyjaśnił Drew. Próbowwała skierować w tamtą stronę światło latarki, ale Clay delikatnie powstrzymał jej rękę.

- Nie bój się, nic nam tu nie grozi.

Wyobrażenia Sydney pracowała na pełnych obrotach.

- Nie lubię ciemności - oświadczyła i aż się wzdrygnęła.

Po chwili pożałowała tego. Nie powinna okazywać lęku, właśnie tu i teraz. Nie jest to najlepsze miejsce na ujawnianie stresów z dzieciństwa.

- Jest pełnia - powiedział łagodnie Clay. - W czasie pełni głos daleko niesie. Wszystko słyhać na kilometr. To, co słyszałaś, może dobiegać z bardzo daleka.

Ich spokojna obecność dobrze na nią działała. Widać było, że obaj jej towarzysze są doskonale obeznani z lasem. Siedziała między nimi, starając się uchwycić nocne życie lasu i zamieszkujących go zwierząt. Ciekawe, czy jakieś zwierzę ich widzi? A jeśli tak, to czy coś sobie myśli? Czy zastanawia się, po co ci głupi ludzie kulą się tutaj na kamieniach w rozwalonym domu, czekając nie wiadomo na co? Polują na duchy? Musiała się odezwać, nie mogła milczeć dłużej.

- Czy po śmierci Mary szukano jej ciała?

- Tak - odparł Clay. - O ile wiem, szukano jej wszędzie. W lesie, na mokradłach, w jaskiniach. Wszędzie.

- W jakich jaskiniach? - zapytała, żeby podtrzymać sztuczną rozmowę i nie siedzieć w milczeniu. Była coraz bardziej rozczarowana tym, że nic się nie dzieje.

- Tam, w dole rzeki, są stare jaskinie Indian. Kiedy byłem mały, zapuszczaliśmy się tam, ale kiedyś ktoś nas przyłapał i surowo nam tego zakazano. Są bardzo głębokie i niebezpieczne, ciągną

się kilometrami. Nigdy nie doszedłem do końca żadnej z nich, za bardzo się bałem. To wszystko dokoła to dawne ziemie Indian. Kilka lat temu przyjechali do mnie archeolodzy z teksańskiego uniwersytetu. Chcieli prowadzić tutaj prace wykopaliskowe, prosili o zezwolenie, ale im nie dałem. Wywołało to oczywiście natychmiastową reakcję naszej dzielnej prasy pod wodzą Buddy Hiltona, ale utarłem mu nosa, mówiąc, że jako ćwierćkrwi Indianin mam prawo decydować, co się dzieje na mojej ziemi. Dodałem, oczywiście, że obecnie jestem wyłącznym właścicielem tych terenów.

Rozmowa znowu na jakiś czas zamarła. Przerywali jeszcze kilka razy napiętą ciszę jakimiś nic nie znaczącymi zdaniem, lecz po to tylko, żeby nie dać się pochłonać grozie nocy. W miarę upływu czasu Sydney denerwowała się coraz bardziej. Nerwy miała napięte do granic wytrzymałości. Raz po raz gęstniejąca ciemność wywoływała w niej uczucie paniki, które mógł rozładować tylko krzyk. Noc pełna była tajemniczych dźwięków, przesuwających się cieni, upiornego zawodzenia wiatru.

- Jak długo już tu jesteśmy?

Drew skierował światło latarki na zegarek.

- Jakąś godzinę.

- Może gdybyśmy wzięli się za rękę - zaproponowała bezradnie. - Widziałam gdzieś, że w ten sposób...

Drew wybuchnął śmiechem. Chciała go uderzyć, lecz zamiast tego dotknęła dłońmi ich rąk i zaczęła mówić. Mówiła bez przerwy, o wszystkim i o niczym, o tym, co czuje i co jej się wydaje, że czuje, o tym, co może się stać i że być może nie stanie się nic... Kiedy zaschło jej w gardle, Drew bez słowa podał jej kubek herbaty z termosu.

Clay spojrzał na Sydney. Siedział na swoim kamieniu tak godnie, jak na fotelu prezesa w gabinecie swojej firmy.

- Skoro zamierzasz w dalszym ciągu pracować jako dziennikarka i pisać wszystko, na co masz ochotę, na nikogo się nie oglądając, dlaczego nie zaczniesz pracować sama, na własny rachunek? - zapytał pozornie bez żadnego związku.

Zbita z tropu, nie wiedziała, co odpowiedzieć. Dopiero po chwili zrozumiała, że w swoim bezładnym monologu musiała wspomnieć również o pracy, zamierzeniach i planach na przyszłość.

- Myślałam o tym, ale żeby założyć własne pismo, trzeba mieć duży kapitał.

Clay zachichotał.

- Coś mi się obilo o uszy, że jest w okolicy jakaś gazeta do sprzedania. Właściciel splajtował, biedaczek. Jestem tym nawet zainteresowany pod względem finansowym.

Patrzyła na niego w osłupieniu. Potem przeniosła wzrok na Drew. Znowu spojrzała na Claya.

- Pomyśl o tym. Może warto się zastanowić.

W myślach przyznała mu rację. Teraz jednak nie mogła tego zrobić. Zaprzętało ją zupełnie co innego. Siedząc w środku nocy, w zrujnowanym domu, mogła się zastanawiać tylko nad tym, dlaczego nic się nie dzieje. Bezsens i absurd sytuacji, w jakiej się znaleźli, działały na nią obezwładniająco. Do paralizującego strachu doszedł niepokój o to, co będzie, jeśli Andrew nie przyjdzie. Czuła napięcie emanujące z siedzących obok niej mężczyzn. Jeszcze chwila, a Clay nie wytrzyma. Wybuchnie gniewem. Musi być strasznie rozczarowany. Zawiodła go.

Oczekiwał cudu. Spodziewał się, że dzięki jej magicznym właściwościom będzie świadkiem czegoś nadzwyczajnego, czegoś, co odmieni jego życie. Myślał pewnie, że wystarczy zabrać ją tutaj, a Andrew Joshua się ukáže. Ona sama myślała bardzo podobnie. Co za naiwność. Nie udało się, nie mogło się udać. Musi powiedzieć Clayowi, że to nie jej wina; ona po prostu nie ma żadnego, najmniejszego wpływu na te wydarzenia.

Była bardzo zmęczona i bardzo rozczarowana swoją bezradnością. Oparła głowę na splecionych rękach i popatrzyła przed siebie. W najgorszych snach nie przewidywała, że kiedyś znowu się tu znajdzie. Myślała, że tamtej nocy opuściła ten las na zawsze. Nigdy nie sądziła, że kiedykolwiek ponownie zobaczy ten dom. Nieważne, że wygląda teraz zupełnie inaczej, że jest zniszczony, tak jakby od tamtego dnia upłynęło prawie sto lat. Kominek był teraz kupą kamieni. Uświadomiła sobie nagle, że siedzą właśnie na jego ruinach. Smutne, rozpaczliwie smutne, opuszczone miejsce... Poczula, jak do oczu napływają jej łzy. Pamiętała doskonale, jak wyglądało przedtem.

Doskonale je widziała. Ciepły odblask ognia na kominku, lampę stojącą na drewnianym stole. Widziała nawet stare strzelby wiszące na ścianie i fotel na biegunach, poruszający się delikatnie, jakby dopiero co ktoś z niego wstał... Obok fotela stała kołyska. Sydney zmarszczyła z wysiłkiem brwi: przecież wtedy nie widziała tam kołyski...

Poczula coś, co przypominało ból: nagły i przejmujący. Poczula dotyk starej, drżącej dłoni Claya. Spojrzała na niego. Zobaczyła tylko profil jego zastygłej - jakby w olśnieniu - twarzy. Przeniosła wzrok na Drew. On również patrzył przed siebie z wyrazem niezwykłego napięcia. Powoli, jakby wbrew sobie, spojrzała tam, gdzie oni patrzyli.

Wnętrze domu wyglądało teraz dokładnie tak jak wtedy, kiedy była tu po raz pierwszy. Tylko teraz nie była sama. Miała przy sobie Claya i Drew. A naprzeciwko nich, w rogu pokoju, stał Andrew Joshua.

Serce waliło jej jak szalone, ale na duszę spłynął spokój. Naprzeciw niej stał Andrew Joshua. Widziała go. Był tu naprawdę. Podobny do Drew jak dwie krople wody. Nie był przywidzeniem, nie był majakiem. Nie należał do wytworów jej chorej wyobraźni. Nie kłamała, nie udawała i nie zwariowała. Istniał naprawdę. Był tu, powrócił. Ciekawe, czy ktokolwiek w to uwierzy.

Poczuła, że Drew ujmuje jej rękę i mocno ją ścisnęła. Drew widział nieraz pradziadka na zdjęciu, ale spotkanie z nim twarzą w twarz musiało być dla niego szokiem. Przyłożyła jego rękę do serca. Milczeli, bojąc się, że zjawa zniknie. Andrew Joshua patrzył na Sydney z uśmiechem. Skinęła głową, rozumiejąc, co chce powiedzieć. Dziękował jej; mimo że nie wymówił słowa, czuła to w swoim sercu. Andrew Joshua jej dziękował.

Ręka Claya w jej dłoni nagle zadrżała. Ze strachem pomyślała, iż zapomnieli o tym, że nie jest już młody i że spotkanie z dawno zmarłym ojcem może go przyprawić o atak serca. Z trudem oderwała wzrok od Andrew i spojrzała na starszego pana. Clay siedział z lekko odchyloną głową, po jego twarzy płynęły łzy. W jego oczach, tak bardzo podobnych do oczu ojca i wnuka, błyszczało szczęście.

Uświadomiła sobie, że to niezwykle spotkanie musi być dla Claya prawdziwym wstrząsem. Był niemowlęciem, kiedy stracił oboje rodziców. Kiedy zamordowano jego matkę, a potem ojca. Nie pamiętał Mary ani Andrew. Teraz po raz pierwszy w życiu widział swojego ojca. Kiedy znowu spojrzała na Andrew, spostrzegła, że on również wpatruje się w syna z napięciem i miłością. Po jego twarzy również płynęły łzy.

- Tato - szepnął Clay. - Tatusiu...

Sydney zamrugała powiekami. Nagle jakby zrobiło się ciemniej. Mrok panujący w pomieszczeniu rozświetlał tylko ogień na kominku. W jego blasku, ujrzała nagle niezwykle piękną kobietę, z rozpuszczonymi jasnymi włosami. Kobieta trzymała w ramionach zawiniątko z dzieckiem. Kołysała je, raz po raz z trwogą spoglądając w okno, za którym szalała burza.

Widziała, jak Mary drgnęła, kiedy nagle rozległy się kroki i drzwi rozwarły się, wpuszczając do środka podmuchy wiatru i strugi ulewy. Widziała, jak jej twarz nieco łagodnieje, kiedy rozpoznała przybysza. Widziała, jak mężczyzna w długim surducie i kapeluszu mówi coś, a potem zdejmuje kapelusz i strząsa krople deszczu na podłogę. Jest niewielkiego wzrostu, ma jasne włosy i oczy, uśmiecha się. Sydney wie, kim jest i jego uśmiech wcale jej nie uspokaja. To musi być Darcy Fowler. Szept Drew upewniają, że ma rację.

Zwraca wzrok ku stojącemu w rogu pokoju Andrew.

Andrew Joshua nie patrzy na to, co dzieje się przy kominku, nie spuszcza wzroku z syna. Doskonale zna tę scenę. Ile razy w ciągu tych wszystkich lat już ją widział? Ile razy był obecny przy śmierci żony i nie mógł temu zapobiec? Jak wiele razy męczył się i konał razem z nią?

Sydney znowu obserwuje scenę. Kobieta rozmawia z przybyszem. Ich głosu nie słyhać, wokół panuje ta sama, niczym nie zmałona cisza. Mary lekko odsłania twarz dziecka i pokazuje je mężczyźnie. Sydney wstrzymuje oddech, kiedy mężczyzna odpycha dziecko. Na twarzy Mary widać teraz gniew. Odwraca się od mężczyzny, kładzie dziecko do kołyski, zaczyna kołysać.

Sydney nie chce widzieć tego, co stanie się teraz. Wie, jak to było. Zazdrość sprawi, że jeden mężczyzna zginie, a drugi umrze udręczony potwornymi wspomnieniami. Ich ofiarami padnie kobieta i dziecko. Darcy łapie Mary, obejmuje ją, próbuje całować. Mary odpycha go, walczy. Kopie go i drapie, próbuje się wyrwać. Darcy odpychają z wściekłością. Mary traci równowagę, chwieje się, upada. Głową uderza o kamienny brzeg kominka...

Sydney słyszy głęboki jęk i zdaje sobie sprawę, że ten dźwięk wydobywa się z jej własnej piersi. Darcy klęka obok Mary. Rozpacza. Pojmuje, że ją zabił.

Wiedzą już, kto jest sprawcą śmierci Mary. Wiedzą również, że to obsesyjna zazdrość doprowadziła winowajcę do tego, co uczynił. Teraz czeka ich dalszy ciąg.

Andrew Joshua robi ruch ręką. Rozumieją i wszyscy troje się podnoszą. Sydney widzi, jak Darcy bierze Mary na ręce i wypada z domu. Straszliwa wichura wali drzwiami jakby na alarm. Wokół szaleje burza. Jasne włosy Mary, targane podmuchami wiatru, raz po raz zakrywają twarz mężczyzny. Potem oboje nikną w ciemnościach, przy akompaniamencie zawodzącego wiatru.

Andrew Joshua dokądś ich prowadzi i Sydney nie może zrozumieć, dlaczego nie czuje ulewnego deszczu, z którym zmagał się Darcy. Czuje jedynie lekki podmuch wiatru we włosach. Niemal zapomina o swoich towarzyszach i przystaje tylko na moment, żeby zobaczyć, jak Drew pomaga swemu dziadkowi, kuśtykającemu z nogą w gipsie.

- Nie czekaj na nas - krzyczy Drew. - Idź za nim! Nie możesz stracić go z oczu!

Sydney próbuje dogonić Andrew, lecz potyka się o korzenie i zwalnia.

- Błagam, nie zostawiaj mnie. Andrew Joshua, poczekaj - prosi i nagle zdaje sobie sprawę, że mówi do ducha.

Po pewnym czasie, nie wie jak długim, bo poczucie czasu dawno już utraciła, czuje się kompletnie wyczerpana. Clay i Drew są gdzieś z tyłu. Ma nadzieję, że ich nie zgubiła.

Widzi tylko to, co oświetla wątłe światło latarki. Księżyc ukrył się za drzewami i wyostrzył ich cienie. Sydney, bojąc się stracić Andrew Joshuę z oczu, nie patrzy pod nogi. Potyka się o korzenie, upada, podnosi się i biegnie dalej, ze wzrokiem utkwionym w cieniu mężczyzny. Woła go, Andrew odpowiada, potem milknie. Sydney zatrzymuje się oszołomiona; nie wie, co robić. Ogląda się, ale nie widzi Drew ani Claya. Nagle czuje, że ktoś stoi tuż obok niej. Czuje czyjąś rękę na swoim ramieniu. W szmaragdowych oczach widzi błaganie.

- Proszę, bardzo proszę, idź dalej.

Sydney rusza w dalszą drogę. Teraz idzie nieco wolniej, ostrożniej stawiając nogi. Dobiega ją jęk, głos dochodzący z jakichś głębin, może spod ziemi. Sydney zaczyna biec. Z trudnością łapie oddech. Andrew Joshua gdzieś zniknął. Widzi cień mężczyzny pochylonego nad ciężarem. To Darcy. Mężczyzna niosący kobietę znika nagle, jakby się przed nim rozstała ciemna ściana skały. Andrew Joshua pojawia się na moment i on również znika.

Sydney zostaje sama. Ciężko dysząc, rozgląda się. Kieruje światło latarki w miejsce, gdzie zniknęły zjawy. Znowu dobiega ją dziwny, stłumiony głos. Nie domyśla się jego źródła. Bezwiednie kieruje światło latarki w tamtą stronę.

Jest kompletnie wyczerpana, psychicznie i fizycznie. Szalona pogoń za cieniem wykończyła ją, oczekiwanie i przeżycia zmałyły umysł. Stoi z bezwładnie opuszczonymi rękami, a światło latarki

zakreśla bezsensowny krąg obok jej stóp. Jest sama. Wokół nie ma nikogo. Nie ma przy niej Andrew Joshui; nikt jej nie powie, dokąd ma iść i co ma robić. Sydney zaciska wargi. Nie może zrezygnować, nie po tym wszystkim, co przeszła. Może Andrew chce, żeby szła za nimi, mimo że nie wie, dokąd poszli. Może musi sama znaleźć drogę. Coś musi być za ścianą, za którą zniknęli.

Ma ochotę krzyczeć i płakać, ale jest za bardzo zmęczona. Drew i Clay będą strasznie rozczarowani i nigdy jej tego nie zapomną. Nagle wydaje jej się, że słyszy głos Drew. Wstrzymuje oddech, żeby jego dźwięk niczego nie głużył. Znowu słyszy jego głos. Głos Drew przebija mroki nocy i dociera do niej, słaby i zniekształcony, ale to jego głos. Odwraca się. Czekają.

- Sydney, co się do licha dzieje?

Drew jest już obok niej, światło jego latarki pada na jej umęczoną twarz i przesuwają się na bok.

Sydney nie odpowiada, nie może wymówić słowa. Drew prowadzi Claya na bok i sadza go na trawie. Starszy pan jest tak zmęczony, że z trudem podnosi głowę. Chciwie łapie powietrze. Drew jest blady. Jego też ta droga bardzo zmęczyła.

Kiedy Sydney pobiegła za Andrew, próbował iść za nią, to ciągnąc, to niemal niosąc dziadka. Nie mógł go zostawić. Starszy pan uparł się, że będzie szedł dalej. Wlekli się tak, kłócąc i spierając, którą drogę obrać. Dziadek, mimo zmęczenia, nie tracił animuszu i raz po raz gromkim głosem wydawał polecenia i rozkazy. Drew nadal miał w uszach gniewne sapanie swojego jeźdźca.

Sydney, uszczęśliwiona ich widokiem, przysiadła obok na trawie i zarzucając Drew ręce na szyję, mocno go pocałowała. Przyjrzała się jego pobladłej twarzy, nie zwracając uwagi na pytanie Claya.

- Gdzie oni są? Gdzie są rodzice?

- Strasznie wyglądasz - orzekła, tuląc się do Drew. - Co się stało? Myślałam, że idziecie zaraz za mną.

Drew zgromił wzrokiem dziadka.

- Clay, przestań na chwilę mówić. Nie wiem, gdzie oni są. Stale coś gadasz, nie słyszę własnych myśli.

Oddechnął głęboko i spojrzał na Sydney.

- Wyglądam tak okropnie, bo przeżyłem koszmar z tym... tym starym lisem, z tym potwornym, niewdzięcznym starcem.

Clay stuknął laską o murawę.

- Gdzie oni są? Co się z nimi stało, Sydney?

Drew skierował na niego światło latarki.

- Pozwól nam chwilę odpocząć, potworze. Wiedział, że Clay nie znosi, kiedy tak do niego mówi i zrobił to świadomie. Clay doprowadzał go do wściekłości swoją niespożytą energią i umiejętnością okazywania jej bez względu na okoliczności. Jego witalność miała w sobie coś upiornego,

- Chyba zaraz umrę. Połamał mi plecy, nogi mam w siniakach. Jeśli ten potwór jeszcze raz zastuka w coś laską, odbiorę mu ją i z przyjemnością połamię na jego głowie - jęknął Drew, złowrogo spoglądając na dziadka.

Sydney wyjątkowo nie stanęła w obronie starszego pana. Czuli się wykończona.

- A ja nabięgałam się jak wariatka po lesie, goniąc ducha. Poraniłam sobie ręce, nogi, podarłam ubranie. Popatrz, jak wyglądam.

Skierowała światło swojej latarki na twarz, a potem opuściła ją niżej. Następnie oświetliła Drew i dokonała oceny jego stanu. Oboje wyglądali nieszczególnie. Brudni, bladzi, w poszarpanych ubraniach. Wyjęła z włosów kilka małych gałązek, otrzepała się z liści i igieł. Potem oboje wybuchnęli śmiechem.

- Mówię ci, Drew, jeśli ktokolwiek kiedykolwiek dowie się o tym, co robiłam tej nocy, jestem skończona. Zakryła twarz rękami.

- Jak się już wyśmiejecie, to może mi któreś powie, co się właściwie stało - odezwał się Clay z pretensją w głosie.

- Zaraz ci powiem - odpowiedziała Sydney normalnym już głosem. - Ktoś tutaj był, i to wcale nie duchy. Słyszałam jakiś głos, z bardzo daleka, ale to był głos ludzki. Ktoś oprócz nas biega po tym lesie i to nie zjawa, tylko człowiek z krwi i kości.

A ponieważ mężczyźni nie odpowiadali i patrzyli na nią, jakby myśleli, że dopiero teraz zwariowała, ciągnęła dalej:

- Biegłam za Andrew cały czas. W pewnym momencie usłyszałam stłumiony krzyk. Tak jakby ktoś biegł równoległe do nas przez las. Nie zwróciłam na niego uwagi, nie chciałam się rozpraszać, zęby nie zgubić tamtej trójki. Potem wszyscy zniknęli: Mary, Darcy, Andrew, tak jakby wchłonęła ich ta ściana. Stałam tu i nie wiedziałam, co robić, i wtedy usłyszałam, że ktoś zatrzaskuje drzwiczki samochodu, zapala silnik i odjeżdża. Wtedy Drew mnie zawołał.

Skończyła i ciężko oddychając, stała i patrzyła na nich. Clay walnął laską o ziemię.

- Co to znaczy: zniknęli? Za jaką ścianą?

- Za ścianą? - powtórzył Drew jak echo. Był równie nieobliczalny jak jego dziadek. Żadnego z nich nie zainteresowało to, co powiedziała o czyjejś obecności w lesie. Ludzie z krwi i kości nie mieli dla nich znaczenia. Liczyły się tylko... duchy. Spojrzała na nich nieprzyjaźnie. Nic im nie powie, nic. Nawet jeśli zauważy coś naprawdę ważnego. Odwróciła się i wolnym krokiem poszła w stronę niewielkiej polanki. Nie obchodziło jej, czy idą za nią, czy nie.

Spojrzała na skalną ścianę, za którą zniknęli Andrew Joshua, Mary i Darcy. W migotliwym świetle latarki dojrzała jej nierówną powierzchnię. Szczeliny, spękania, porosty, mech.

- To jest właśnie to miejsce? - usłyszała za sobą głos Drew. Ciężkie sapanie uświadomiło jej, że Clay mu towarzyszy.

- Nie wiem. Wszystko jest takie do siebie podobne. Światelko latarki Claya zatańczyło obok jej światelka.

- Wiem, co to za miejsce - wystękał starszy pan. - To wejście do jednej z indiańskich jaskiń. Chodź tutaj, Sydney, zobacz.

Zatoczył latarką koło, obrysowując ciemny ślad na skale.

- Tutaj zniknęli ci z oczu?

Przykucnęła i zobaczyła niskie, wąskie wejście, niemal całkowicie ukryte w skalnych załomach. Jej oczy powoli przyzwyczajały się do ciemności.

- Nie, nie weszli tędy. Oni po prostu przeniknęli przez tę ścianę.

- Wszędzie tu są takie skalne ściany - burknął Clay. - To musiało być tutaj, to jedyne wejście do jaskini.

- Przecież sam mówiłeś, że przeszukano jaskinie - wtrącił Drew. - Sam też tu nieraz przychodziłeś i byłeś przecież w tej jaskini.

Clay wzruszył ramionami i ciężko oparł się na lasce.

- Tak. Macie rację. Tutaj nic nie ma. Szkoda, że zgubiliśmy ich ślad.

- To ja zgubiłam ślad - powiedziała z naciskiem Sydney. Powiodła latarką w bok skały, omiotła ciemny zarys kamiennej ściany i zatrzymała światło w jednym punkcie, tam, gdzie przerzedzona roślinność wzbudziła jej podejrzenia. Wyglądało na to, że ktoś w jednym miejscu próbował rozgarnąć bluszcz i winorośl porastające szaroczarony kamień.

- Drew, Clay, chodźcie tutaj! - zawołała. Ukłękła i zaczęła garściami wrywać mchy i porosty, i rzucać je za siebie.

- Co ty robisz? - Drew już klęczał przy Sydney i pomagał.

Clay stał za nimi z otwartymi ze zdumienia ustami. Wyglądali jak dwa psy tropiące kreta.

- Co wy, u licha, robicie?

Sydney nie odpowiedziała. Pracowała w zapamiętaniu bliskim opętania.

- To musi być tutaj, to tutaj zniknęli.

Bolały ją poranione dłonie i zgarbione plecy, ale nie ustawała.

- Jesteś pewna?

Clay podszedł bliżej i oświetlił pole ich działania.

- Jesteś pewna, że to tu? - powtórzył.

- Ktoś tutaj przed nami był. Przedtem, zanim jeszcze wszyscy troje tu zniknęli. Są ślady.

Drew przysiadł na piętach.

- O czym ty mówisz?

Zwróciła ku niemu głowę. W świetle latarki Claya ujrzał jej twarz. Była umazana gliną; policzek i czoło przecinały ciemne smugi. W jej oczach dostrzegł złość.

- Mówiłam wam, próbowałam wam powiedzieć, że ktoś tu przed nami był. Ten ktoś ich spłoszył. Dlatego Darcy i Mary zniknęli, a Andrew Joshua poszedł za nimi. Ktoś wiedział, że tu przyjdą, zanim znikną.

- Co ty opowiadasz? Nic nie rozumiem! - Clay niecierpliwie tupnął nogą.

Jeszcze raz wszystko powtórzyła.

- Nic nie rozumiem - powtórzył Clay. - Kto to mógłby być?

Domyślała się, ale nie chciała nic mówić, zanim nie zyska pewności. Wytarła ręce o spodnie i wróciła do przerwanej zajęcia.

Pracowali jeszcze dłuższą chwilę, aż do kompletnego wyczerpania. Ich wysiłek jednak został wynagrodzony. Kiedy Sydney wyrwała ostatnią garść zawilgłej trawy i odrzuciła ją za siebie, umęczona oparła się o splekaną ścianę. Pod jej ciężarem ściana nagle ustąpiła i Sydney poleciała gdzieś w gęstą ciemność.

Kiedy minęło pierwsze przerażenie, zdała sobie sprawę, że nic jej się nie stało. Nie uderzyła się ani nie skaleczyła. Potarła policzek, uniosła głowę i powąchała powietrze jak węszące, dzięki

zwierzę. Poczula suchy zapach jaskini, do której rzadko dociera powiew z zewnątrz. Zza skalnej ściany dobiegły ją zaniepokojone głosy Drew i Claya. Wołali ją. Potem usłyszała, jak Clay coś mówi. Wokół panowała ciemność tak głęboka, że nie widziała własnej ręki.

Usiadła, wyprostowała się i skierowała w stronę, z której dobiegał głos Drew.

- Poświeć trochę tutaj.
- Dobrze. - W jego głosie zabrzmiała ulga. - Nic ci się nie stało? Gdzie jesteś?
- Nie mam zielonego pojęcia, ale poświeć.

Smuga światła przeniknęła mrok.

- Możesz mi tu wsunąć latarkę?

Sydney przesunęła się nieco na bok, wyciągnęła rękę przed siebie, pomacała i wreszcie wyczuła twarde przedmiot. Chwyciła latarkę i oświetliła miejsce, w którym się znajdowała.

- To wygląda na jaskinię. Wpadłam do jakiejś pieczary.
- Możemy tam wejść?
- Nie jest to duże, ale myślę, że starczy miejsca dla wszystkich.

Z zewnątrz doszły ją jakieś szmery. Zapadła cisza.

- Drew, jesteś tam? - zawołała zaniepokojona, przysuwając usta do szpary w skale.
- Jestem, jestem. Zaraz do ciebie przyjdziemy, musimy tylko skończyć dyskusję, kto ma iść pierwszy.

Sydney odsunęła się pod ścianę i skierowała światło latarki w miejsce, skąd mieli nadejść. Po chwili wsunął się Drew. Zanim zdążył się rozejrzeć, powiedzieć słowo, rozległo się posapywanie i ukazała się laska. Trzeba było wciągnąć do środka Claya.

Odczekali, aż się wysapie. Sydney uśmiechnęła się i wstała z ziemi. W ich obecności czuła się znacznie lepiej; w świetle trzech laterek powoli odzyskiwała pewność siebie.

- Skoro już wszyscy jesteśmy na miejscu, możemy otworzyć posiedzenie.

Mimo że bardzo chcieli jak najszybciej odnaleźć Mary i Andrew, nie mogli się powstrzymać przed dokładnym obejrzeniem jaskini. Widok był niesamowity. W miejscu, w którym się znajdowali, zaczynał się długi, kręty tunel. Drew skierował strumień światła na ściany pieczary, pokryte indiańskimi rysunkami.

- Clay, spójrz na to.
- Musi być bardzo stara. Znam wiele jaskiń w okolicy, ale tej nigdy nie widziałem.

Starszy pan z wyrazem skupienia na twarzy zaczął eksplorować wnętrze.

Sydney nie mogła zebrać myśli. Coś ją niepokoiło. Było w tej jaskini coś, co ją przerażało. Coś czaiło się w mroku. Zatoczyła latarką krąg, żeby dotrzeć do najdalszego kąta. Po drugiej stronie zamajaczył jakiś nieruchomy kształt. Nie musiała patrzeć, żeby wiedzieć, co to jest. Mimo woli zamknęła oczy. Zmusiła się, żeby podnieść powieki.

- Drew. Clay.

Ton jej głosu zaalarmował ich. Podbiegli i oświetlili wskazane przez Sydney miejsce.

Clay jęknął. Drew objął Sydney ramieniem.

- To Mary?
- Tak.

Kilka kroków od nich spoczywał szkielet kobiety. Leżała na płaskim kamieniu, z rękami ułożonymi wzdłuż ciała. Przykrywały ją resztki zetłalej tkaniny. Łzy napłynęły Sydney do oczu i zmały obraz.

- Zobaczyłam, że tam coś leży. I znalazłam ją.

Podeszli nieco bliżej. Clay stuknął laską, jakby chciał im zagrozić drogę.

- Nie zbliżajcie się.

Spojrzała na ziemię obok leżącej kobiety. W pyle jaskini coś lśniło. Zobaczyła małą, złotą obrączkę, która musiała się ześliznąć z palca pozbawionego ciała. Drew i Clay patrzyli na coś innego. W prawej dłoni Mary również coś błyszczało. Sydney wytarła łzy, żeby lepiej widzieć, i zobaczyła złotą, lekko szerniałą monetę z dziurką w środku. Słynną, przestreloną złotą monetę... Dowód na to, że Darcy nie tylko zabił Mary, ale również ukrył jej zwłoki.

Sydney uniosła wzrok znad ciała. W jaskini panował uroczysty spokój grobowca. Pokryte rysunkami ściany nadawały miejscu wygląd muzealnej sali o wysokich sklepieniach. Z rozmyślań wyrwał ją czyjś płacz. Spojrzała na Claya. Starszy pan szlochał wsparty na lasce. Podeszła do niego, zdjeta głębokim współczuciem. Drew przykląkł obok dziadka, próbując go pocieszać, ale Clay odsunął go ruchem ręki.

Zapanowało milczenie, przerywane krótkim, urywanym szlochem. Po chwili Clay głęboko odetchnął. Spróbował coś powiedzieć, ale nie udało mu się wymówić słowa. Spróbował jeszcze raz, drżącą dłonią coś im wskazując.

Sydney nie mogła pojąć, o co mu chodzi. Spojrzała w tamtym kierunku, ale nic nie zobaczyła. Usłyszała nieco stłumiony głos Drew. Coś jakby jęk albo głębokie westchnienie.

Drew ujął ją za rękę.

- Co tam jest? - zapytała z drżeniem.

- Spójrz tam, trochę wyżej.

Sydney posłuchała go i zachwiała się. Podtrzymało ją silne ramię Drew. Tuż obok ciała Mary, na ścianie, widniał napis: „Darcy”. Mary musiała być jeszcze żywa, kiedy ją zostawił w jaskini. Ostatkiem sił wydrapała na kamiennej ścianie jego imię. Może długo umierała tu w samotności i mroku, może do końca była świadoma... Nikt nigdy się nie dowie, jak długo trwała jej męka i nikt nigdy się nie dowie, co tutaj przeżyła...

Jedno tylko było pewne: Mary miała dość czasu, żeby napisać imię mordercy.

Sydney poczuła, że natychmiast musi wydostać się z tego miejsca. Odepchnęła Drew i poszła przed siebie tunelem. Wiedziała, że musi coś zrobić, żeby znaleźć się jak najdalej od upiornej pieczary. Odejść z miejsca tragedii i nigdy doń nie powrócić. Słyszała, że mężczyźni idą za nią. Nie mogła wyzwolić się od koszmaru, będącego odbiciem tego, co musiała przeżyć Mary. Nieludzki strach, panika, lęk o los pozostawionego na pastwę losu dziecka, niepokój o męża. Przecież wiedziała, że nigdy ich już nie zobaczy. Wiedziała, że nigdy nie zobaczy już człowieka, którego kocha. Była tak strasznie sama, tak potwornie sama w momencie śmierci.

Nareszcie wszystko się wyjaśniło. Sydney wiedziała już, że po prostu znalazła się o właściwym czasie we właściwym miejscu. Burza, która zatrzymała ją przy Piney Creek Road, do złudzenia przypominała tamtą burzę sprzed dziewięćdziesięciu trzech lat. Dlatego Andrew Joshua pojawił się,

żeby nawiązać kontakt z doczesnym światem i przekazać wiadomość, która miała im pomóc w rozwiązaniu zagadki. Miała im pomóc zrozumieć rodzinną tragedię sprzed lat i ułatwić dalsze życie.

Zobaczyła jasny skrawek nieba, odcinający się od mroku jaskini, i poszła w stronę wyjścia. Poczła chłodny powiew nocy i wtedy ich zobaczyła. Stali przed nią oboje, Mary i Andrew Joshua. Stali objęci i patrzyli na nią.

- Clay, Drew - powiedziała cicho. - Chodźcie tutaj.

Pierwszy wyszedł z tunelu Clay. Usłyszała głębokie westchnienie, przerwane nagłym szlochem. Clay widział pełne miłości spojrzenie rodziców i widział ich smutek, że znowu muszą go opuścić.

- Nareszcie jesteśmy razem - powiedział nagle uspokojonym głosem. - A teraz żegnajcie.

Zniknęli tak nagle, jakby porwał ich delikatny powiew wiatru. Sydney poczuła wokół siebie dojmującą pustkę, jakby wraz z nimi odeszło wszystko. W głębi duszy czuła jednak radość. Mary i Andrew są razem. Znowu są razem, teraz już na zawsze. Nikt nigdy już ich nie rozdzieli. Spojrzała na Drew.

- Są znowu razem i już zawsze tak będzie.

- Tak. To naprawdę niesamowite. Nikt nam nie uwierzy.

- Dobrze sobie - sapnął Clay. - Tylko tak ci się wydaje. Muszą nam uwierzyć, już moja w tym głowa. Jedźcie zaraz z Sydney do najbliższego telefonu i wezwijcie policję. Dzwońcie prosto do szeryfa, nie gadajcie z tym dzieciakiem Howardem. Powiedzcie mu, że ma wziąć śledczego i zaraz tu przyjechać. - Stuknął laską w ziemię. - Najwyższy czas, żeby to miasto poznało całą prawdę.

Drew zawahał się.

- Nie wiem, czy możemy cię tu zostawić samego.

- A to dlaczego? Jak zwykle nic nie rozumiesz! Przecież wszystko już się dokonało. Zmarli spoczywają w spokoju. Pewnie nawet ten nieszczęsny Darcy. A jeśli naprawdę, jak mówiła Sydney, ktoś tu oprócz nas jest, to tym bardziej muszę tu zostać i przeszkodzić mu, żeby czegoś nie zepsuł. - Spojrzał groźnie na wnuka. - Chociaż raz w życiu nie kłóć się ze mną. Nie zostawię mojej matki samej, skoro nareszcie ją odnalazłem.

Oparł się plecami o skalną ścianę, skrzyżował ręce na piersiach i dodał:

- Dziękuję ci, Sydney. To wszystko stało się dzięki tobie.

Skinęła głową, nie mogąc wymówić słowa. Gardło miała ściśnięte, do oczu znowu napłynęły łzy. Ujęła Drew pod ramię.

- Zastawmy dziadka tutaj. Jedźmy do Rosehill, stamtąd zadzwonimy. - Przez chwilę wahała się, jak ma sformułować to, co zamierzała powiedzieć Clayowi. - Kiedy skończysz tutaj, każ się zawieźć do Rosehill. Musisz porozmawiać z senatorem.

Clay lekko się obruszył, ale po chwili skinął głową.

- Dobrze.

W milczeniu ruszyli w kierunku miejsca, gdzie zostawili samochód.

- Dlaczego chcesz jechać właśnie do Rosehill? - zapytał Drew, kiedy wyjechali na drogę.

- Mamy tam jeszcze pewną sprawę do wyjaśnienia.

- Nie bądź taka tajemnicza.

- Nie jestem tajemnicza. Po prostu nie chcę nic mówić, póki nie uzyskam całkowitej pewności. Jedno ci powiem, ktoś z Rosehill był obok jaskini dziś w nocy. Wiedział, gdzie leży ciało Mary i znał wejście do środka.

- Jakim cudem?

- Właśnie tego chcę się dowiedzieć.

- Może zawsze o tym wiedzieli? Może dlatego tak bardzo przestraszyło ich twoje opowiadanie o spotkaniu z Andrew Joshua, bo bali się, że zaprowadzi nas do tego miejsca? Tak jak się zresztą stało.

Szybko pocałowała go w policzek.

- Powstrzymaj wodze wyobraźni, Drew. Fantazjowanie nie bardzo ci wychodzi. Gdyby ktokolwiek z ludzi związanych z senatorem wiedział, gdzie znajduje się ciało Mary, już dawno zniszczyłby wszystkie ślady.

Skręcali właśnie na drogę prowadzącą wprost do posiadłości senatora.

- Spójrz, co oni tam robią?

Można by przypuszczać, że senator wydaje wielki bal. Dom był rzeświście oświetlony. Kiedy podjechali bliżej, Sydney zobaczyła biały terenowy samochód zaparkowany na podjeździe i świeże ślady stóp na pokrytej rosą trawie. Drew zwolnił. Wyskoczyła z samochodu i podbiegła do białego jeepa.

- Zobacz, o tutaj - powiedziała, wskazując na chlapacze i opony. - Świeże ślady gliny, tej czerwonej, takiej jaka jest obok pieczary. Wejźmy do środka, jest otwarte.

Nie pukając, weszli wprost do jasno oświetlonego gabinetu senatora, skąd dochodziły podniesione głosy. Na ich widok obecni zamilkli.

- Jak ci się udało polowanie na duchy, Lauren? Lauren spojrzała na nią, jakby dopiero teraz zobaczyła prawdziwą zjawę. Sama wyglądała jak nieboskie stworzenie. W niczym nie przypominała królowej śniegu. W splątanych włosach miała pełno gałązek i igliwia, na policzkach ciemne, brudne smugi. Sydney skierowała wzrok na jej wypiełgnowane ręce, a potem spojrzała na swoje. Obie miały dłonie w tym samym stanie. Brudne i poranione.

- Szkoda, że nie zaczekałaś do końca. Finał był naprawdę niezwykły.

Drew bez słowa podszedł do telefonu i wykręcił numer szeryfa. Nikt nie zaprotestował, nikt nic nie powiedział. Wszyscy zastygli w pełnej oczekiwania, martwej ciszy.

- Czy ktoś mi może powiedzieć - odezwał się wreszcie senator - czy ktoś z was może mi łaskawie powiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi? Moja żona właśnie przed chwilą wróciła do domu w opłakanym stanie, opowiadając coś nieskładnie o jakichś dziwnych rzeczach. Nawet nie wiem, gdzie była. Teraz wy zjawiacie się tutaj w podobnym stanie, i jakby nigdy nic dzwonicie do szeryfa. O jakie ciało chodzi? Co śledczy ma zabezpieczyć? Może mi ktoś wszystko wreszcie wyjaśni.

John Laker podał senatorowi duży kieliszek koniaku i James przysunął go Lauren do ust.

- To wszystko ich wina. - John Laker oskarżycielskim ruchem wycelował palec w Sydney i Drew. - Teraz ja zadzwonię do szeryfa i powiem mu, żeby tu przyjechał. Po was.

Drew uśmiechnął się.

- Zamknij się, John - zaproponował uprzejmie - bo jak nie, to ci pomogę.

Sydney nie miała wątpliwości, że jest gotów to zrobić. John Laker w każdej chwili mógł paść ofiarą nienawiści gromadzonej przez dziesiątki lat.

- James - zaczęła - Laureen przeżyła poważny szok. Była w nocy w lesie, obok domku. Zobaczyła tam coś bardzo dziwnego i dlatego tak się przestraszyła.

Opowiedziała mu, co się wydarzyło w lesie, nie opuszczając żadnego szczegółu. Zasluchany senator bezwiednie zaczął popijać koniak z kieliszka żony.

Laureen powoli wracała do siebie. Jej śmiertelnie blade policzki zaróżowiły się.

- Naprawdę sądzisz, że widziałam prawdziwe duchy? James, to było niesamowite. On niósł biedną Mary przez las, prosto do jaskini. Zabił ją, a potem ukrył ciało, zupełnie tak jak to opisał w pamiętniku.

Oczy senatora zalsniły.

- Szkoda, że mnie tam nie było.

Laureen wzdrygnęła się.

- Sam nie wiesz, co mówisz. To było potworne. Przeróżające.

Nagłym ruchem wyrwała mu kieliszek z ręki. Szybko dokończyła koniak, po czym głęboko odetchnęła.

- O jakim pamiętniku mówisz? - Głos Sydney zabrzmiał w ciszy panującej w pokoju jak nieprzyjemny zgrzyt.

Drew podsunął jej krzesło, nalał koniaku i podał kieliszek.

- Znalazłaś ten zagubiony dziennik. Tak, Laureen?

Laureen zacisnęła pięknie wykrojone usta.

- Czy to prawda, Laureen? - spytał senator. - Ojciec ci powiedział, gdzie jest, a ty to ukryłaś przede mną?

- Byłeś taki zajęty, kochanie. James prychnął.

- Wszystko jasne. Przeczytałaś pamiętnik. Dowiedziałaś się wszystkiego i postanowiłaś przeprowadzić śledztwo na własny rachunek.

- Tak - szepnęła Laureen.

- Gdzie go znalazłaś?

- Twój ojciec powiedział mi, że na strychu pod deską jest taka skrytka.

- Co zamierzałaś potem zrobić? Co chciałaś zrobić z ciałem Mary? Kiedy miałaś zamiar powiedzieć mi prawdę?

Laureen znowu pobladła. Jej delikatna skóra zrobiła się niemal przezroczysta. Sydney postanowiła zabrać głos.

- Bardzo mi przykro, że muszę to powiedzieć, James, ale wydaje mi się, że gdyby twoja żona znalazła ciało Mary, nikt nigdy by się o tym nie dowiedział. Prawda, Laureen?

Laureen Fowler nie patrzyła na nią ani na Drew. Nie spuszczała wzroku z zagniewanej twarzy męża.

- Nie widzisz, że oni chcą nas zniszczyć, James? - szepnęła z rozpaczą w głosie. - Ja to wszystko zrobiłam dla ciebie.

James nie zamierzał ustąpić; wyraźnie postanowił być nieprzejednany.

- Nic nie widzę. Nie rozumiem, jak mogliby nas zniszczyć. Może mi wytłumaczysz.

Sydney poczuła coś jakby współczucie. Biedna Lauren. Królowa śniegu, wielka dyktatorka mody, właścicielka koncernu kosmetycznego po prostu bardzo kochała swojego męża i gotowa była zrobić wszystko, żeby go ochronić przed wrogim światem. Spojrzała na Drew. Wyczytała w jego oczach, że on również rozumie powody, jakie kierowały żoną senatora.

- Chciałam ci pomóc, chciałam tylko ci pomóc. Wszystko, co robiłam, robiłam dla twojego dobra. Oni mogli wszystko zniszczyć, wszystko. Twoją opinię, nasz dom. Mogli nam odebrać Rosehill.

- Moją opinię? O czym ty mówisz, Lauren? - uniósł się James. - Z powodu zbrodni popełnionej prawie sto lat temu? Jakie to może mieć znaczenie? A co się tyczy Rosehill, to zupełnie nie rozumiem, co ma do tego Rosehill?

- Twój ojciec powiedział mi, że właśnie dlatego ukrył ten dziennik. Bał się, że będą chcieli obalić testament.

Widać było, że senator nic z tego nie rozumie.

- James - odezwała się Sydney - Lauren mówi o testamencie starego Samuela Claytona. Pamiętasz? Samuel zmienił testament po śmierci Mary i Andrew. Nie chciał, żeby ich dziecko cokolwiek po nim dziedziczyło. Twoja żona boi się, że Clay będzie chciał obalić testament, ponieważ został sporządzony na podstawie fałszywych przesłanek. Ale nie to jest w tej sprawie najważniejsze. Clay ma prawo znać prawdę o swoich rodzicach. Powieszono niewinnego człowieka za zbrodnię, której nie popełnił. Zamordowano Mary. Darcy ponosi winę za oba morderstwa. O ile znam Claya, nie sądzę, żeby chciał wam coś odebrać. Nie macie nic takiego, na czym by mu zależało.

James wstał i zaczął nerwowo chodzić po pokoju.

- Nie mogę w to uwierzyć. To chyba jakiś koszmarny sen. Nie mogę uwierzyć, że moja własna żona zrobiła coś takiego. Lauren, gdzie jest ten pamiętnik?

- W schowku, w samochodzie.

- John, idź i go przynieś.

Sydney oparła się wygodnie i zamknęła oczy. Była bardzo zmęczona, a koniak całkowicie ją rozprężył. Po wszystkich wydarzeniach ostatnich kilku godzin czuła się pusta, jakby wydrążona w środku. Na własne oczy widziała miłość, która trwa wiecznie, miłość zdolną przezwyciężyć największą przeszkodę: czas. Nie wiedziała, że coś takiego istnieje. Dlatego dotychczas żyła tak, jak żyła.

Teraz rozumiała już, że jej rodzice popełnili wielki błąd. Pobrali się z powodów, które błędnie wzięli za uczucie miłości. Łączyło ich coś innego i ojciec w pewnym momencie to zrozumiał. Spotkał kogoś, kogo pokochał naprawdę, i odszedł, pozostawiając rodzinę. Znalazł szczęście. Odszedł z domu, ale - nareszcie to pojęła - nie chciał porzucać swoich córek. Chciał tylko odejść od żony, kobiety, której nie kochał. To jej matka sprawiła, że tak źle Osądzała ojca przez te wszystkie

lata. To ona wykopała między nimi przepaść. Ona, Sydney, wcale nie chce skończyć tak jak matka. Nie chce na starość być zgorzkniałą kobietą, która nie zaznała miłości.

Pomyślała, że bez przyjazdu do Wallace nigdy by tego nie zrozumiała; nie zobaczyłaby swojego życia w prawdziwym świetle. Zawsze myślała, że podejmuje właściwe decyzje. Po raz pierwszy zdała sobie sprawę, że jest na najlepszej drodze do samotności, a przecież nie tę drogę pragnęła w życiu przebyć.

Usłyszała ciężkie kroki wracającego Johna i otworzyła oczy. Johnenstein, pomyślała i spojrzała na Drew. Myślał to samo i uśmiechnął się.

John podał pamiętnik senatorowi. James odszukał właściwą datę i zaczął głośno czytać. Zabrzmiała smutna opowieść o człowieku opętanym przez miłość i nienawiść. Darcy nie został ukarany wyrokiem sądu, ale resztę życia spędził dręczony rozpaczą i wyrzutami sumienia. Gdy James skończył czytać, zapanowało milczenie.

- Czy zamierzałaś mi to kiedyś pokazać? - zapytał wreszcie żonę, wskazując na trzymany w ręku poźółkły tom.

Laureen była za mądra, by kłamać.

- Nie, James. Zrobiłabym wszystko, żeby ci oszczędzić bólu i kłopotów.

Uwagi Sydney nie uszła zmiana w zachowaniu senatora. Był zszokowany postawą własnej żony. Przez chwilę nie był w stanie wydobyć słowa. Poczula zdziwienie na myśl, że tak wytrawnego polityka coś jeszcze mogło zdziwić. Miała przeczucie, że obecne wydarzenia wiele zmienią w codziennym życiu państwa Fowlerów. Może nawet senator ostentacyjnie przybierze na wadze, żeby pokazać żonie, kto jest panem domu...

Z zamyślenia wyrwał ją głos Laureen:

- Odbiorą nam Rosehill, prawda, James?

Senator wzruszył ramionami.

- W dalszym ciągu nic nie rozumiesz. Przecież to nieważne. Rosehill to po prostu cegły i drewno. Miejsce, w którym mieszkamy.

Clay Wallace nie mógł wybrać sobie odpowiedniejszego momentu na wielkie wejście. Ukazał się w progu potargany i obszarpany, ale godny. Przeszedł przez pokój wyprostowany, z dumnie uniesioną głową, bojowo stukając laską.

- Jamesie Darcy Powierzę, chciałem ci powiedzieć, że twój pradziadek zabił moją matkę!

- Wiem - odparł senator.

Clay nie dał po sobie poznać, że liczył na coś więcej.

- Darcy jest ponadto winien śmierci mojego ojca.

- Wiem. Wszystko zaplanował. Nie wiem, co mam ci powiedzieć. Wierz mi, że jest mi bardzo przykro ze względu na Mary i Andrew Joshuę.

- Niesłusznie. Są znowu razem, na zawsze. Ty nie masz nic wspólnego z ich śmiercią.

- Drew i Sydney wszystko nam opowiedzieli. Wiemy już, co zaszło tej nocy. Czy mogę coś dla ciebie zrobić, Clay?

- Owszem. Chcę trzech rzeczy.

Clay przysiadł na brzegu biurka i nie patrząc na Johna, kazał sobie podać kieliszek koniaku.

- Boże! - krzyknęła Lauren. - Mówiłam ci, James! On chce nas zrujnować.

- Nie sądzę - odparł senator niezbyt pewnym głosem. Perspektywa utraty Rosehill nawet na nim zrobiła wrażenie. - Czy naprawdę chcesz obalić testament Samuela, Clay? Chcesz odzyskać majątek? Clay roześmiał się.

- James, przecież stary Samuel Clayton nienawidził mojego ojca od początku, zanim ten jeszcze spojrzał na Mary. Nie znosił go, bo ojciec był półkrwi Indianinem. Kiedy Samuel się dowiedział, że Mary chce wyjść za Wallace'a, oszalał z nienawiści. Wydziedziczył ją za to, że poślubiła Andrew Joshuę. Był złym człowiekiem i nic nie rozumiał. Mary wiedziała to i była szczęśliwa, że może żyć od niego z dala.

Clay przerwał, spojrzał na senatora, potem na jego żonę.

- Nie chcę nic, co należało do tego starego bydlaka, James. Chcę trzech rzeczy.

- Jakich?

- Po pierwsze chcę, żeby Fowlerowie wzięli jutro udział w uroczystym pogrzebie Mary. Po drugie chcę, żebyś mi dał portret mojej matki.

- Zgadzam się na wszystko. Przyjdziemy jutro na pogrzeb, portret dostaniesz zaraz. Sam o tym pomyślałem, kiedy się o wszystkim dowiedziałem. A jaka jest ta trzecia rzecz?

- Chcę, żeby wszyscy w tym mieście raz na zawsze poznali prawdę. Nie chodzi mi o rozgłaszanie tego tak, żeby zaszkodzić twojej politycznej karierze. Nadajesz się na polityka i przy odrobinie doświadczenia możesz być dobrym prezydentem. Chcę, żeby napisano całą prawdę w „Wallace Morning Sun”.

- Clay - przerwała mu Sydney. - Zapomniałeś, że ta gazeta już nie istnieje?

- Jakim cudem? - zdumiał się James.

- Jak to nie istnieje? - John zrobił okrągłe oczy. - Mamy naszą lokalną gazetę, jest Buddy...

- Buddy owszem jeszcze jest, ale już nie ma gazety - oświadczył Clay. - Właścicielem „Wallace Morning Sun” jestem ja, chłopcze. - Mrugnął porozumiewawczo do Sydney. - Może ty byś coś napisała o tej sprawie? O odnalezieniu ciała Mary i o tym, kto naprawdę ją zabił. Mam do ciebie zaufanie, nie na darmo razem uganiał się po lesie za duchami. Ty byś potrafiła to wszystko dobrze opisać.

Sydney rozejrzała się, jakby oczekiwała, że ktoś za nią odpowie. Jej wzrok napotkał spojrzenie Drew i na chwilę się zatrzymała. Przez moment na siebie patrzyli. Potem odwróciła głowę.

- Napiszę na ten temat artykuł - powiedziała z ociąganiem w głosie - ale pod jednym warunkiem.

Nie na darmo była córką swojego ojca. Znowu spojrzała na Drew. W jego oczach zobaczyła miłość.

- Pod jednym warunkiem... Jeśli mi sprzedasz tę gazetę.

- W porządku! - zawołał Clay, klepiąc się w kolano.

- Mówiłem ci, że mam tam swoje udziały!

- Wcale nie musisz. Sama mam pieniądze. Ojciec stworzył fundusz, z którego mogę korzystać. Będzie zachwycony, że skorzystam z niego, żeby założyć własne pismo.

Drew patrzył na nią bez słowa, jakby nie mógł uwierzyć w to, co słyszy.

- I jeszcze jedno - ciągnęła Sydney. - Chciałabym wyjść za twojego wnuka, jeśli on się na to zgodzi.

Drew nie czekał na odpowiedź dziadka. Chwycił Sydney za rękę i wyciągnął z pokoju. Nie wiedząc, gdzie się schronić, przystanął na sekundę w progu salonu, ale potem pokręcił głową i pociągnął ją dalej ku wyjściu. Noc była cicha i spokojna. Wysoko świecił księżyc. Wiał lekki wiatr.

Drew przyciągnął Sydney do siebie.

- Jesteś pewna, że tego chcesz?

Na moment się zawahała. Bała się, że Drew powie coś, czego nie chciała usłyszeć.

- Przepraszam cię. Tak mi się wyrwało. Bardzo mi przykro, jeśli poczułeś się głupio.

- Nie masz za co przeproszać. Ale rozumiem, teraz nagle obleciał cię strach.

- Drew... - szepnęła.

- Sydney... - powtórzył żartobliwie tym samym tonem. - Jeśli chodzi o mnie, gotów jestem ożenić się z tobą natychmiast, ale czy jesteś pewna, że rzeczywiście tego chcesz?

- Drew, ja już niczego nie jestem pewna. Moja matka zawsze mówiła, że kto się szybko zakocha, to się równie szybko odkocha. Ale serce mówi mi całkiem co innego.

- Czy to znaczy, że wierzysz w duchy, krasnoludki i zjawy błakające się nocą po lasach?

- Tak - odparła i roześmiała się.

- I wierzysz w miłość od pierwszego wejrzenia?

- Tak. - Objęła go i mocno pocałowała w usta. - Wierzę też w smoki, które mówią ludzkim głosem i w rock and rolla.

Drew spojrział na drogę prowadzącą do Rosehill. Z ciemności wyłoniły się światła nadjeżdżającego samochodu.

- Zastanawiałem się, jak długo ludzie zostawią nas w spokoju. A oto i oni, spójrz. Ktoś już jedzie.

Sydney uśmiechnęła się. Znała ten samochód.

- To nie ludzie. To Emma. - Przytuliła głowę do jego piersi. - To Emma, która kiedyś powiedziała: „Jedyną rzeczą, która trwa wiecznie, jest miłość”.